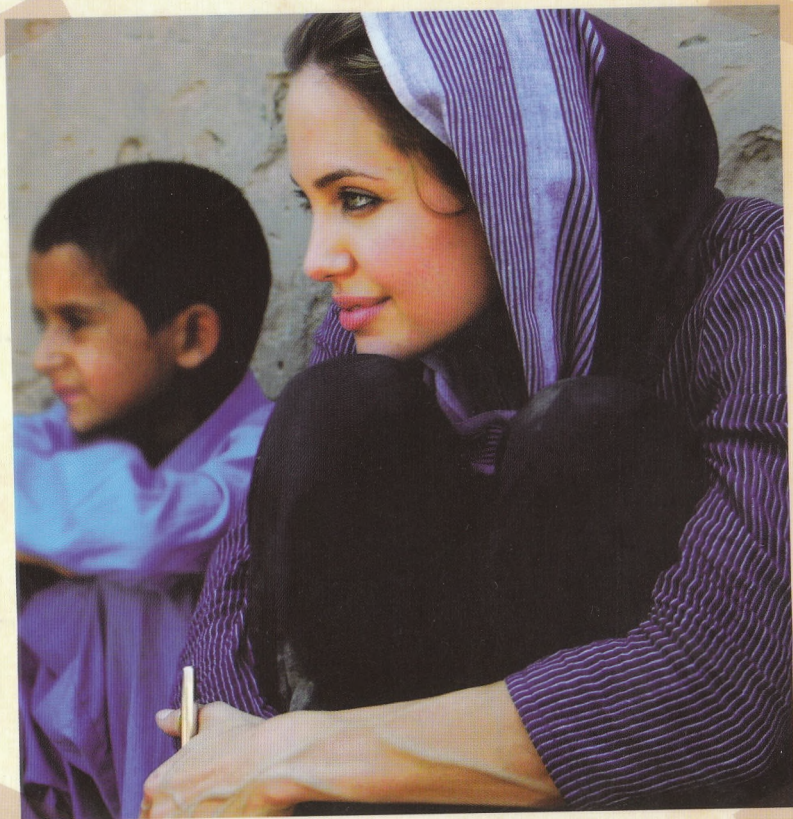


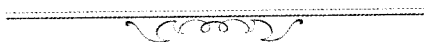
ANGELINA JOLIE



NOTATKI Z PODRÓŻY

Osobiste wspomnienia aktorki,
pełne empatii i zwykłej ludzkiej niezgody na zło

NOTATKI Z PODRÓŻY



ANGELINA JOLIE

NOTATKI Z PODRÓŻY



Przełożyła Anna Kłosiewicz

wydawnictwo FILIA

Tytuł oryginału: **Notes from My Travels**

Copyright © 2003 by Angelina Jolie

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Termedia, 2013

First published by POCKET BOOKS, a division of Simon & Schuster, Inc.
1230 Avenue of Americas, New York, NY 10020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2013

Projekt okładki: Olga Reszelska

Fotografia na okładce: PAP/EPA/UNHCR/HO

Przekład: Anna Klosiewicz

Redakcja i korekta: Edytorium.pl

Skład: Edytorium.pl

Druk: Abedik S.A., ul. Gutenberga 5, 62-023 Żerniki k. Poznania

ISBN: 978-83-63622-40-4

Wydawnictwo Filia

grupa Termedia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 8

61-615 Poznań

www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres: czytelnicy@wydawnictwofilia.pl
Dołącz do nas na Facebooku!

DEDYKACJA

Na jednego pracownika UNHCR przypada trzy tysiące pięćset osiemdziesięcioro dwoje uchodźców pozostających pod opieką biura. Moja książka jest dedykowana właśnie tym ludziom – w podzięcie za ich ciężką pracę, oddanie i głęboki szacunek dla drugiego człowieka.

Dedykuję tę książkę również tym wszystkim mężczyznom, kobietom i dzieciom, którzy nadal są albo niegdyś byli uchodźcami. Tym, którzy zdołali przetrwać te wszystkie przerażające rzeczy, i tym, którym się to nie udało, bo zginęli w walce o wolność.

To oni dali mi cudowną lekcję życia, za co będę im dogonnie wdzięczna.

PRZEDMOWA WYSOKIEGO KOMISARZA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DO SPRAW UCHODźCÓW

Urząd Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (*United Nations High Commissioner for Refugees – UNHCR*) powstał 14 grudnia 1950 roku w celu roztoczenia opieki nad ludźmi zmuszonymi uciekać z ojczyzny przed prześladowaniami czy działaniami wojennymi. W ciągu pięćdziesięciu lat biuro UNHCR zapewniło bezpieczeństwo około pięćdziesięciu milionom mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy dzięki temu zyskali szansę na nowe życie.

Wyzwania stojące przed naszą agencją są tak wielkie, że nie sposób byłoby im sprostać, gdyby nie poświęcenie i pomoc wrażliwych na cierpienie uchodźców ludzi z całego świata. Jednym z takich orędowników naszej sprawy jest Angelina Jolie, którą 27 sierpnia 2001 roku mianowałem Ambasadorką Dobrej Woli UNHCR.

Angelina już wcześniej interesowała się problemami uchodźców, odwiedzając przeznaczone dla nich obozy w takich krajach jak Sierra Leone, Kambodża czy Pakistan. W latach 2002 i 2003 spotkała się z uchodźcami w Namibii, Tajlandii, Ekwadorze, Tanzanii, Kosowie oraz Inguszetii i na

Sri Lance, gdzie współpracowała ściśle z miejscowym personelem UNHCR. Swoje doświadczenia opisała w niezwykle przejmujący i plastyczny sposób w tym pamiętniku. W następnych latach zamierza odwiedzić kolejne miejsca. Okazała się Ambasadorką Dobrej Woli zaangażowaną nawet bardziej, niż tego oczekiwałem, doskonałą współpracowniczką w próbach znalezienia rozwiązań problemów uchodźców na całym świecie. Przede wszystkim jednak pomaga zrozumieć w pełni tragedię uchodźców wszystkim, którzy tylko zechcą jej wysłuchać. Jej zaangażowanie w pomoc uchodźcom, jej szczerość i współczucie stanowią inspirację dla nas wszystkich.

Rudd Lubbers

Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców

WSTĘP

Poproszono mnie o napisanie wstępu do dziennika z moich podróży i wyjaśnienie, jak w ogóle doszło do tego, że zaczęłam spisywać moje wrażenia, i dlaczego zdecydowałam się nadać życiu taki właśnie kierunek.

Kiedy szukałam odpowiedzi na tak postawione pytania, uświadomiłam sobie jedno: te podróże odmieniły mnie na zawsze. Jestem szczęśliwa, że obrałam taką właśnie drogę, wdzięczna, że spotkałam tych wszystkich niezwykłych ludzi i doświadczyłam tylu niesamowitych rzeczy.

Naprawdę wierzę, że jeśli tylko będziemy świadomi tego, co się dzieje na świecie, wszyscy poczujemy potrzebę działania. Pytanie nie powinno więc brzmieć, dlaczego dokonałam wyboru takiej właśnie drogi, a raczej: jak mogłabym tego nie zrobić.

Spędziłam wiele bezsennych nocy na czytaniu opowieści i danych statystycznych dotyczących tragedii rozgrywających się w wielu państwach na całym globie. Oto czego dowiedziałam się na ten temat:

- Ponad dwadzieścia milionów ludzi na świecie to uchodźcy.
- Jedna szóstka ludzkości żyje za mniej niż dolara dziennie.
- Ponad miliard ludzi nie ma dostępu do nieskażonej wody pitnej.
- Jedna trzecia ludzkości żyje bez prądu.

- Ponad sto milionów dzieci nie chodzi do szkoły.
- Jedno na sześcioro dzieci w Afryce umiera przed osiągnięciem piątego roku życia.

Czytałam o rozmaitych organizacjach, których celem jest niesienie pomocy humanitarnej. Podczas pobytu w Anglii zainteresowałam się sytuacją w Sierra Leone, jednak po powrocie do Stanów miałam problemy ze śledzeniem tamtejszych wydarzeń, zwróciłam się więc do amerykańskiego oddziału Biura Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (*United Nations High Commissioner for Refugees* – UNHCR) z pytaniem, czy nie mogliby mi pomóc zrozumieć, co właściwie dzieje się w Sierra Leone i tylu innych miejscach na całym świecie.

Nie mam pojęcia, czy ten dziennik to dobry materiał na książkę ani jak czytelnicy go odbiorą. Nie jestem pisarką, a poniższy tekst to po prostu moje prywatne zapiski. Jedynie rzut oka na świat, który dopiero zacznam rozumieć, świat, którego tak naprawdę nigdy nie będę w stanie w pełni opisać.

MISJA W AFRYCE

W okresie od 22 lutego do 9 marca 2001 roku przebywałam w Afryce z misją, której celem było zapoznanie się z sytuacją życiową uchodźców pozostających pod opieką UNHCR w Sierra Leone i Tanzanii oraz udzielenie im wsparcia.

WTOREK, 20 LUTEGO

Lecę do Afryki. Na paryskim lotnisku czeka mnie dwugodzinna przerwa w podróży i przesiadka na samolot do Abidżanu na Côte d'Ivoire (Wybrzeżu Kości Słoniowej).

To początek mojej podróży i tego dziennika. Sama nie wiem, dla kogo właściwie zamierzam prowadzić te zapiski – chyba dla siebie samej, choć oczywiście również dla moich czytelników – kimkolwiek by oni nie byli. Przede wszystkim jednak dla tych, o których zamierzam tu opowiedzieć. Naprawdę chcę im pomóc. Nie sądzę, bym różniła się pod tym względem od większości ludzi. Wszyscy pragniemy przecież sprawiedliwości i równości. Szansy na życie, które ma sens. I wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że gdybyśmy znaleźli się w trudnym położeniu, ktoś udzieliłby nam pomocy.

Nie mam pojęcia, czego uda mi się dokonać podczas tej podróży. Wiem tylko, że kiedy każdego dnia dowiadywałam się coraz więcej na temat otaczającego mnie świata, na temat różnych krajów czy mojej własnej ojczyzny, coraz bardziej docierało do mnie, z jak niewielu rzeczy zdawałam sobie dotąd sprawę.

Zbierałam materiały, rozmawiałam z pracownikami UNHCR w Waszyngtonie. Czytałam wszystko, co tylko wpadło mi w ręce – statystyki, które mnie zaszokowały, i historie, od których mało nie pękło mi serce. Wiele z tych rzeczy przyprawiało mnie wręcz o mdłości. Miewałam przez nie koszmary nocne – może niezbyt częste, ale naprawdę przerażające. Nadal nie rozumiem jednak, dlaczego o niektórych sprawach się rozmawia, a inne są przemilczane.

Nie mam pojęcia, dlaczego wydaje mi się, że mogę coś zmienić. Wiem jedynie, że chcę to zrobić.

Nie byłam przekonana, czy w ogóle powinnam wybierać się w tę podróż. Wciąż mam co do tego wątpliwości, pomyśla-

łam jednak – choć może się to wydać komuś obłudą – o tych wszystkich ludziach, którzy nie mają wyboru.

Zdaniem części moich przyjaciół to prawdziwa niedorzeczność porzucić ciepły, bezpieczny dom. Wciąż pytali: „Dlaczego nie możesz pomagać stąd? Czemu musisz zobaczyć to na własne oczy?”. Nie wiedziałam, co im odpowiedzieć. Sama wciąż nie jestem pewna, czy ta wyprawa to dowód mojego szaleństwa czy głupoty.

Tata próbował odwołać moją podróż. Zadzwonił nawet w tej sprawie do amerykańskiego oddziału UNHCR, ale ponieważ jestem dorosła, nie mógł mnie powstrzymać. Byłam na niego wściekła, wiedziałam jednak, że mnie kocha i po prostu stara się mnie chronić. Powiedziałam mu o tym wprost, po czym uścisnęliśmy się serdecznie.

Mama popatrzyła na mnie tylko, jakbym wciąż była jej małą córeczką, uśmiechając się przy tym przez łzy. Martwi się o mnie. Kiedy przytuliła mnie na pożegnanie, przekazała mi jeszcze wiadomość od mojego brata, Jamiego:

– Powiedz Angie, że ją kocham. Niech pamięta, że gdyby była przestraszona, smutna czy zła, wystarczy, że spojrzy w nocne niebo, odnajdzie drugą gwiazdę na prawo i podąży za nią „prosto aż do rana”. To z *Przygód Piotrusia Pana* – jednej z naszych ulubionych lektur. Myślę o tych wszystkich ludziach, o których tyle czytałam, o tym, jak zostali rozdzieleni z rodzinami. Oni nie mają domów. Muszą patrzeć, jak ich bliscy umierają, sami też giną. A na dodatek nie mają wyboru. Nie wiem jeszcze, jak będzie tam, dokąd jadę, ale nie mogę się już doczekać spotkania z tymi ludźmi.

Moim pierwszym przystankiem na kilka godzin będzie Paryż, potem lecę do Afryki.

* James Matthew Barrie, *Przygody Piotrusia Pana*, przeł. Maciej Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 1997, s. 24.

ŚRODA, 21 LUTEGO

W samolocie do Abidżanu jakiś czarnoskóry mężczyzna w dobrze skrojonym niebieskim garniturze zapytał mnie z uprzejmym uśmiechem, czy jestem dziennikarką.

– Nie – odparłam – jedynie Amerykanką, która chce się dowiedzieć czegoś więcej na temat Afryki.

– To wspaniale! – wykrzyknął mój rozmówca.

Wyglądał na ważną personę, otoczony innymi mężczyznami w garniturach, którzy odnosili się do niego z wielkim szacunkiem. Już po wylądowaniu żołnierze – po jednym z przodu i z tyłu – wyprowadzili go razem z jego świtą na zewnątrz, gdzie w blasku fleszy powitał go reprezentant jakiejś innej ważnej grupy.

Piszę o tym, ponieważ kiedy ten mężczyzna spytał mnie podczas lotu, czy wybieram się również w inne rejony Afryki, powiedziałam, że jadę do Sierra Leone, na co on rzucił tylko:

– Boję się tego miejsca.

Kiedy wylądowałam na Wybrzeżu Kości Słoniowej, na lotnisku czekał już na mnie wyjątkowo sympatyczny pracownik UNHCR o imieniu Hevre. Mówił jedynie po francusku i w bardzo ograniczonym zakresie po angielsku. Ja z kolei słabo znam francuski, szybko zorientowałam się jednak, że tak naprawdę czasem wystarczy kilka prostych gestów i uśmiech. Przez dłuższą chwilę staliśmy we dwoje bez słowa, czekając na moje bagaże, które opuściły samolot ostatnie. Wszystkie zostały otwarte i starannie sprawdzone. Wokół kręciło się znacznie więcej żołnierzy niż cywilów.

Chwilę później dołączył do nas kolejny pracownik UNHCR. Już w samochodzie rozmawialiśmy o tym, jak Sierra Leone radzi sobie z wojną domową.

Można w tym dostrzec sporo podobieństw z sytuacją Stanów Zjednoczonych, zanim nasz kraj stał się taki, jaki jest

obecnie. Po namyśle człowiek szybko uświadamia sobie, jak ważne jest wspieranie starań ludzi, którzy podejmują decyzje co do przyszłości pięćdziesięciu dwóch krajów leżących na tym ogromnym, potężnym kontynencie.

Jeśli uznamy narody Afryki za naszych sprzymierzeńców i pomożemy im w tworzeniu czegoś konstruktywnego, sami możemy na tym tylko zyskać.

Dowiedziałam się, że Stany Zjednoczone już starają się pomagać mieszkańcom tego kontynentu, co nie powinno pozostać niezauważone, jednak w porównaniu z wieloma innymi krajami dajemy mniej (w przeliczeniu na jednego mieszkańca). Mamy znacznie większe możliwości niesienia pomocy, a więc w ogólnym rozrachunku pomagamy mniej od innych.

Odsuwając jednak politykę na bok, na zwykłym ludzkim poziomie powinno się nam wszystkim na powrót uświadomić, co jest tak naprawdę ważne. Przypomnieć, że wszyscy jesteśmy przecież równi.

Należy pomagać bliźnim na samym początku, kiedy ludzie starają się coś stworzyć, a nie wtedy, kiedy jest już za późno.

W okresie zimnej wojny Afryka była mocno podzielona. Większość tamtejszych krajów uzyskała niepodległość w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, jednak po zakończeniu zimnej wojny potrzebowały one wsparcia w umacnianiu demokracji. Potrzebowały pomocy w walce o wolność, w którą wszyscy wierzymy.

Widziałam taki dokument o Sierra Leone.

Kilka lat temu odbył się tam marsz na rzecz demokracji. Nie pamiętam, w którym to było roku, ale z pewnością przed wybuchem najgorszych walk. Gdybyśmy ofiarowali tym ludziom pomoc już wtedy, być może obecna sytuacja przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Nie wolno nam zapominać, że amerykańscy ojcowie założyciele także byli uchodźcami.

A potem to Indianie stali się uciekinierami.

Mężczyzna, który powitał mnie na lotnisku, opowiedział mi o swoim pobycie w Ameryce. Oboje zgodziliśmy się co do tego, że mieszkańcy Stanów niewiele wiedzą na temat sytuacji w Afryce i tak naprawdę żyją pod kloszem. Trzeba im jednak przyznać, że kiedy już dowiedzą się, co się dzieje na świecie (zarówno z wydań specjalnych wiadomości w CNN, jak i sporadycznych artykułów w gazetach), zwykle są gotowi nieść pomoc i okazują się wyjątkowo hojni.

Mój rozmówca wspomniał o świętach Bożego Narodzenia spędzonych w Kansas City w Missouri. Opowiedział mi też o swoich wrażeniach z tamtego wyjazdu. Zaczęłam rozmyślać o tym, ile czasu poświęcił na podróż do Stanów Zjednoczonych tylko dlatego, że „chciał odrobinę lepiej zrozumieć Amerykę”.

Niewielu z nas było w Mali, afrykańskim kraju, z którego pochodzi. Może właśnie dlatego powitał mnie z taką serdecznością. Chciał mi pomóc lepiej zrozumieć swoje rodzinne strony.

Zameldowałam się w hotelu. Kiedyś musiał to być naprawdę piękny budynek, a panujące w nim warunki okazały się znacznie lepsze, niż się spodziewałam. Mam wyrzuty sumienia, że się w nim zatrzymałam – nawet jeśli to tylko na kilka dni. Przyjechałam tu, do Abidżanu, żeby spotkać się z ludźmi z UNHCR. W sobotę wyjeżdżam do Freetown w Sierra Leone, gdzie znajdę się wreszcie wśród uchodźców.

Muszę jednak przyznać, że cenię sobie sprawnie działający prysznic i wygodne łóżko. Wiem, że powinnam się nim nacieszyć i jestem za te dobrodziejstwa naprawdę wdzięczna.

CZWARTEK, 22 LUTEGO

Siedzę w biurze UNHCR w Abidżanie. Czeka mnie naprawdę ciężki poranek. Przyjechałam tutaj, żeby zrozumieć

tyle rzeczy, a jednak tak wielu spraw nadal nie pojmuję. Przede wszystkim jednak uświadomiłam sobie wreszcie, jak niewiele dotąd o tych ludziach wiedziałam.

Nad moją głową wisi plakat UNHCR z hasłem:

„Nie potrzeba wiele, by stać się uchodźcą. Czasem wystarczy twój kolor skóry albo wiara”.

Pozwolono mi przysłuchiwać się rozmowom z „ubiegającymi się o azyl”. Ludzie ci starają się o możliwość zamieszkania w kraju różnym od ich miejsca pochodzenia.

Pracownicy UNHCR wysłuchają ich historii, a czasem sprawdzą również otrzymane w ten sposób informacje. Jeśli tylko będą mogli, postarają się pomóc. To do nich należy ustalenie, czy siedzący przed nimi ludzie to rzeczywiście uchodźcy i czy w związku z tym mają prawo ubiegać się o azyl.

Każda z takich osób musi udowodnić, że potrzebuje ochrony i wsparcia, to znaczy w takim zakresie, w jakim tylko są one możliwe, choć w wielu krajach to naprawdę niewiele.

Przysłuchiwałam się dzisiaj rozmowie z młodym małżeństwem, które straciło kontakt z dwojgiem swoich dzieci. Mężczyzna miał trzydzieści lat, jego żona dwadzieścia pięć (dokładnie tyle samo co ja).

Sprawiali wrażenie znacznie starszych. Byli tacy znużeni, w ich oczach czaiły się smutek i rozpacz. Oboje mówili po francusku, znali odrobinę angielski i byli naprawdę inteligentnymi ludźmi.

Bardzo zależało im na tym, żebym nie czuła się skępowana.

Kiedy nas sobie przedstawiano, pracownik UNHCR wyjaśnił, że jestem Amerykanką, która przyjechała do Afryki, żeby zrozumieć, co się tu dzieje, i móc potem opowiedzieć swoim rodakom o ludziach takich jak oni.

Chyba zrozumieli, że kolejna osoba stara się im pomóc, co mnie bardzo ucieszyło, jednak po wysłuchaniu ich opo-

wieści poczułam się bardzo bezradna, choć jednocześnie pełna determinacji.

Wszyscy ci ludzie są silni i mądrzy. Gdyby tylko mieli możliwość, wzięwszy pod uwagę zasoby, o które toczą się obecnie walki, mogliby stworzyć naprawdę potężny, bogaty kraj.

Czasami można odnieść wrażenie, że organizacje takie jak UNHCR nie mogą się pochwalić zbyt spektakularnymi sukcesami, a wszystko z powodu tego, co się tu nadal dzieje. Kiedy jednak lepiej poznałam historię uchodźców i dowiedziałam się więcej na temat pomocy, jakiej udzielono tym ludziom, zrozumiałam, że ci pełni oddania pracownicy organizacji humanitarnych zrobili już naprawdę wiele.

Wszyscy powinniśmy być im za to wdzięczni.

Jestem przekonana, że bez ich wsparcia uchodźcy nie mieliby żadnej szansy. Większość z tych nieszczęsnych ludzi dawno by już nie żyła, zapomniana przez cały świat. Wszystko znalazłoby się w rękach rebeliantów, pod kontrolą dyktatorów.

Dlatego właśnie musimy nadal wspierać afrykańskie kraje, które przyjmują uciekinierów i ofiarowują im dom.

Stany Zjednoczone, podobnie jak tyle innych państw na całym świecie, nadal będą miejscem przeznaczenia tysięcy uchodźców, o ile nie zaczniemy wspierać krajów, z których ci ludzie uciekają.

PIĄTEK, 23 LUTEGO

Następnego dnia trafiłam do innego pokoju, gdzie poznałam Ioli, kobietę pełną cudownej energii i pasji, a przy tym wielką śmieszkę, która zabrała się za objaśnianie mi kolejnych kwestii.

To właśnie od niej usłyszałam o nowych technologiach komputerowych, które pozwalają liczyć i identyfikować

uchodźców, a następnie wydawać im dokumenty tożsamości.

Wspaniale było usłyszeć o całym tym sprzęcie uzyskanym od ofiarodawców i o nowych rozwiązaniach, które tak usprawniają pracę.

Podczas kryzysu w Kosowie firma Microsoft ufundowała sto urzędzeń umożliwiających produkcję dowodów tożsamości, nadal brakuje jednak specjalistów, którzy mogliby je obsługiwać. To zdumiewające, o jak wielu sprawach trzeba pamiętać. Obecnie UNHCR stara się zdobyć fundusze na wdrożenie stosownego programu szkoleniowego.

Pobyt w takim miejscu uświadamia człowiekowi, jak ważne są dowody tożsamości. Nie chodzi jedynie o ochronę uchodźców, udowodnienie im, że znaleźli bezpieczny azyl. Największą zaletą takiego dokumentu jest to, że dzięki niemu każdy z rejestrujących się uchodźców zyskuje indywidualną tożsamość.

Można sobie tylko wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy człowiek nie ma żadnego dowodu na to, kim jest – jak się nazywa i skąd pochodzi czy ile ma lat.

Dzieci pozbawione tożsamości łatwo wcielić siłą do wojska czy zmusić do wykonywania niebezpiecznej pracy. Bez problemu można je zabrać ze szkoły czy w ogóle ich tam nie posyłać. A każde dziecko ma przecież prawo do bezpieczeństwa i nauki.

W porze lunchu wybrałam się na niewielkie targowisko, żeby kupić trochę miejscowego rękodziela. W pewnym momencie zaczęły mnie swędzieć kostki. Za długo stałam w jednym miejscu bez ruchu i zaczęły mnie kąsać owady tak małe, że nie byłam ich w stanie nawet dostrzec gołym okiem.

W niektórych miejscach cuchnęło tak paskudnie, że zbierało mi się na mdłości.

Wola przetrwania jest tutaj naprawdę zdumiewająca. Ci ludzie nie narzekają, nie próbują nawet żebrać.

W przeciwieństwie do tego, co sądzi się u nas powszechnie na temat tego afrykańskiego kraju, jego mieszkańcy są cywilizowanymi ludźmi, silnymi, dumnymi i wspaniałymi. Wszelka agresja to tak naprawdę wyraz instynktu przetrwania. Tu nie ma miejsca na niefrasobliwość czy lenistwo.

Kiedy to napisałam, uświadomiłam sobie, że piszę o tych ludziach zupełnie, jakbym obserwowała ich niczym jakieś okazy w zoo. Czuję się tak niemądra i zarozumiała, bo wydaje mi się, że znam i ich samych, i ich codzienne zmagania. Ale przecież czynię po prostu spostrzeżenia na temat ludzi poznanych tutaj, na Côte d'Ivoire. To moje pierwsze spotkanie z afrykańskim lądem. Jak dotąd nie odwiedziłam jeszcze żadnego obozu dla uchodźców.

Tyle tu dzieci ze szkół. Chłopcy są ubrani na beżowo, w koszulki z krótkim rękawem i spodnie, dziewczynki noszą białe bluzki i niebieskie spódnice.

Na targu aż roi się od stoisk ze złotem i kością słoniową – można tu nawet kupić diamenty. Wszystko leży w niewielkich kupkach na stolikach, podłoga to po prostu ubita ziemia.

Jedna z pracownic UNHCR, Demu, zaofiarowała się, że oprowadzi mnie po okolicy. Poznałam jej córkę i jej koleżanki. Wszystkie mają po czternaście lat i chodzą do międzynarodowej szkoły. Znają po kilka języków, mieszkały już w wielu krajach na całym świecie. Są zabawne, a każda z nich to jedyna w swoim rodzaju indywidualność. Mają tyle marzeń co do swojej przyszłości i wydają się o wiele dojrzałsze od swoich rówieśnic z USA. Wszystkie interesują się polityką. Jedna z nich zapytała mnie, co sądzę o naszym nowym prezydencie, George'u W. Bushu.

Najwyraźniej wiedzą też całkiem sporo o kinie. Mam nadzieję, że oglądają także dobre produkcje, nie tylko te fajne i zabawne. Chociaż tutaj śmiech wydaje się na wagę złota.

SOBOTA, 24 LUTEGO

Czekamy, aż obsługa lotniska zatankuje samolot, którym mamy lecieć do Sierra Leone, a celnicy sprawdzą nasze paszporty. Towarzyszy mi Ioli. Chociaż lecimy w różne miejsca, cieszę się, że rozpoczynam tę podróż z kimś znajomym u boku.

Właśnie zważono moje bagaże i mnie samą: osiem kilogramów... cztery... a ja ważę pięćdziesiąt pięć kilogramów (choć nie wiem, do czego im to potrzebne). Mężczyzna w rozpadających się sandałach wyciągnął plastikową wagę – taką, z jakich korzysta się zwykle w zaciszu własnej łazienki, ozdobioną mocno już wyblakłym rysunkiem dwóch różowych króliczków. Nasze bagaże zsuwały się z niej, kiedy je ważyliśmy. Nie mam pojęcia, jak udaje się im uzyskać precyzyjne pomiary.

Otoczają mnie ludzie tylu różnych narodowości. Wśród tłumu dostrzegam piękną czarnoskórą kobietę w częściowo tradycyjnym stroju.

Samolot jest już gotowy, ale tuż przed startem obsługa przypomina nam, żebyśmy skorzystali z toalety. Miną całe godziny, zanim znowu będziemy mieli po temu okazję. Obie z Ioli idziemy do toalety, reszta czeka w upalnym słońcu. Nikt nie wsiada do samolotu. Dopiero po chwili uświadamiam sobie dlaczego: panie przodem.

„Bon voyage” i „Powodzenia” powtarzają wszyscy.

Wreszcie siedzę w samolocie. Zająłam miejsce bez nawiewnika. Jeszcze nie oderwaliśmy się od ziemi, a już jestem spocona jak mysz. Zlizuję kropelki potu z górnej wargi.

Wszyscy się do siebie uśmiechają, wymieniają uprzejmości, dopytują z zaciekawieniem o swoje zajęcia.

Ktoś zauważył tatuaż na moim ramieniu.

Dowiedziałam się, że władze rozpoczęły niedawno akcję pozbywania się rebeliantów, którzy udają uchodźców z za-

miarem skorzystania nawet z tej skromnej pomocy materialnej, jaką ci biedni ludzie otrzymują.

Jakaś kobieta wspomniała, że widziała wielu mężczyzn przetrzymywanych w areszcie całymi dniami, zanim biedacy nie udowodnią swojej tożsamości. Zapytała, dlaczego ci ludzie są podejrzani, i usłyszała, że to przez tatuaże na ich ramionach (wykonywanie takich rysunków na skórze stanowi powszechną praktykę wśród plemion z Gwinei i Sierra Leone). Zaczęłyśmy żartować, że władze mogą mnie uznać za rebeliantkę.

A jednak w takiej sytuacji człowiekowi nasuwa się myśl, że noszone przez nas symbole stanowią przecież sposób na wyrażenie swojego ja. Symbole, które u części ludzi budzą lęk czy pogardę.

Myślę o wyborach, których dokonałam, napisach, które znaczą moje ciało, i biżuterii, którą noszę.

Inicjał imienia mojego brata.

Cytat o wolności z ulubionego amerykańskiego pisarza...

Właśnie wylądowaliśmy, żeby zabrać jeszcze jednego pasażera. Teraz jest nas siedmioro.

Na zewnątrz zrobiło się chłodniej, dzień jest naprawdę piękny. Większość z nas zdecydowała się wysiąść na kilka minut, żeby rozprostować kości.

Kiedy przyjechał po mnie autobus, którym miałam dojechać do samolotu, siedziało już w nim dwoje ludzi – mężczyzna zajmujący miejsce z przodu i kobieta nieopodal mnie. Miałam wrażenie, że żadnemu z nich nie przypadłam do gustu albo tak przynajmniej można było sądzić z rezerwy, jaką zachowywali. Nie odzywaliśmy się do siebie. Mężczyzna wręcz mnie onieśmielał. Zastanawiałam się, czy to z nim będę pracować. Później, już w samolocie, ze wstydem uświadomiłam sobie, że niesłusznie ich osądziłam. Powinnam się cieszyć, że znalazłam się w ich towarzystwie.

Po jakimś czasie mężczyzna odwrócił się w moją stronę i wyjaśnił, że przez sześć dni był przetrzymywany przez rebeliantów w Monrowii, stolicy Liberii. Do ostatniej chwili były problemy z jego uwolnieniem. Wspomnił też o godzinach opóźnienia tu na tym lotnisku.

Kiedy w końcu porozmawiałam z nim i jego żoną, odkryłam, że to mili, ciepeli ludzie. Ich milczenie i – jak mi się wydawało – rezerwa były tak naprawdę oznakami przerażenia. Wylądowaliśmy na dokładnie tej samej ziemi, na której go więziono.

Większość mieszkańców tego kraju przeżyła rzeczy, których nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

Po wyjściu na zewnątrz usłyszałam, że dla tego miejsca nie ma już nadziei. Niemal wszystko tutaj zostało spalone albo zbombardowane.

Kiedy rebelianci uciekają piechotą, czasem biorą zakładników tylko po to, by ci pomogli im nieść zrabowane rzeczy.

Z góry wszystko wydawało się piękne – ziemia, jeziora, lasy ciągnące się jak daleko sięgnąć wzrokiem.

Jedynymi jednostkami latającymi na tym lotnisku są wojskowe helikoptery.

W końcu wylądowaliśmy we Freetown, w Sierra Leone. Podczas jazdy ulicami miasta rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach. Rewolucyjny Front Jedności (*Revolutionary United Front* – RUF) nazwał te działania „Projektem »Zero żywych istot«”.

Na ulicach widzę setki trzymających się za ręce ludzi – to ci, którzy ocaleli!

Samochody zdobią wymalowane farbą hasła: „Bóg jest wielki” i „Miłość dla wszystkich – żadnej nienawiści więcej”.

Można by pomyśleć, że to ostatni ludzie na świecie, którzy powinni być gotowi w to uwierzyć, a jednak właśnie oni najlepiej rozumieją prawdziwy sens tych słów za sprawą tego, co przeżyli.

Dziwny zwyczaj: w każdą ostatnią sobotę miesiąca wszyscy mają tu obowiązek zostać w domu i sprzątać aż do dziesiątej rano. Jeśli wyjdiesz na ulicę przed tą godziną, musisz mieć przepustkę wyjaśniającą, dlaczego udzielono ci zgody.

SOBOTNI WIECZÓR

PENSJONAT UNHCR

Szczyt betonowego muru, który otacza budynek, jest wzmocniony tłuczonym szkłem.

Strażnik otwiera nam drewnianą bramę, wjeżdżamy na dziedziniec. Niewielki, szarawy budynek z odpryskującą farbą i kilka starych aut.

Większość ludzi wita mnie uśmiechami, kilka osób przygląda mi się z zaciekawieniem.

Trafiam do pokoju numer 1. Tak przynajmniej głosi kartka przyklejona do drzwi. Pewnie dali mi najlepszy, jaki mieli. Woda ledwie kapie z prysznicy. Ludziom z mojego świata ten pokój wydałby się zapuszczony i liche, ale miejscowi z pewnością są innego zdania. Dla nich to prawdziwy pałac.

Jestem za to wszystko naprawdę wdzięczna.

Kolację podano o ósmej. Siedziałam z dwójką pracowników terenowych UNHCR, rozmawialiśmy o wojnie, życiu, przetrwaniu. Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy, szkoda, że nie mogę ich wszystkich tu spisać.

Telewizor na dole odbiera jeden kanał. Jeśli ma się szczęście, można złapać CNN. Jednak nie dzisiaj.

Tutaj czas biegnie inaczej. Tu walczy się o przetrwanie, więc człowiek stara się po prostu cieszyć dniem i towarzystwem ludzi, którzy go otaczają.

Wszyscy dzielą się tym, co mają.

Wspominam o niedostatkach tego miejsca nie dlatego, że brakuje mi tych rzeczy, ale ponieważ widzę, jak żyją pracujący tu ludzie.

Większość z nich nie robi dla siebie wyjątków – choć niektórzy może i tak. Zdają sobie sprawę, że w każdej grupie znajdzie się kilka osób, których nie można uznać za dobrych ludzi. Część pracowników pozarządowych organizacji (*nongovernmental organisation* – NGO) i agend ONZ najwyraźniej uczestniczy tu w czymś na kształt dziwnej rywalizacji.

Pomagają sobie, a jednak czasem krytykują się nawzajem, byle tylko sprawić tej drugiej stronie przykrość.

Wierzę jednak, że nawet ci najbardziej krytycznie nastawieni z nich są dobrzy. Nie można być przecież złym człowiekiem, skoro wybrało się taki właśnie sposób na życie.

NIEDZIELA, 25 LUTEGO

Miałam dziwny sen – nie do końca zły, ale na tyle przerażający, by uznać go za koszmar.

Zostałam zatrzymana do kontroli. Stałam na chodniku razem z wieloma innymi kobietami i próbowałam zrozumieć, co się dzieje. Czułam się taka zagubiona, wspominając te wszystkie historie o nagłych atakach, o ludziach zmuszanych do ucieczki z niewielkim zawiniątkiem pod pachą, a czasem zupełnie bez niczego, nawet bez najbliższych.

Od dobrej godziny próbuję z powrotem zasnąć.

Pieją koguty.

To miejsce zdaje się rozbrzmiewać tyloma dźwiękami. Słyszę kroki, skrzypienie desek. Dobiegają mnie też pokrzykiwania jakiegoś zwierzęcia, chociaż nie potrafię odgadnąć jakiego, może małpy.

Jeszcze chwilę zaciskam powieki.

Jest niedziela, niewiele się tu dzieje, dopóki nie skończy się nabożeństwo.

Właśnie wróciłam z przechadzki. Po śniadaniu postanowiłam poświęcić trochę czasu na zwiedzenie miejsca, w którym się znalazłam. Powiedziano mi, że okolica jest bezpieczna.

Po wyjściu na zewnątrz natychmiast zdjęłam okulary przeciwsłoneczne. Co prawda blask był wręcz oślepiający, ale uznałam, że lepiej, żeby ludzie widzieli moje oczy. Może wtedy nie będą mnie uważać za zagrożenie.

Poza tym nie chciałam się popisywać kosztownymi przedmiotami, nawet nie ze strachu przed kradzieżą – po prostu czułabym się paskudnie. Ostatecznie znalazłam się wśród ludzi, którzy mieli tak niewiele.

Wkrótce moje stopy i spodnie pokrywał rdzawy pył.

Jeden z zatrudnianych przez UNHCR strażników, pochodzący z Sierra Leone William, zaproponował, że pokaże mi obóz, czyli wojskowe koszary i szpital. Zgodziłam się bez wahania.

Niemal od razu po wyruszeniu natknęliśmy się na George'a, który od ponad roku pracował dla UNHCR przy przygotowywaniu posiłków. To dobra posada, ale nie na tyle dobrze płatna, żeby mógł się z tego utrzymać, już nie wspominając o utrzymaniu rodziny.

Jednak George nie narzekał. Obaj mężczyźni mówili tylko o tym, jak piękne było niegdyś to miejsce. Dawniej ludzie byli dla siebie dobrzy. Teraz wszyscy cierpią. Obaj mieli nadzieję, że któregoś dnia życie znowu będzie tu dobre, choć tak trudno jest wierzyć, że kiedyś sytuacja naprawdę się poprawi.

Zapytałam George'a o jego rodzinę i dowiedziałam się, że jego matka dopiero co dotarła tu z obozu dla uchodźców w Gwinei. Kiedy zainteresowałam się, czy wszystko z nią

w porządku, George wyjaśnił, że już z nią lepiej, chociaż nadal często się przeziębia, bo musi spać na ziemi.

On sam został uprowadzony przez rebeliantów.

– Przyszli nocą – relacjonował. – Wszyscy próbowaliśmy uciekać. Mama tak bardzo się o mnie bała.

George ma trójkę dzieci.

– Jednego nigdy nie widziałem.

Minęliśmy szpital – niewielki, bardzo stary budynek, z którego odeszła już niemal cała farba.

Obok stoją dwa namioty Czerwonego Krzyża, na moje oko każdy na jakieś pięć łóżek polowych. Może właśnie dlatego do żadnego z nich nie wstawiono ani jednego łóżka – po prostu na ziemi mieści się więcej osób.

Po obozie kręci się dzisiaj wielu mieszkańców ubranych zapewne w odświętne ubrania – kolorowe i czyste. Nie mam pojęcia, jak udaje im się utrzymać te rzeczy w tak dobrym stanie, ale najwyraźniej ta niedzielna tradycja jest dla nich bardzo ważna. Cudowny widok.

Poszliśmy dalej nieutwardzoną drogą, mijając skały, wodę i strumienie czegoś, co sądząc z ohydnych smrodu musiało być ściekami.

W którymś momencie dobiegły nas śpiewy i dudnienie bębnów. William i George wskazali w tamtym kierunku.

– Kościół!

Świątynia mieściła się w niewielkim betonowym budynku, który otaczało rumowisko. Zerknęłam do środka i zobaczyłam tłum kolorowych postaci poruszających się do wtóru bębna. Tylu cudownych rozmodlonych ludzi!

Po raz pierwszy od momentu przyjazdu tutaj zaczęłam płakać, starałam się jednak, by nikt tego nie dostrzegł – po prostu ruszyłam dalej przed siebie.

Po drodze minęła mnie grupka maluchów. Uśmiechnęłam się do nich, a one odpowiedziały mi najpiękniejszymi, najserdeczniejszymi uśmiechami, jakie kiedykolwiek widziałam.

Jeden z chłopców zapytał mnie poważnym, wyzywającym tonem:

– Kto ty jesteś?

– Angie.

Chłopiec zachichotał, uśmiechnął się, po czym pobiegł dalej.

DOM POD WEZWANIEM ŚWIĘTEGO MICHAŁA (*SAINT MICHAEL'S LODGE*) ORAZ RUCH WSPARCIA RODZINY (*FAMILY HOMES MOVEMENT* – FHM)

Wzięłam na ręce maleńkie niemowlę. Nie sposób opisać słowami, co czułam, kiedy trzymałam je w ramionach.

Później inne małe dziecko wsunęło moją rękę w dłoń jakiejś kobiety, jak się okazało Amerykanki pracującej dla jednej z organizacji NGO.

UNHCR współpracuje z FHM, organizacją zajmującą się udzielaniem wsparcia powracającym do Sierra Leone dzieciom, które zostały rozdzielone ze swoimi rodzinami.

W prowadzeniu ośrodka pomagał młody Afrykańczyk o życzliwym spojrzeniu, który troskliwie zajmował się dziećmi, niczym ich prawdziwy przywódca i opiekun.

Zacząłam mu zadawać pytania, jak to się zwykle robi, kiedy chce się kogoś lepiej poznać. Co lubi? Czy ma rodzinę? Chciałam się po prostu dowiedzieć, kim jest.

Usłyszałam, że chłopak ma rodzinę. Wielu jego braci i siostr studiuje we Włoszech. On sam lubi podróżować, jego zdaniem jest jednak potrzebny tu, na miejscu, gdzie może zrobić tyle dobrego.

Mój młody rozmówca wspomniał też, że wkrótce otrzyma kilkumiesięczny urlop, który chciałby przeznaczyć na zrobienie kursów w udzielaniu porad osobom po traumatycznych przeżyciach. Pragnie pomagać sierotom, małym uchodźcom i dzieciom-żołnierzom, których potrzeby często są pomijane.

– Chyba wszyscy po prostu uważają, że dzieci jakoś dojdą do siebie.

Potem zaczął tłumaczyć, że w innych rejonach świata człowiek potrzebujący pomocy psychologicznej czy prawnej zawsze ją otrzymuje.

W Afryce jest inaczej. Przy odrobinie szczęścia otrzymuje się pomoc i wsparcie od społeczności, do której się dołącza czy wstępuje.

Poznałam również chłopca, któremu właśnie dopasowano protezę nogi. Akurat słuchał wiadomości z niewielkiego radioodbiornika. Podobno to jeden z najinteligentniejszych uczniów tutaj. Już świetnie sobie radzi z protezą.

Inny, mniej więcej jedenastoletni chłopiec, przybił piątkę z zakonnicą, która oprowadzała nas po ośrodku.

– *Sistah*, siostró!

UNHCR wspólnie z pracownikami *Saint Michael's Lodge* stara się rejestrować takie osierocone dzieci i odnajdywać ich krewnych, by ponownie jednoczyć rodziny.

Rzadko tutaj docierają wieści z wielkiego świata. Słyszysz się jedynie o potwornościach rozgrywających się gdzieś w pobliżu.

Skoro zaś wszyscy znają Afrykę jedynie z wojen i przejawów tego, co w ludziach najgorsze, nikt nie ma odwagi inwestować w jej rozwój. To naprawdę ogromny problem. Ale cóż można na to poradzić? Ludzie tutaj stają się zależni od innych, nie chcą opuszczać obozów dla uchodźców. Trudno się im dziwić. Ich rodzinne strony to wciąż niebezpieczny, opustoszały region. Tam nie mają co liczyć na jedzenie czy pracę.

W niedzielę, dzień wolny od pracy, wieczorem pojechaliśmy nad wodę. Tutejsze plaże są cudowne! Przepiękny widok – biały piasek i jasnoniebieska woda otoczone górami, które porasta bujna zieleń!

Nazwano ten kraj Sierra Leone, ponieważ kiedy zjawili się tu pierwsi osadnicy, usłyszeli grzmoty fal odbijających się od brzegu, przypominające ryk lwa.

PONIEDZIAŁEK, 26 LUTEGO

SIÓDMA RANO, ROZMOWY PRZY ŚNIADANIU

Wygląda na to, że każdego dnia dowiaduję się tu czegoś nowego. W krajach, które nie dysponują złożami diamentów, ludzie nie są w stanie zdobyć porządnej broni.

Niektóre rządy, a nawet pojedyncze osoby bogacą się na handlu z RUF-em.

Stany Zjednoczone oraz kraje europejskie, które dotychczas tego nie zrobiły, powinny wesprzeć wojska Sierra Leone, tak jak czynią to brytyjska armia i jednostki S.A.S., szkoląc mieszkańców tego kraju, jak bronić się przed rebeliantami.

FORUM WSPARCIA DZIAŁAŃ OŚWIATOWYCH WŚRÓD Kobiet AFRYKI (*FORUM FOR AFRICAN WOMEN EDUCATIONALISTS – FAWE*)

Forum Wsparcia Działań Oświatowych Wśród Kobiet Afryki to organizacja kształcąca dziewczęta i pomagająca im zdobywać nowe umiejętności, dzięki czemu młode Afrykanki stają się bardziej niezależne.

Większość z tych młodych kobiet padła w przeszłości ofiarą porwań i gwałtów.

Weszłam do niewielkiego pomieszczenia, w którym dwie kobiety zajmowały się około dziesięciorgiem niemowląt.

Wiele z przebywających w ośrodku kobiet zaszło w wyniku gwałtu w ciążę.

Dzieci nie miały zabawek ani nawet miękkich, kolorowych rzeczy. Siedziały na ziemi.

Śliczne buzie.

Kiedy podeszłam bliżej, jeden z chłopców wybuchnął płaczem, wręcz zaczął się zanosić od krzyku.

Opiekunki natychmiast rzuciły się przeproszać, tłumaczyć:
– Wystraszył się z powodu koloru pani skóry.

Już w klasie zostałam przedstawiona jako Ambasadorka Dobrej Woli UNHCR, natomiast towarzysząca mi kobieta, Maya, jako funkcjonariuszka ochrony.

Dziewczęta przyjęły mnie bardzo serdecznie.

Nauczycielka wyjaśniła im, że jestem również aktorką z Kalifornii i że przyjechałam tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o samej szkole i wesprzeć ich starania.

Dziewczęta właściwie nie znają filmów. Nie chciałam w ogóle poruszać tematu mojej pracy, ale ewidentnie wiadomość o tym, że jestem aktorką, sprawiła, iż spotkanie to stało się dla nich jeszcze ciekawsze. Nie potrafiły sobie nawet wyobrazić podobnego zajęcia.

Czasami sama nie mogę się nadziwić, że jestem aktorką, ale tego dnia byłam naprawdę szczęśliwa, że właśnie tym się w życiu zajmuję.

Spędziwszy trochę czasu razem, byliśmy nawet w stanie porozumiewać się bez pomocy tłumacza. Miejscowy kreolski odrobinę przypomina szybki, skrótowy angielski.

Dziewczęta poprosiły o mój adres. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie odmówić ze względu na prywatność, na której zachowanie kładzie się taki nacisk w Stanach, ale te dziewczęta zaprosiły mnie do swojego świata, więc chyba mają prawo do rewanżu z mojej strony.

Tak bardzo chciałabym, żeby im się udało. Zaslugały na tę odrobinę zyczliwości. Dlatego podeszłam do tablicy i napisałam na niej moje nazwisko oraz prywatny adres.

Jedna z dziewcząt wzięła mnie za rękę i powiedziała powoli:

– Chcę być twoją przyjaciółką.

A potem zapisała mi swoje imię i nazwisko, żebym kiedy otrzymam list, wiedziała, że jest właśnie od niej.

OBÓZ PRZEJŚCIOWY W JUI

Założony w 2000 roku obóz przejściowy w Jui mieści się na przedmieściach stolicy Sierra Leone, Freetown, jakieś jedenaście kilometrów od jej centrum. To jedno z tymczasowych siedlisk zorganizowanych przez UNHCR we Freetown po rozpoczęciu masowych repatriacji pochodzących z Sierra Leone uchodźców z ich dotychczasowych miejsc pobytu w Gwinei. W odpowiedzi na rzekomy atak RUF-u władze Gwinei uderzyły na obóz uchodźców ze Sierra Leone, oskarżając ich o ukrywanie rebeliantów i próbę zdestabilizowania sytuacji w kraju. Wielu uchodźców zostało fizycznie zaatakowanych i zmuszonych do powrotu do ojczyzny, pomimo że w Sierra Leone nadal szalała wojna. Ponieważ większość terytorium kraju wciąż pozostawała pod okupacją rebeliantów, uchodźcy nie mogli wrócić do swoich rodzinnych wiosek. Aby zapewnić im schronienie, biuro UNHCR zorganizowało dwa obozy (w Lokomassama i Barri). Jednak powracający statkami z Gwinei uchodźcy potrzebowali również tymczasowego schronienia – nie tylko po to, by odpocząć po długiej podróży, ale również po to, by móc podjąć decyzję, dokąd chcą się udać, na podstawie informacji na temat miejsca pobytu pozostałych członków swoich rodzin. Pobyt w Jui, podobnie jak w innych obozach przejściowych, dawał im na to szansę. Z zasady mieli pozostawać tutaj nie dłużej niż pięć dni, jednak w rzeczywistości około dwóch tysięcy powracających z Gwinei uchodźców mieszkało w Jui aż do czerwca 2002 roku.

Sam obóz przejściowy sąsiaduje z wioską Jui, zamieszkiwaną przez około sześć tysięcy ludzi. Znajduje się tam szkoła podstawowa i średnia, jak również Instytut Biblijny. Powra-

cający do Sierra Leone uchodźcy mieli obowiązek posyłać do tych szkół swoje dzieci podczas pobytu w obozie przejściowym. W obozie znajdował się również punkt ambulatoryjny oraz ogromny zbiornik wody pitnej z kilkoma ujęciami.

Plastikowe namioty, ubita ziemia zamiast podłogi gdzieś w samym środku pustkowia. Ludzie kręcą się wokół bez celu. Są zupełnie bezradni, nie mogą wrócić do domu.

Do pracowników UNHCR podbiegł jakiś mężczyzna, żywo gestykułując spracowanymi dłońmi, żeby jak najszybciej poszli za nim.

Dowiedziałam się, że chce ich zaprowadzić do pewnego chłopca.

Poznałam go. Wyglądał na dwanaście lat, chociaż równie dobrze mógł mieć szesnaście – trudno ocenić z powodu niedożywienia. W każdym razie chłopiec był bardzo chory.

Nie chciałam przyglądać się badaniu, wolałam pozostać z boku. Ostatecznie byłam obcą dla niego kobietą.

Był taki młody, a jednocześnie tak bardzo świadomy tego, co się z nim dzieje. Miał sparaliżowane nogi, brzuch i klatkę piersiową jakby rozdęte. Później dowiedziałam się, że wyglądał, jakby przeszedł jakąś operację. Miał poważnie uszkodzony kręgosłup. Choroba trawiła jego ciało. Bardzo prawdopodobne, że wszystko zaczęło się od postrzału i źle przeprowadzonego zabiegu.

Właśnie miał zostać wypisany z obozowego szpitala. Brakowało pieniędzy i miejsca, by zapewnić mu coś więcej ponad to, co uważano za pomoc doraźną w nagłych wypadkach (w każdym razie wedle ich standardów).

Dla mnie jego sytuacja to był właśnie taki nagły wypadek. Teraz pracownicy organizacji humanitarnej będą się starali uzyskać dla niego pomoc, jednak ten chłopiec jest tylko jednym z miliona ludzi takich jak on.

Nigdy nie zapomnę jego twarzy. Ani tego, jak przesuwiał swoje nieruchome nogi rękami.

Właśnie takim prześladowanym ludziom stara się pomagać w Afryce UNHCR. Usiłuje zaspokajać rozliczne potrzeby uchodźców. Zawsze jednak istnieje niebezpieczeństwo, że skończą się fundusze na kontynuowanie wszystkich niezbędnych programów.

Odbyłam spotkanie z władzami obozu i zamieszkującymi go dziewczętami.

Zapytałam:

– O czym waszym zdaniem powinni się dowiedzieć ludzie na całym świecie?

Jakaś młoda kobieta powiedziała:

– Żyjemy w ciągłym strachu. Boimy się, że kolejne dziewczęta będą porywane i gwałcone. Że nasi chłopcy będą zmuszani do walki. Ta wojna musi się skończyć.

Jeden z pracowników UNHCR zapytał:

– Twoim zdaniem Stany Zjednoczone mogą pomóc w tej sprawie?

Kobieta odparła bez wahania:

– Tak, to prawdziwe supermocarstwo! Chcemy wrócić do domu. Nasze dzieci powinny chodzić do szkoły. Potrzebujemy odpowiedniego jedzenia.

Gdyby tylko Stany rzeczywiście były krajem, za jaki ci ludzie je uważają. Chociaż ciągle jeszcze mogą się nim stać.

Ktoś zapytał kogoś z rady starszych:

– Jakie to uczucie mieszkać w obozie?

– Wszyscy czujemy wstyd.

Dowiedziałam się, że UNHCR stara się otaczać uchodźców kompleksową opieką, jednak fundusze szybko topnieją. Z kolei państwa udzielające tym ludziom schronienia, takie jak Gwinea, mają coraz więcej problemów.

UNHCR zajmuje się teraz nie tylko uchodźcami, lecz także przesiedleńcami wewnętrznymi (*internally displaced persons* – IDP).

Wiele innych organizacji jest nastawionych na długoterminowe finansowanie, natomiast pracownicy UNHCR zakładają działanie jedynie czasowe. Nie mogą liczyć na dłuższe wsparcie finansowe, a w takiej sytuacji trudno o sprawne, trwałe rozwiązania.

Ci wspaniali ludzie naprawdę nie mają pojęcia, czy prowadzone przez nich programy będą funkcjonować w kolejnych miesiącach, a przecież osób potrzebujących pomocy jest więcej niż kiedykolwiek dotąd. Ten problem, ci ludzie nie znikną tak po prostu.

Poznałam również pracownika UNHCR z Jordanii, który opowiadał mi o zamysłach stworzenia ośrodka w typie FAWÉ dla kobiet z obozów dla uchodźców na ich terenie.

OBÓZ PRZEJŚCIOWY W WATERLOO

Dzieci tutaj chwytają cię za ręce i wszędzie ci towarzyszą, uśmiechając się i podśpiewując. Te maluchy nie mają dosłownie nic, chodzą w brudnych, podartych ubraniach, a jednak nadal się uśmiechają.

Dzieci przybiegły do mnie w podskokach, zadowolone ze swojego skromnego stanu posiadania. Nie są już same, nie muszą się obawiać o swoje bezpieczeństwo. Duża ich część musiała pokonać pieszo wiele kilometrów bez jedzenia i wody.

Ich małe rączki z całej siły ścisnęły moją dłoń. Za każdy z pięciu moich palców trzymał inny maluch, kolejne dzieci chwytaly mnie za nadgarstki i ramiona, tak że byłam niemal całkowicie unieruchomiona. Tak bardzo chciałabym móc zabrać je wszystkie ze sobą do domu.

Od razu zauważyły moje tatuaże, które uznały za bardzo zabawne. Pytały:

– Kto cię oznakował?

Jedna z kobiet opowiedziała mi swoją historię. Podczas rozmowy wyjęła wnuka z chusty, którą przymocowała go

sobie na plecach, i zaczęła go karmić piersią. Jej córka, a matka dziecka, z powodu swoich plemiennych tatuaży została oskarżona w Gwinei o to, że jest rebeliantką, i zamordowana.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przede mną jeden z mężczyzn, z którymi tu przyjechałam.

– Pora jechać – powiedział, wyciągając w moją stronę rękę. – Proszę wstać.

Dobiegły mnie odgłosy jakiejś kłótni.

Awantura dotyczyła przenosin do innego obozu. Jeden z uchodźców nie chciał opuścić Waterloo.

Podobno niektórzy uchodźcy domagają się przeniesienia do konkretnych obozów w nadziei, że właśnie tam odnajdą bliskich.

W drodze do samochodu minęliśmy wyklócających się ludzi. Jeden z mężczyzn uderzył w ścianę.

Mój towarzysz krzyknął:

– Zablokuj drzwi od swojej strony!

Nie czułam strachu. Raczej współczucie dla mieszkańców obozu, jak również dla pracowników UNHCR, którzy nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb swoich podopiecznych. Kiedy uchodźcy są wzburzeni, czasem to właśnie ludzie z UNHCR zbierają cięgi. To oni muszą się mierzyć z gniewem ofiar wojny.

Trudno być przygotowanym na wszystko, kiedy liczba uchodźców i sytuacja ciągle się zmieniają. Tyle osób potrzebuje pomocy, by przeżyć. Wielu dzieciom potrzeba opieki medycznej, szczepień ochronnych.

Na świecie żyją dwadzieścia dwa miliony uchodźców. Dwa miesiące temu nie miałam o tym pojęcia.

Powinniśmy pomagać tym, którzy muszą uciekać, by ratować życie. Problemy i liczby będą rosnąć, dopóki nie położymy kresu podobnym konfliktom zbrojnym.

Wiele z przebywających w obozie w Waterloo dzieci cierpi na świerzb. Wolalam się jednak narazić na zarażenie tą

chorobą, niż wyszarpnąć dłonie z uścisku tych wszystkich małych rączek.

Największym objawieniem jest dla mnie świadomość, że to zaledwie jedna z wielu rzeczy, z którymi muszą się mierzyć te maluchy. Na pierwszy rzut oka widać, że panujące w obozie warunki nie są zbyt dobre. Szczerze mówiąc, wyglądają na wręcz tragiczne. Jestem jednak pewna, że największych okropności nie widać gołym okiem.

Właśnie wróciłam do swojego pokoju. Umyłam twarz i ręce, a potem zapatrzyłam się na swoje dłonie.

Później odwiedziłam obóz dla przesiedleńców po amputacjach prowadzony przez inne pozarządowe organizacje.

Od kilku minut ściskam w palcach długopis i wpatruję się w pustą kartkę.

Nie mam pojęcia, co napisać. Nie, jednak wiem. Jestem taka wściekła. Nienawidzę ludzi, którzy są temu wszystkim winni. Nie mogę znieść ogromu cierpienia dopiero co poznanych ludzi – tych z amputowanymi kończynami, uchodźców, przesiedleńców, mieszkańców tego rozdartego wojną kraju, naprawdę wszystkich. Tyłu z nich musiało patrzeć, jak ich bliscy giną czy zostają kalekami. Niczyje życie nie pozostało takie samo jak przed pojawieniem się RUF-u. Nie pojmuję, jakim cudem może to trwać – jak moi rodacy mogą twierdzić, że spieszą na pomoc krajom w potrzebie, podczas gdy ludzie żyją tu ze świadomością, że nie istnieje sprawiedliwość, pomszczenie krzywd ani prawdziwy pokój.

Jak można mówić tym uchodźcom, że powinni zacząć budować swoje życie na nowo, skoro oni doskonale wiedzą, że rebelianci i tak znowu im to wszystko odbiorą?

Jeden z mężczyzn powiedział mi, jak stracił przedramię.

– Szczęściarzom odcina się tylko kończyny i pozostawia się ich przy życiu, chociaż i tak wielu z nich umiera potem z powodu upływu krwi albo zakażenia.

Najmłodszą ofiarą takiego okaleczenia była roczna dziewczynka. Miała zaledwie trzy miesiące, kiedy rebelianci odcięli jej rączkę, a jej matkę zgwałcili.

Tylu ludzi.

Młody mężczyzna, z którym siedziałam przez chwilę, też opowiedział mi swoją historię. Kiedyś był kupcem.

– Śpię na ziemi, nie dojadam. Jestem wdzięczny losowi za to, że żyję, ale już nigdy nie wrócę do domu. Jak miałbym znowu zająć się handlem?

Nadal nie mogę zapomnieć jego spojrzenia – rozbieganego, zropaczonego, naznaczonego nieszczęściem.

Jakiś mężczyzna bez dłoni usłyszał, że przyjechałam do Afryki, ponieważ staram się im pomóc (zostałam przedstawiona jako Amerykanka, która próbuje zebrać jak najwięcej informacji na temat ich sytuacji, żeby przedstawić je po powrocie do kraju swoim rodakom).

Nigdy mi na niczym bardziej nie zależało.

Mężczyzna bez dłoni z uśmiechem wyciągnął do mnie ramię. Uścisnęłam jego nadgarstek.

Czułam się taka mała w towarzystwie tych wszystkich dzielnych ludzi.

KOLACJA W PENSJONACIE UNHCR

Dzisiaj na kolację dostaliśmy rybę i sałatkę.

To prawdziwy luksus. Byłam wdzięczna za ten posiłek, ale z trudem przetykałam każdy kolejny kęs. Czułam się jak wydrążona skorupa.

Funkcjonariusze ochrony również do nas dołączyli. Przez dwie i pół godziny rozmawialiśmy o problemach, z jakimi muszą się tu mierzyć. Wszyscy opowiadali o projektach, nad którymi pracują, czy trudnych sytuacjach, z jakimi się stykają.

Rozmawialiśmy o tylu sprawach – zbyt wielu, bym zdołała je tu opisać – a jednak wszystkie zostały przez UNHCR starannie udokumentowane.

Pewien Jordańczyk stwierdził:

– Dzięki miłości i tolerancji wszystko staje się możliwe.

To takie cudowne uczucie siedzieć z tymi wszystkimi funkcjonariuszami UNHCR z całego świata – ludźmi w różnym wieku, różnej płci i narodowości – z których każdy miał powód, by podjąć pracę dla tej właśnie organizacji.

Niektórzy z nich sami byli kiedyś uchodźcami.

Rozmawiano również o chłopcu, którego spotkałam w obozie przejściowym w Jui.

Ktoś skomentował:

– Chłopiec o spokojnej twarzy.

– Może to wcale nie była rana postrzałowa.

– Może po prostu spadł z wysoka.

– Nie przeżyje – dodała któraś z obecnych kobiet.

Nie powinno mnie to dziwić, było jednak inaczej.

Wielu mieszkańców obozów umrze bez właściwej opieki szpitalnej. Musimy przekonać władze UNHCR w Genewie do zwiększenia wsparcia w tym zakresie. A na to wszystko potrzeba czasu.

Wyjaśniono mi, że w obozach pełno jest również ofiar, o których nieczęsto się wspomina. Nigdy wcześniej nie czytałam ani nie słyszałam o tym, czego dowiedziałam się podczas tej kolacji. Wielu uchodźców było zmuszanych do okaleczania innych ludzi. Przykładano im broń do głowy albo nóż do brzucha, a potem wtykano w rękę zardzewiałą maczetę czy ostry kawałek szkła. Zmuszano ich do odcinania dłoni, stóp, a nawet całych rąk czy nóg osobom, które znali – często członkom ich własnych rodzin.

Tacy ludzie często popadają w obłęd. Nie są już w stanie normalnie funkcjonować. Niejednokrotnie nie potrafią dalej żyć

z tym strasznym poczuciem winy. Nie mogą liczyć na praktycznie żadną pomoc psychologiczną. Brakuje funduszy na zapewnienie im podstaw fizycznego przetrwania, cóż więc mówić o dbaniu o ich powrót do zdrowia psychicznego i emocjonalnego.

Widzę, jak bardzo uchodźcy starają się opiekować sobą nawzajem.

Próbuję napisać jeszcze coś przed snem, ale nie jestem w stanie. To był dla mnie zbyt wielki szok.

WTOREK, 27 LUTEGO

O siódmej rano ze snu wyrwało mnie głośnie pukanie do drzwi. Pobudka. Jestem taka zmęczona. Martwiłam się, że będą mnie dręczyć koszmary, więc cieszę się, że zasnęłam wręcz kamiennym snem. W ogóle nic mi się nie śniło.

Spędziłam dobre dwie i pół godziny w biurze, zapoznając się z różnymi danymi i odbywając spotkania, które miały mi pomóc zrozumieć działania różnych organizacji.

Dzisiaj mamy jechać do portu, gdzie dotrą statkiem wracający do Sierra Leone uchodźcy. Odwieziemy ich do obozu niedaleko Kenemy, który stanie się ich nowym domem.

Statek miał przy płynąć z opóźnieniem. W końcu rozległ się okrzyk: „Pora w drogę!”, chwyciłam więc plecak, ale czekało nas kolejne pół godziny bezczynności. Dostaliśmy niewielką torbę z najbardziej podstawowym sprzętem obozowym.

– Na wypadek, gdyby auto zepsuło się po drodze...

Od rana samochód przechodzi przegląd w warsztacie. Choć właściwie trudno to nazwać warsztatem. A samochód nadal nie jest gotowy do drogi.

Dotarliśmy do portu. Wszystko tutaj trwa tak długo. Rejestracja uchodźców schodzących na ląd również zajmuje trochę czasu.

Na nabrzeżu czekali przedstawiciele wielu zarówno rządowych, jak i pozarządowych organizacji, po troje lub czworo z każdej z nich:

- *International Medical Corps,*
- *Czerwony Krzyż,*
- *Save the Children,*
- *UNHCR,*
- *World Vision,*
- *International Organization for Migration.*

Od rana uchodźcy czekali na nabrzeżu w upalnym słońcu, pożywiając się tą namiastką jedzenia, jaką otrzymali (niewielki bochenek chleba i puszka sardynek).

Zapytałam, ile trwa taka podróż statkiem.

– Jedenaście godzin!

Chociaż ocean był spokojniejszy niż zwykle, wiele dzieci wymiotowało. Udało się naliczyć dwieście dwoje ludzi.

Do portu przysła też dzisiaj kobieta szukająca męża, którego jednak wśród nowo przybyłych na statku nie było. Ktoś poradził jej, by zapytała o niego w punkcie rejestracyjnym – to niewielki stolik ustawiony na skraju nabrzeża. Jedynie miejsce osłonięte przed żarem słońca.

Kiedy ruszamy w naszą pięciogodzinną podróż ulicami miasta, za każdym razem, kiedy się zatrzymujemy, do okien auta podchodzą żebracy. Niewidome, okaleczone dzieci, które pozostaną niepełnosprawne już do końca życia. Zapytałam, czy mogę im dać trochę pieniędzy.

– Nie, w każdym razie nie w miejscu publicznym, bo zbiegną się wszyscy. To będzie zły precedens.

Jedzie z nami ponad dwieście osób, konwój zamykają dwie niewielkie ciężarówki wiozące dobytek przesiedleńców. Ich cały życiowy dorobek.

Nie mam pojęcia, jak ci ludzie sobie radzą, zwłaszcza po trudach podróży z Gwinei. Nie potrafię sobie wyobrazić, co

czuli, kiedy musieli uciekać z ojczyzny. Jakim cudem udało się im w ogóle dotrzeć do Gwinei?

W Waterloo zabraliśmy kolejnych uchodźców. Teraz jedzie z nami trzysta osiemdziesiąt siedem osób.

Jedziemy jeszcze do miasta, żeby kupić, co się da.

Ci ludzie wracają do domu. Byli uchodźcami w Gwinei, ale nie są tam już dłużej bezpieczni.

Wracają do Sierra Leone, by żyć w obozach. Ich domy zostały zmiecione z powierzchni ziemi, a rejony, w których kiedyś mieszkali, znajdują się w rękach rebeliantów. Nie mają więc innego wyjścia, tylko zamieszkać w obozach w wyjątkowo spartańskich warunkach, niepewni, czy ci sami ludzie, którzy zburzyli ich domy, którzy mordowali, gwałcili i okaleczali ich bliskich i przyjaciół, nie zaatakują ponownie. Jeśli jednak mają umrzeć, wolą umierać na ojczystej ziemi.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co muszą czuć.

Upchnięci w ciężarówkach jadą ulicami miast, w których kiedyś żyli szczęśliwi i wolni.

Sześć ciężarówek pełnych ludzi.

Dwie mniejsze ciężarówki z ich dobytkiem.

I nasze auto, którym jedziemy w charakterze ochrony i wsparcia.

Wysunęliśmy się na czoło konwoju. Jako że jesteśmy jedynym wozem zabezpieczenia, co pół godziny sprawdzamy, czy wszystko w porządku, przejeżdżając z początku konwoju na jego koniec.

Właśnie dowiedzieliśmy się, że nie zabraliśmy w tę podróż żadnych zapasów wody. Pracownica UNHCR próbuje nawiązać łączność przez radio. Połączenie jest bardzo kiepskie. Kobieta pyta, jak znaleźć wodę po drodze. Musimy ją coś rozwiązać ten problem.

Dowiadujemy się również, że dotrzemy na miejsce już po zmroku, ponieważ wyjazd bardzo się opóźnił.

Zapytano mnie, czy na pewno chcę jechać aż do samego końca.

Usłyszałam, że nie ma powodów do obaw, jednak lepiej by było, gdybym wysiadła jeden przystanek przed miejscem przeznaczenia. Podobno wtedy nie martwiliby się o mnie aż tak bardzo.

Nie chcę się wystawiać na niepotrzebne ryzyko, ponieważ wiem, że ludzie UNHCR czuliby się za mnie odpowiedzialni. Ustaliliśmy, że podejmiemy decyzję już na miejscu. Będziemy również musieli zdecydować, gdzie moglibyśmy się zatrzymać.

Do konwoju właśnie dołączyło kolejne auto ochrony. Nasz kierowca wskazał im dłonią, żeby zajęli miejsce na końcu kolumny. Pracownicy UNHCR też z nami jadą, by zadbać o bezpieczny przejazd przez ewentualne blokady i punkty kontrolne.

Właśnie jedziemy przez obszar, który pomogli oczyścić z rebeliantów Brytyjczycy.

WEST SIDE BOYS

West Side Boys to grupa byłych żołnierzy popierających organizatorów puczu, w wyniku którego w maju 1997 roku obalono prezydenta Ahmada Tejana Kabbaha. Schronili się w dżungli razem z innymi członkami armii Sierra Leone (SLA), kiedy w lutym 1998 roku wspólnota *Economic Community Monitoring Group* (ECOMOG) pokonała przywódców zamachu stanu i przywróciła Kabbaha na fotel prezydenta.

West Side Boys należeli do sił zbrojnych, które 6 stycznia 1999 roku zajęły ponad połowę Freetown. W ataku zginęło co najmniej pięć tysięcy ludzi, a wartość zniszczonych budynków i mienia sięgnęła milionów dolarów. *West Side Boys* po raz kolejny schronili się w dżungli, kiedy siły ECOMOG ode-

pchnęły ich od stolicy. Ostatecznie zatrzymali się w okolicach wzgórz Okra jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Freetown.

Przez długi czas grasowali wzdłuż autostrady łączącej Freetown z Masiaką, wciągając w zasadzkę wiele cywilnych oraz wojskowych aut. Punktem kulminacyjnym ich działalności było schwytanie kilkorga członków brytyjskiego personelu wojskowego oraz ich przewodnika z armii Sierra Leone. Kiedy negocjacje mające doprowadzić do uwolnienia zakładników spełzyły na niczym, Brytyjczycy rozpoczęli szereg operacji powietrzno-lądowych, których rezultatem było zabicie lub ujęcie większości ukrywających się w lasach członków *West Side Boys*. Pojmani, wśród których znalazł się także przywódca grupy, samozwańczy brygadier Foday Kallay, trafili do więzienia we Freetown. To właśnie te działania położyły kres istnieniu *West Side Boys*, którzy przyjęli taką nazwę na cześć jednego z amerykańskich gangów, *West Side Squad*.

Jedziemy inną drogą, ale szosa nie jest zbyt dobra. Zmierzymy na wschód. Machamy rękami przez okna do kierowców pozostałych ciężarówek za nami, żeby przyspieszyli.

Zauważyłam idącego poboczem bardzo brudnego mężczyznę w szortach. Ścisnął w garści karabin maszynowy i mówił do siebie – właściwie to krzyczał.

Wszędzie wokół widać wypalone szkielety domów.

Od czasu do czasu natykamy się na rdzewiejące, powracane wraki samochodów i ciężarówek, które również musiały tu spłonąć.

Dżungla jest naprawdę piękna.

Czasem dostrzegam też malerki wioseczki składające się z na wpół spalonych, a następnie odbudowanych z drewna i gliny domów.

Nieliczne stojące przy drodze szkoły i kościoły, o ścianach pełnych dziur po pociskach, wyglądają na zupełnie opustoszałe.

Jeśli dotrzemy do obozu po dwudziestej, nie zostaniemy wpuszczeni na jego teren.

Wiele osób było zaniepokojonych prędkością, z jaką musieliśmy jechać.

– Przykro nam. Trzymajcie mocno dzieci. Im szybciej dotrzemy na miejsce, tym szybciej będziecie mogli coś zjeść i odpocząć. Nie chcemy podróżować po zmroku.

Wszyscy to rozumieli. Wyglądało jednak na to, że ich tułaczce nie ma końca. Nawet kiedy dotrzemy na miejsce, nie będą mogli powiedzieć, że jest po wszystkim. Może będzie im odrobinę lepiej – ostatecznie nadal będą żywi.

Jedziemy już dwie i pół godziny. Jedna z ciężarówek z bagażami właśnie się zepsuła. Trzeba ją rozładować, a następnie przenieść rzeczy do drugiego auta. Nie mam pojęcia, jakim cudem to wszystko ma się zmieścić w jednej ciężarówce, która już i tak wydawała się zapchana po brzegi.

Nie zatrzymujemy się. Kierowcy, którzy zostali, żeby przenieść bagaże, próbują nas dogonić.

Nigdy nie będę w stanie opisać słowami, jacy są ci ludzie, przez co przechodzą czy dlaczego to takie ważne, żebyśmy udzielili im pomocy.

Zasugerowałam, że pracownicy UNHCR powinni zorganizować kamerę, żeby uchodźcy mogli przemówić we własnej sprawie. Pomysł wszystkim się spodobał.

Uchodźcy nie chcą, żeby to media decydowały, co jest naprawdę ważne. Pragną mówić sami w swoim imieniu.

Sądziłam, że po przyjeździe tutaj zasmuci i zszokuje mnie to wszystko, co przytrafia się tym ludziom, warunki, w jakich przyszło im żyć.

Teraz dostrzegam jednak przede wszystkim ich wolę przetrwania, ich wciąż uśmiechnięte twarze, dzieci trzymające się za ręce i ludzi (praktycznie wszystkich) zajętych pracą. Jestem pełna podziwu dla nich.

Dla ich hartu ducha.

I nadziei.

W pewnym momencie zatrzymujemy się, żeby wysadzić kilkoro ludzi. Jedzenie znajduje się na ciężarówce z bagażami – tej, która została w tyle.

Wszyscy siedzimy razem pod gołym niebem. Jest druga po południu, żar leje się z nieba. Widzę tyłu pracujących ludzi – noszących drewno czy inne rzeczy, próbujących jakoś zagospodarować to miejsce. Nie mam pojęcia, jak oni to robią.

Ktoś wyjaśnił mi, że rano najważniejsze jest znalezienie wody i drewna, zjedzenie śniadania i posprzątanie po sobie, a potem próba sprzedania zrobionych przez siebie rzeczy – jeśli to tylko możliwe.

Po południu człowiek stara się zdobyć drewno i wodę, a potem przygotować coś na obiad.

To samo powtarza się w porze kolacji.

Przez cały dzień najważniejsze jest przetrwanie.

Tylko w tym roku biuro UNHCR straciło czterech członków personelu.

Co tydzień gdzieś na świecie ginie pracownik którejś z organizacji humanitarnych. Należałoby im zapewnić znacznie większe bezpieczeństwo i ochronę.

Wśród pracowników UNHCR notuje się jedne z najwyższych wskaźników rozwodów, samobójstw i depresji.

Przy wjeździe do strefy 91 stoi tablica z napisem:

„Nie obcinajcie dłoni
Podajmy sobie ręce”

Musimy wybrać się pieszo na targ, żeby kupić więcej sardynek i chleba. Nasze zapasy stanowiły zaledwie połowę potrzebnej ilości pożywienia.

Ktoś mówi, że chłopiec z trzeciej ciężarówki poważnie się rozchorował. Pielęgniarka ma niewiele medykamentów na podorzędziu – właściwie żadnych.

Na zatrudnianie lekarzy i pielęgniarek czy leki UNHCR potrzebuje znacznie większych funduszy. Operacje rzadko przebiegają tu bez komplikacji.

Towarzyszy mi Nyambé, pracownica UNHCR, która podczas moich rozlicznych zajęć i spotkań praktycznie nie odstępuje mnie na krok. To jej pierwszy taki konwój i pierwsza wizyta w obozie położonym równie daleko od ośrodka przejściowego.

Wybrałyśmy się po leki. Zauważyliśmy stacjonujących w pobliżu żołnierzy ONZ. Okazuje się, że są z Bangladeszu.

Jeden z nich nie chciał nam pomóc, rzucił tylko:

– Znajdźcie jakąś organizację pozarządową.

Rozejrzałyśmy się po pokrytych pyłem drogach, rozpadających się chatkach biedaków.

– Gdzie? – zapytałyśmy.

Nyambé próbowała tłumaczyć, że wszyscy jesteśmy przecież braćmi zjednoczonymi pod jedną flagą ONZ.

Żołnierze zaczęli dopytywać, czy jesteśmy lekarkami.

– Nie, po prostu pracujemy dla UNHCR – wyjaśniłyśmy.

W końcu dali nam niewielką paczuszkę z lekami przeciwbólowymi i środkami przeciwko odwodnieniu.

Po rozdzieleniu jedzenia sprawdzamy nasze torby.

Głowy rodzin występują w imieniu tych, którzy nie znaleźli się wśród osób zarejestrowanych. Żółta kartka pozwoli im odebrać po bulce i połowie puszki sardynek na osobę.

Dzień zaczyna chylić się ku zachodowi. Próbujemy skontaktować się ze znajdującym się o godzinę drogi bliżej obozem w Bo, żeby zagwarantować tam sobie miejsce, uprzedzić, że powinni przygotować suchy prowiant dla czterystu osób.

To nie będzie nasz końcowy przystanek. Rano wyruszymy w dalszą drogę.

Druga z dwóch bagażowych ciężarówek łapie gumę, ale nie czekamy, aż kierowca z pomocnikami zmieni koło. Pierwsza ciężarówka została z tyłu już wcześniej z powodów technicznych.

Być może UNHCR ma problemy, ale tylko oni zdecydowali się na zorganizowanie tego konwoju.

Nikt nie robi zdjęć dla CNN. To po prostu kolejny zwykły dzień.

Jest dziewiętnasta czterdzieści, na zewnątrz zrobiło się ciemno choć oko wykol. Jakiś mężczyzna zmierza w naszym kierunku. Jechał jedną z ciężarówek, które nas wyprzedziły. Zatrzymujemy się.

- Co się stało? - pytamy.

- W mojej ciężarówce nie ma świateł - wyjaśnia.

W punkcie kontrolnym zatrzymują nas jacyś młodzi chłopcy. Zaglądają do wnętrza ciężarówki, świecą latarkami w twarze. W końcu pozwalają nam przejechać.

Jest dwudziesta pierwsza trzydzieści. Wreszcie dotarliśmy do Bo. Spędzimy tu noc, a o siódmej rano wyruszymy w dalszą drogę.

Poznajemy Muhammada, który razem z innymi pracownikami obozu przygotował trzy wielkie misy kaszy bulgur i kolejne trzy z fasolą.

Razem z kobietą, która ewidentnie stanowiła przywódczynię całej grupy, zaczęliśmy rozdzielać jedzenie. Trochę to trwało, zanim wszyscy posiadali z ciężarówek, zmęczeni i wygłodnieli.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co musieli czuć ci ludzie. Po tak długiej podróży było mi niedobrze. Pewnie bym zwymiotowała, ale od dawna nic nie piłam, a w ciągu ostatnich kilku godzin żywiłam się jedynie suchym chlebem.

Na całej trasie nie natknęliśmy się na żadną toaletę, więc nie miałam okazji napić się choćby łyka wody.

Próbowałam pomagać, rozdając kubki i łyżki oraz pilnując, żeby rozdzielający jedzenie mieli dość naczyń. Nie dla wszystkich starczyło metalowych talerzy, więc naprędce zmywaliśmy naczynia po tych, którzy już zjedli.

Najpierw dzieci i kobiety, potem mężczyźni.

Niektórzy mówili o mnie *pumwi*, co oznacza białego człowieka, inni wołali *sistah*.

Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Wiedzieli, że przyjechałam tutaj, żeby pomóc.

Byłoby zupełnie zrozumiałe, gdyby przepychali się w tej kolejce po jedzenie i pokrzykiwali, że tak długo to trwa, rozwścieczeni tym wszystkim, co ich dotąd spotkało.

Ale znoszą swój los od lat, a ja czułam się tak, jakby przede wszystkim próbowali mi pomóc zrozumieć, jak to wszystko działa, ponieważ byłam tu nowa.

Razem z Nyambé miałyśmy spać w pobliskim motelu. Mam wyrzuty sumienia z tego powodu, ale jestem też taka zmęczona. Czuję ogromną wdzięczność za możliwość skorzystania z podobnego przywileju.

Dostałyśmy pokoje z wentylatorami, ale ten w moim nie działa. Zza okna dobiegają odgłosy rozmów i słabe dźwięki muzyki z lat osiemdziesiątych. Przed chwilą widziałam wielkiego pająka skakuna. Łóżko musiało być kiedyś zabezpieczone folią, ale teraz zostały z niej strzępy. Brakuje też pościeli, jest tylko pokrowiec na materac.

W obecnej sytuacji pokój wydaje mi się jednak po prostu cudowny. Człowiek, który mnie tu przyprowadził, otworzył drzwi z uśmiechem i zaczął się zachwycać:

– Ładny! Dobry!

Potem pokazał mi toaletę i z jeszcze szerszym uśmiechem rzucił:

– Patrz! – A następnie spuścił wodę.

Właśnie przed chwilą wrócił, żeby wręczyć mi świeczkę i zapalki, bo od pierwszej w nocy aż do wpół do piątej rano nie ma tu prądu.

Nyambé przyszła do mojego pokoju, po czym podzieliłyśmy się resztą chleba. I tak było za gorąco, żeby jeść, więc zostawiłam swoją porcję na śniadanie.

ŚRODA, 28 LUTEGO

Szósta siedemnaście. Wszystko zapięte niemal na ostatni guzik, jesteście gotowi do dalszej drogi.

Niewiele spałam tej nocy. Było zbyt gorąco, a hałas praktycznie nie cichł. Wciąż nie mogłam przestać myśleć o tym, że uchodźcy nie mogą liczyć na takie luksusy jak ja. Rozmyślałam, jak mogą się czuć w nocy te wszystkie matki z niemowlętami. To dziwne, jak niewiele dzieci tu płacze. Pewnie przywykły już do tych wręcz tragicznych warunków, a może są po prostu zbyt zmęczone, by choćby kwilić.

Tego ranka zauważyłam wielkie nacięcie od noża na drzwiach mojego pokoju. Nyambé powiedziała, że widziała je już wczoraj, kiedy do mnie pukała. Przez chwilę myślałam o kwestii zachowania prywatności, ale tak naprawdę o to nie dbam. Jest strasznie wcześnie, a poza tym cieszę się, że ruszamy znowu w drogę.

Współpracownicy UNHCR często są rekrutowani spośród mieszkańców danego kraju, dzięki czemu uchodźcy mają poczucie, że otrzymują pomoc od swoich pobratymców, co zresztą często jest prawdą. Całe wspólnoty i kraje wspierają się nawzajem.

Norweska Rada do spraw Uchodźców (*Norwegian Refugee Council* – NRC) również stara się nieść pomoc w tym rejonie.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Ludzie, którzy przyjechali tu z wcześniejszymi transportami, wybiegli nam na przeciw, żeby sprawdzić, czy nie odnajdą wśród nowo przybyłych przyjaciół czy krewnych. Kilka podróżujących z nami ciężarówkami osób zaczęło wykrzykiwać z radości na widok znajomej twarzy. Każda rodzina otrzymała niewielki kawałek ziemi, na którym mogą rozpocząć budowę schronienia ze skromnego zapasu przyznanych im materiałów.

Uchodźcy potrzebują pomocy w rozpoczęciu przedsięwzięć, dzięki którym mogliby stać się niezależni.

Dobrym pomysłem byłoby zorganizowanie zajęć na temat ogrodnictwa, żeby mogli sami uprawiać rośliny jadalne.

Ten obóz dla uchodźców został założony zaledwie kilka tygodni temu, a już wszędzie wokół widać niewielkie chatki z gliny i drewna.

Zauważyłam kilkoro ludzi czekających w biurze z wielkimi tobołami. Część kobiet jest w ciąży. One również znajdowały się wśród setek przybyszów z Gwinei, którzy dotarli tu pieszo. Należało je zarejestrować, zapewnić im opiekę medyczną i miejsce do spania.

Czekamy na lotnisku na lot powrotny. To niewielki, biały budynek otoczony wojskowymi obozami.

Afrykańskie oddziały noszą helmy ONZ i flagę tej organizacji na mundurach.

Właśnie dotarli tu brytyjscy żołnierze w pełnym umundurowaniu, z wielkimi workami i bronią. Wszyscy poruszają się w zorganizowany sposób, błyskawicznie wyskakują z helikopterów i biegną w stronę czekających na nich ciężarówek.

Powiedziano nam, że nasz samolot stoi już na lotnisku, ale okazuje się to nieprawdą. Dlatego czekamy, starając się chronić w cieniu przed nieznośnym żarem.

Kiedy okazało się, że samolot jeszcze nie przyleciał, zapytaliśmy, ile przyjdzie nam czekać. Godzinę. Wszyscy mieliśmy ochotę na śniadanie albo przynajmniej kawę, więc pojechaliśmy do pobliskiej kafejki. Lokal był niewielki i pełen kurzu, ale naprawdę cudowny. Dziwna mieszanka afrykańskiego i chińskiego stylu. Wiekowe karty dań ledwie dało się odcyfrować. Złożyliśmy nasze zamówienia, a potem zaczęliśmy rozmawiać o rozmaitych problemach, z którymi każdy z nas musiał sobie radzić. Ledwie zdążyliśmy jednak zamienić kilka zdań, usłyszeliśmy, że samolot właśnie wylądował i musimy pędzić z powrotem. To nas naprawdę rozbawiło.

Lokalne linie lotnicze miały opóźnienie z powodu całej tej wojskowej aktywności, co jest najzupełniej zrozumiałe. Jakoś wcisnęliśmy się jednak w końcu całą dziesiątką do samolotu. W środku panował potworny upał, z głośników rozbrzmiewała muzyka, której nie potrafiłabym nawet określić. Zdaje się, że tekst piosenki był po francusku. Te rytmy towarzyszyły nam aż do końca podróży.

Kiedy dotarliśmy wreszcie na miejsce, była niemal czternasta. W drodze powrotnej do obozu uważnie przypatrywałam się ludziom. Teraz lepiej rozumiem ich zmagania.

Wyglądam przez okno.

Ich romantyczne męstwo wydaje się jednak tak mało istotne w porównaniu z małym bosym chłopcem, który próbuje utrzymać wielki pojemnik z wodą na głowie. Jest gorąco, a on ma zapewne daleką drogę do przebycia. I jeszcze długo po moim wyjeździe – może akurat w momencie, kiedy ktoś będzie czytał te słowa – będzie to robił, podobnie jak tyle innych rzeczy. A to przecież tylko mały chłopiec. Zresztą jeden ze szczęśliwców – przynajmniej na razie. Nie trafił do wojska, ma dostęp do pitnej wody. Nikt nie odciął mu dłoni ani stóp. I chociaż jest chudziutki, wygląda na raczej zdrowego.

Do biura zajął fotograf z pytaniem, co właściwie dzieje się w rozmaitych rejonach. Chciał też uzyskać pomoc w dostarczeniu do terenów, na których toczą się teraz najgorsze walki, albo przynajmniej otrzymać informacje, jak się tam dostać.

Zadanie nie jest łatwe, ponieważ do większości tych miejsc trudno dojechać. Są problemy nawet z dostarczeniem tam żywności dla potrzebujących.

Pracownicy biura zabrali się jednak za wyznaczanie najkorzystniejszej trasy podróży i ustalanie miejsc, w których mógłby złapać okazję. Ten człowiek próbuje przecież uświadomić ludziom na całym świecie, co się tu dzieje, by mogli samodzielnie wyrobić sobie zdanie w tej kwestii.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że większość zrobionych przez niego zdjęć przedstawia sceny, których wolelibyśmy nie oglądać, a które mimo wszystko powinniśmy zobaczyć.

Mężczyzna zainteresował się, skąd jestem.

– Z USA.

– Ach! Zajmuję się fotografią od dziesięciu lat, ale amerykańskie gazety nie chcą kupować tego rodzaju zdjęć. Za to inne kraje i owszem.

Dzisiaj jem kolację z Arnaudem Akodjenou, przedstawicielem UNHCR w Sierra Leone. To spotkanie ma mi pomóc zrozumieć, co właściwie dzieje się w tym kraju – jakie projekty są tu przez tę organizację prowadzone i co jeszcze należałoby zrobić. Porozmawiamy też zapewne o polityce.

Próbowałam oczyścić buty z kurzu i znaleźć czyste spodnie, ale pan Akodjenou na pewno nie będzie miał mi za złe mojego wyglądu. Jest coś fajnego w widoku tych moich brudnych ubrań i świadomości, dlaczego takie są.

Czuję, że na razie nie jestem w stanie zbyt wiele pomóc. Ale w końcu zaczynam coś robić. To miła świadomość, że z czasem zacznę pomagać coraz więcej.

Kiedy szłam już na kolację, poinformowano mnie, że pan Akodjenou się spóźni.

– Pojawiły się problemy. Policja dowiedziała się o planowanej na jutro demonstracji.

Kiedy wreszcie dotarłam na miejsce, powitał mnie mężczyzna z latarką.

Otoczające posiadłość ogrodzenie wieńczyły wysokie na pół metra kłęby drutu kolczastego. Wewnątrz wszystkie okna były starannie zabezpieczone. Starano się jednak, wykorzystując rozmaite rodzaje metalu i tynków, żeby jak najmniej przypominało to kraty.

Im więcej dowiaduję się o moim gospodarzu i w ogóle o ludziach tutaj, tym mocniej uświadamiam sobie, jak wielu niebezpieczeństwom muszą oni stawiać czoła.

Najwyraźniej akurat dzisiaj dobiega końca kadencja rządu. Niektórzy ludzie chcą jego zmiany, najchętniej sami przejęliby władzę. Mój gospodarz nie jest pewien, kto zamierza zorganizować tę demonstrację, podejrzewa jednak, że mogą to być ludzie z RUF-u. Ostatnim razem podczas podobnych protestów zginęło dziewiętnaście osób. Tamtego dnia, kiedy doszło do zamieszek, on sam utknął w biurze. Zdaje się, że tkwił tam od dziesiątej rano aż do szesnastej, a kiedy wreszcie wysłano po niego auto, samochód został porwany.

Podobno po ostatnich demonstracjach zasugerowano mu, że może powinien przenieść swoje biuro gdzie indziej. Inne ekspozytury ONZ w ogóle wyniosły się z tego regionu, jednak człowiek, od którego wynajmowali ten budynek, i tak zażądałby od nich zapłaty pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów dzierżawy. Nie było ich stać na wyprowadzkę. Zwłaszcza że taką sumę można przecież spożytkować na znacznie ważniejsze rzeczy.

Mój rozmówca głośno wyrażał też swoje uznanie dla personelu UNHCR pracującego z takim oddaniem. Ci ludzie

się nie poddają, chociaż wiedzą, z jakimi wiąże się to niebezpieczeństwami.

Poza tym w tak gorącym okresie pracownicy UNHCR nie mogą zabierać na placówki rodzin. Zaraz po Bożym Narodzeniu doszło do wydarzeń, które wymagały awaryjnego zwiększenia liczby pracujących w tym rejonie osób. Wiele z nich nie widziało swoich bliskich od naprawdę bardzo dawna.

Jutro wszyscy mają zostać w budynkach – w każdym razie wszyscy ci, w przypadku których będzie to możliwe. Troje ludzi będzie musiało udać się na nabrzeże, gdzie ma przybyć kolejny transport repatriantów z Gwinei. Trzeba będzie wynająć dla nich autobusy. Ciężarówki mogłyby się stać obiektem ataków ze względu na oznakowania ONZ. Miałam pomagać przy rejestracji, ale poproszono mnie, abym jednak tego dnia nigdzie nie wychodziła.

Amerykańska ambasada również może stać się obiektem ataków.

Nigeria, Stany Zjednoczone oraz Wielka Brytania wspierały poprzedni rząd i nie chcą zmian na szczytach władzy.

Mam nadzieję, że nie myślę tu faktów.

Jestem przerażona. Wiem, że wszystko będzie w porządku, ale muszę przyznać, że nie mam pojęcia, jak się właściwie zachować w podobnej sytuacji. Pewnie wszystko może się wydarzyć.

Może to niemądre z mojej strony, ale chyba przed północą spać spakuję plecak – to na wypadek, gdybym zaraz po przebudzeniu musiała uciekać. Na szczęście jestem tak zmęczona, że dzisiaj na pewno będę w stanie zasnąć.

Jutro też jestem umówiona – jem kolację z Josephem Melrose'em, ambasadorem USA w Sierra Leone. Poza tym mam się spotkać z przedstawicielami rozmaitych organizacji pozarządowych.

Nie jestem pewna, co teraz będzie. Tak naprawdę nie mam pojęcia, co się właściwie dzieje.

CZWARTEK, 1 MARCA

Wpół do dziesiątej i żadnych wieści.

Zjawił się jakiś człowiek, żeby poprawić łączność radiową.

Przy śniadaniu w ogóle o tej sprawie nie rozmawialiśmy. Chwaliliśmy się zdjęciami bliskich, dzieliliśmy opowieściami o naszych rodzinach.

Dwadzieścia po dziesiątej i nadal spokój. Ale jeszcze przez kilka godzin nikt nie wyjdzie do biura – tak na wszelki wypadek. Może fakt, że wszyscy byli się gotowi bronić, zapobiegł zamieszkom. W każdym razie już od samego rana siedzib rozmaitych instytucji, agend i ambasad strzeże wojsko.

Musiałam wybrać się do miasta, żeby odebrać pieniądze przesłane mi przez Western Union.

Nyambé przyjechała po mnie swoim autem, żebyśmy nie musiały korzystać z ciężarówki z oznakowaniem UNHCR. Policja zatrzymała nas do kontroli.

Dotarliśmy do agencji Western Union kwadrans za wcześniej, więc nie wpuszczono nas do środka. Wszystkich obowiązywały te same surowe wytyczne. Większość personelu Western Union podpierała ściany budynku po drugiej stronie ulicy.

W biurze UNHCR dowiadujemy się od pracowników, którzy byli rano na nabrzeżu, że tego dnia przybyło czterysta osiemdziesięcioro pięcioro repatriantów. Pozostaną w obozie przejściowym do jutra, a następnie wyruszą w głąb kraju kolejnym konwojem. Tym razem zmierzają do domu.

Dowiadujemy się również, że demonstracja ma się rozpocząć o piętnastej. Niektórzy twierdzą, że policja już rozpędza gromadzących się ludzi. Inna pogłoska głosi, że demonstracja rozpocznie się pod ambasadą USA. A ja po południu się tam wybieram.

Próbowaliśmy dodzwonić się do ambasady, żeby potwierdzić moje spotkanie z ambasadorem Melrose'em, ale dowiedzieliśmy się jedynie, że mamy zły numer. Musiało chodzić o względy bezpieczeństwa, bo kiedy to sprawdziliśmy, okazało się, że numer jest prawidłowy.

Kiedy znalazłam się już w ambasadzie, rzeczywiście zauważyłam dziury po pociskach w szybach. W którymś momencie atakującym udało się dostać do środka. Na szczęście istnieje mnóstwo różnych poziomów tego „środka”.

W amerykańskiej ambasadzie obowiązywały wyjątkowo ostre środki bezpieczeństwa. Nie mam pojęcia, dlaczego sądziłam, że to będzie jak odwiedziny w domu. W mojej ojczyźnie. W ogóle się tak nie czułam. Musiałam poczekać na zewnątrz, podczas gdy przepytywano Nyambé i sprawdzano jej tożsamość. Następnie zaproszono mnie do środka. Pobrano wymaz z powierzchni mojej torby i wprowadzono wyniki analizy próbki do komputera. Musiałam również przejść przez wykrywacz metali. Kiedy jednak znalazłam się już w środku, wszyscy zachowywali się wobec mnie naprawdę przyjaźnie.

Rozmawialiśmy o czterystu ofiarach amputacji w obozie, który odwiedziłam, i o wielu innych w obozach w Bo oraz Kenemie. Większość z nich mieszka razem, nie mają jednak wystarczającego wsparcia ani funduszy.

Dowiedziałam się, że pojawiły się dwie nowe ofiary amputacji, choć w ostatnim roku nie było ani jednej. Okaleczenia ustały. Ostatnio jednak w okolicach ramadanu obrażenia odniosło dwoje dzieci, półtoraroczne oraz około ośmioletnie.

Odcięto im dłonie.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, które przerwał w końcu ambasador Melrose:

– To takie smutne. Wciąż jest jeszcze tyle do zrobienia.

Następnie wzięłam udział w spotkaniu dotyczącym sposobu rozwiązania problemów z konwojami, sprawienia,

by przebiegały one sprawniej. Z powodu braku pieniędzy niektóre sprawy trzeba przesuwać, UNHCR może jednak w ostatecznym rozrachunku liczyć na wsparcie pracowników rozmaitych organizacji pozarządowych oraz innych agentur ONZ.

Trzeba dokonywać zmian, szukać kompromisów. Każda z takich decyzji ma wpływ na życie wielu ludzi, a ograniczenia oznaczają, że zawsze ktoś na tym ucierpi.

Liczba przybywających repatriantów jest bardzo wysoka – czterysta osób dziennie. Czy możemy przyjąć kolejnych? Gdzie ich ulokujemy?

Obecni na miejscu uchodźcy już i tak muszą się dzielić swoimi racjami żywnościowymi. Obozy są naprawdę przeludnione, więc to zupełnie normalne, że ich mieszkańcy nie witają nowych z otwartymi ramionami. Choć to nie ich wybór, będą musieli walczyć z przybyszami o jedzenie. Może zabrzmi to brutalnie, ale taka właśnie jest podstawowa zasada przetrwania.

Podczas rozmowy zauważyłam, jak bardzo wszyscy są sfrustrowani, kiedy tak bezskutecznie próbują znaleźć jakieś rozwiązanie.

W pomieszczeniu nie ma klimatyzatora, więc otwieramy okna. Teraz wszyscy muszą mówić naprawdę głośno, bo ulicą przejeżdża mnóstwo ciężarówek.

Na stole za moimi plecami stoją fotografie czworga pracowników UNHCR, którzy zginęli podczas pełnienia obowiązków w 2000 roku. Wyglądają na naprawdę życzliwych ludzi. Miłe twarze.

Kolacja w towarzystwie Josepha Melrose'a okazała się naprawdę wspaniałym doświadczeniem. Zostali na nią zaproszeni także inni przedstawiciele organizacji pozarządowych – w większości pracujący dla UNHCR. Przez cały wieczór rozmawialiśmy o sytuacji w różnych krajach.

Pozostaliśmy jednak zwykłymi ludźmi, zdarzyło się nam więc również kilka okazji do śmiechu. Sama nie wiem, o czym powinnam napisać, a co pominąć – tyle różnych opinii ścierało się podczas tego spotkania. Mogę tylko zaznaczyć, że wszyscy wydali mi się naprawdę oddani sprawie.

Trudno zrozumieć i wytłumaczyć, czym właściwie jest RUF, jak można się z nim rozprawić ani czy w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie. Wszyscy zdawali się być zgodni co do tego, że nie wierzą, by jego przywódcy naprawdę zapewnili uchodźcom „bezpieczny przejazd” przez swoje terytorium z Gwinei do Sierra Leone. Sama zastanawiałam się, dlaczego rebelianci mieliby tak postąpić.

Żeby ukraść zapasy?

Wziąć zakładników?

Zrobić z tych ludzi żywe tarcze?

Nic innego nie udałooby się im w ten sposób osiągnąć, więc dlaczego mieliby to robić?

Nikt nie zna odpowiedzi.

Na potrzeby uchodźców przeznaczane są spore fundusze, jednak większość pieniędzy trafia do miejsc, w których prowadzone są już i tak nieźle dotowane projekty. Niektóre obozy dysponują wręcz nadmiarem zapasów i środków, podczas gdy inne nie mają praktycznie nic.

Organizacje humanitarne nie mogą jednak dowolnie przesuwać funduszy z jednego miejsca w inne.

Ofiary amputacji otrzymują mnóstwo wsparcia, ponieważ ich sprawa odbija się szerokim echem na świecie – przede wszystkim za sprawą mediów. To naprawdę cudowne, że ludzi to obchodzi i że starają się wspierać takie ofiary finansowo.

Jednak teraz lepiej rozumiem już sytuację. Wiem, że wiele osób okaleczonych w wyniku działań wojennych – nawet ofiar amputacji – nie ucierpiało bezpośrednio z rąk rebeliantów.

Podobno często zdarza się tak, że partyzanci z RUF-u, grożąc lekarzom bronią, zmuszają ich do obcinania ludziom rąk i nóg czy okaleczania ich w inny sposób. Jeśli lekarz nie posłucha tych brutalnych, nieludzkich rozkazów, zarówno on, jak i jego rodzina zginą.

Obozy w takich udręczonych wojną rejonach z pewnością potrzebują więcej funduszy.

Kiedy piszę te słowa, aż trudno mi uwierzyć, że już jutro opuszczam Sierra Leone.

PIĄTEK, 2 MARCA

Siedzę w samolocie z Freetown w Sierra Leone do Abidżanu na Wybrzeżu Kości Słoniowej, gdzie spędzę jedną noc.

Sama nie wiem, co właściwie czuję.

Jakaś podróżująca z córką kobieta podziękowała mi za to, że zdecydowałam się przyjechać do ich kraju.

– Miło wiedzieć, że ktoś o nas myśli.

Pracuje dla UNHCR i sama też była w Gwinei.

Chciałam wyrazić swoje uznanie dla jej siły, podziękować temu krajowi za to, że mogłam się dowiedzieć tak wiele o tym wyjątkowym miejscu i mieszkających tu ludziach.

Nie byłam jednak w stanie się odezwać. Bałam się, że zaraz się rozplacę.

Kiedy opuszczałam Sierra Leone, wciąż słyszałam:

– Proszę pozostać z nami w kontakcie. Niech pani o nas nie zapomina.

Wszyscy powtarzali to z przyjaznym uśmiechem. Oczywiście, że o nich nie zapomnę. W przypadku większości osób dzieje się jednak inaczej.

Na całym świecie jest mnóstwo ludzi, którzy potrzebują wsparcia. Ze zdumieniem usłyszałam, że nawet Etiopia ma problemy – dotąd sądziłam, że sytuacja wygląda tam

znacznie lepiej. Myślałam, że ten kraj najgorsze ma już za sobą, ponieważ lata temu media donosiły o kierowanej tam pomocy humanitarnej. Ludzie na całym świecie dowiedzieli się, co się dzieje w Etiopii, zebrano ogromne fundusze, a potem wszystko nagle jakby ucichło. Ciągłe przypominam więc sobie, że te problemy nie zginęły tylko dlatego, że już o nich nie słyszymy. Z tą myślą przychodzi też świadomość, że na świecie dzieje się znacznie więcej rzeczy niż tylko to, o czym dowiadujemy się z telewizyjnych wiadomości.

Wszyscy musimy patrzeć głębiej, żeby się dowiedzieć...

Na czym polega problem?

Gdzie się to wszystko rozgrywa?

Jak możemy pomóc go rozwiązać?

Kiedy wysiadaliśmy z samolotu, pilot powiedział nam, że w Konakry, stolicy Gwinei, doszło do eksplozji.

Nieszczęśliwy wypadek czy atak terrorystyczny?

Tego nie wiemy.

Wielu z moich współpasażerów przyleciało z Konakry, bo właśnie stamtąd wystartował samolot. Uprzedzano ich, że może dojść do podobnego ataku.

I nagle wszyscy, którzy dopiero co wymienialiśmy się uwagami, szczęśliwi, że wreszcie wylądowaliśmy, zamilkliśmy. Opuszczaliśmy samolot noga za nogą.

Teraz czekam w kolejce do kontroli paszportowej. Wiele osób rozmawia przez telefony komórkowe. Nie mam pojęcia, o czym mówią, bo rozmawiają po francusku – ale z daleka widać, że są powody do niepokoju.

W końcu dowiaduję się, że wybuchła część wojskowych magazynów z amunicją.

Wygląda na to, że chyba nikt nie ucierpiał.

Minęło wiele godzin. Zostałam w końcu sama. Jest mi niedobrze, ale nie mam pojęcia, czy to z powodu zdenerwowania, czy może zaszкодziło mi jedzenie.

Chociaż jestem już w hotelu, nadal nie udało mi się skontaktować z rodziną. Zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce, a potem po prostu się rozplakałam.

Wciąż nie daje mi spokoju to wszystko, co widziałam. A skoro ja się boję, to jakim cudem radzą sobie te wszystkie dzielne kobiety, które muszą uciekać przed wojną? Niektóre z nich od lat nie widziały swoich mężów i dzieci. Nie mogę przestać myśleć o ich twarzach.

Nadal pamiętam też tego małego chłopca o uroczej buzi, który cierpiał z powodu urazu kręgosłupa. Już nigdy nie będzie chodził. Ja odpoczywam w hotelu, a on pewnie nadal leży w pyłe klepiska.

Kiedy byłam w Sierra Leone, ani razu nie pozwoliłam sobie na płacz. Mimo wszystkich okropności, które tam widziałam, nie uroniłam ani jednej łzy. A dzisiaj nie mogę przestać płakać.

Jutro ujrę kolejne twarze. Jutro będę musiała zrobić znacznie więcej.

Nie mam ochoty więcej pisać. Jest mi niedobrze.

SOBOTA, 3 MARCA

Lecę do Zurychu w Szwajcarii. Potem wybieram się do Tanzanii, ale nie mam bezpośredniego połączenia z Wybrzeża Kości Słoniowej, zostanę więc w Zurychu dwa dni. Przeszliśmy chyba przez pięć punktów kontrolnych. Nasze rozłożone na stołach nieopodal pasa startowego bagaże zostały dokładnie przeszukane przez strażników z latarkami, nas też sprawdzono wykrywaczami metalu. Nie mam pojęcia, po co te zwiększone środki bezpieczeństwa.

NIEDZIELA, 4 MARCA

Jestem w Zurychu, zatrzymałam się w Dolder Grand Hotel nad jeziorem.

Wszystko pachnie tu pomarańczami i wanilią.

Ziemię pokrywa warstwa śnieżnego puchu.

W hotelowym lobby zobaczyłam jakiegoś chłopca i natychmiast pomyślałam o tamtym małym zakurzonej Afrykańczyku, który w pocie czoła starał się utrzymać pojemnik z wodą na głowie.

Dwaj niewinni, śliczni chłopcy z dwóch różnych krajów świata, których przyszłość będzie wyglądać tak odmiennie.

Co lub kto decyduje, w jakim miejscu przychodzimy na świat, jak toczy się nasze życie i dlaczego?

Wciąż tylko śpię. Nie miałam pojęcia, że byłam aż tak zmęczona.

PONIEDZIAŁEK, 5 MARCA

DWUDZIESTA CZTERDZIEŚCI, LOT 292 LINII SWISSAIR

Wyruszyłam z Zurychu do Dar es Salaam w Tanzanii.

WTOREK, 6 MARCA

Jeszcze przed wschodem słońca przygotowaliśmy się do wejścia na pokład następnego samolotu, ale ponieważ brak tutaj systemu przywoływania, nikt z nas nie miał pojęcia, o której wystartujemy.

W oczekiwaniu na wejście na pokład akurat zawierałam nowe znajomości ze współpasażerami, kiedy podbiegł do mnie pracownik UNHCR.

- Musimy pędzić!

Mężczyzna, który wziął nasze bilety, porządnie zbesztal nas za to, że się spóźniliśmy. Zaczęłam przeproszać, bałam się, że nie wpuści nas na pokład.

Samolot okazał się bardzo starą maszyną ze śmigłami. Lot, który normalnie zająłby nam trzydzieści minut, trwał trzy godziny. Wylądowaliśmy na pasie ubitej ziemi pośród całego morza cudownej zieleni. Słońce stało już wysoko na niebie.

Potem czekała nas jeszcze dwuipółgodzinna podróż samochodem do siedziby głównej UNHCR w pobliżu obozu dla uchodźców. Kazano mi zapiąć pasy bezpieczeństwa, że-bym „nie podskakiwała tak bardzo podczas jazdy”.

Akurat jest święto. Nie bardzo wiem jakie, ale tutaj każdy powód do świętowania wydaje się dobry.

Niektórzy twierdzą, że nie rozumieją, dlaczego ludzie, którzy nie mają dość jedzenia, by zaspokoić głód, sprzedają nawet te skromne zasoby i kupują coś niepraktycznego na ślub czy urodziny. Tutaj jednak człowiek uświadamia sobie, że właśnie po to się żyje. Nie oszczędza się wszystkiego w oczekiwaniu na jakiś wyjątkowy dzień, kiedy wszystko zmieni się na lepsze. Trzeba żyć po prostu z dnia na dzień. Wszyscy powinniśmy uczyć się od uchodźców tej trudnej sztuki.

Dotarliśmy wreszcie na miejsce, nie mając pojęcia, gdzie się zatrzymamy ani czy w ogóle dostaniemy coś do jedzenia.

Wybraliśmy się na targ. Miałam wyrzuty sumienia, że stać mnie na to, by kupić sobie jedzenie. Targ okazał się tak brudny i lichy, że aż zaczęłam się obawiać, czy na pewno nie stwarza zagrożenia dla zdrowia, czy jedzenie można spożywać bez obaw. W końcu kupiłam banany i upieczony przez jakiegoś człowieka chleb.

Trudno przyzwyczać się do widoku tych wszystkich ludzi nawykłych do życia w podobnej nędzy.

Moją uwagę przykuł mężczyzna produkujący sandały ze starych opon.

Kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam człowieka przywiązanego za ręce do kozy. Podążała za nim grupa około czterdziestu osób, wśród których były także i dzieci. Tłum otaczał zakrwawionego, wycieńczonego mężczyznę ze wszystkich stron. W pewnym momencie dostrzegłam, że niektórzy z tych ludzi trzymają w rękach kije, którymi okładają mężczyznę po plecach. Tłum wiwatował, dzieci się uśmiechały. I znowu ktoś wymierzył cios. Zrobiło mi się niedobrze.

Odszukałam człowieka, który towarzyszył mi w wyprawie na targ.

– Dlaczego biją tego mężczyznę? Co się dzieje?

Mój towarzysz popatrzył na mijającą nas grupkę, a potem spytał kogoś z miejscowych, o co chodzi.

– Ten człowiek ukradł kozę. Prowadzą go na posterunek policji.

W drodze powrotnej zaczęliśmy rozmawiać na temat prawa. O tym, że czasem lepiej jest załatwić sprawę w obrębie swojej wspólnoty czy też z zastosowaniem „prawa plemiennego”, ale że niekiedy takie rozwiązanie bywa równie wielkim problemem.

Nawet mój towarzysz był jednak zaskoczony tą sceną – nigdy wcześniej nie widział takiego sposobu karania złodziei.

Jestem teraz w mieszkaniu funkcjonariuszki terenowej UNHCR (czy też raczej kompleksie mieszkalnym, jak to się tu określa). Kobieta ma na imię Alexandra i mieszka w jednym z domków na terenie kompleksu. Lokum jest skromne, znajduje się w nim jedynie to, co naprawdę niezbędne – łóżko i radio.

Pomieszczenie zostało spryskane środkiem przeciwko komarom, w powietrzu nadal unosi się silny zapach chemikaliów.

Alexandra uprzedziła mnie, że bym do mycia zębów nie używała wody z kranu, która potrafi być mętna, wręcz brązowa. Za to prysznic można brać bez obaw.

Moja gospodyni wyszła gdzieś z kilkoma innymi pracownikami UNHCR. Zostawili mi walkie-talkie – „tak na wszelki wypadek”.

– W razie czego proszę wybrać numer 5354.

Nie żartowali, wiedziałam jednak, że gdyby naprawdę się czegoś obawiali, nie zostawiliby mnie samej.

Chodzi o to, że nawet gdyby coś mnie wystraszyło, nie byłabym w stanie myśleć wystarczająco rozsądnie, żeby rzeczywiście zadzwonić.

Sprawdziłam, gdzie Alexandra trzyma noże, i wybrałam sobie jeden z nich – tak dla bezpieczeństwa.

Wiedziałam jednak, że gdyby przyszło co do czego, zwyczajnie rzuciłabym się do ucieczki.

ŚRODA, 7 MARCA

Obudził mnie hałas przejeżdżających ciężarówek, pianie kogutów i śpiew ptaków.

Zza okna dobiegają głosy. Znajduje się w nim jedynie siatka, więc dźwięki są naprawdę głośne. Nie mam pojęcia, w jakim języku rozmawiają ludzie na zewnątrz. Wsluchuję się we wszystkie te odgłosy, podczas gdy słońce właśnie wylania się zza horyzontu. Potem rozlega się pukanie do moich drzwi, co oznacza, że pora wstawać.

Niektórzy z funkcjonariuszy UNHCR pracują w obozie dla uchodźców siedem dni w tygodniu, zmieniając się co dwa miesiące. Wielu z nich podczas pracy w terenie nie ma również wolnych weekendów, chociaż oficjalnie nie są to dla nich dni pracy. Jednak zapewnienie uchodźcom ochrony i wsparcia to naprawdę wymagające, nigdy się niekończące zajęcie. Dobrowolny urlop dla złagodzenia skutków izolacji (*Voluntary Absence for the Relief of Isolation* – VARI) został wymyślony właśnie po to, aby zniwelować narastający stres międzynarodowych pra-

owników UNHCR, którzy trafiają na najbardziej nawet oddalone i odosobnione posterunki, gdzie spotykają się z wyjątkową kombinacją ekstremalnych czynników, co wymaga wzięcia co pewien czas urlopu, by uporać się z napięciem nerwowym i fizycznym zmęczeniem, jakie wywołuje praca w podobnych warunkach. Po dwóch miesiącach pracy w jednej z takich placówek międzynarodowy personel otrzymuje prawo do pięciu dni wolnego. Na obowiązkowy urlop w celu uporania się ze stresem (*Mandatory Absence for the Relief of Stress – MARS*) idą ci, którzy pracują w bardziej niebezpiecznych, stresogennych warunkach.

Porozmawiałam sobie trochę z Alexandrą podczas śniadania składającego się z kawy z mlekiem w proszku (jak zwykle) i chleba. Alexandra była taka szczęśliwa, że może mi do tego zaproponować odrobinę dżemu.

Opowiedziała mi o trzyletniej dziewczynce, która została zgwałcona.

Pracownicy UNHCR walczą o wprowadzenie prawa, które pozwoliłoby dopilnować, by sprawców takich czynów spotkała zasłużona kara. Trzeba całych lat, by te dzieci doczekały się sprawiedliwości. Jak wszyscy powtarzają, „to takie frustrujące”.

OBÓZ W NYARUGUSU DLA UCHODźCÓW Z KONGA

Do obozu w Nyarugusu dotarliśmy wyboistą gruntową drogą, którą deszcze tylko jeszcze rozmyły. Wiele osób ugrzęzło w błocie.

Pięćdziesiąt trzy tysiące uchodźców z Konga czekają w kolejce po żywność, która jest tu rozdzielana dwa razy w miesiącu.

Co miesiąc rodzi się tu dwieście pięćdziesięcioro dzieci.

Zagubieni członkowie szczepów trafiają właśnie tutaj, dzięki czemu udaje się ponownie zjednoczyć kolejne rodziny.

Ich liczba stale rośnie.

Racje żywnościowe wciąż są zmniejszane z powodu braku środków. Wszyscy dostają mniej niż zwykle.

System jest bardzo skomplikowany.

Moim pierwszym zadaniem była praca na stanowisku numer 4 przy rozdzielaniu worków z hurtowymi ilościami żywności poszczególnym grupom uchodźców.

Skoncentrowałam się na pięćoosobowych rodzinach z dziećmi w wieku od roku do dziesięciu lat.

Tym razem nikt nie otrzymał przydziału oleju jadalnego, ponieważ ciężarówka z jego zapasami utknęła gdzieś na rozmytej drodze.

Obiad zjadłam w towarzystwie przedstawicieli Chrześcijańskiej Organizacji Niesienia Pomocy i Rozwoju (*Christian Outreach Relief and Development* – CORD).

Dostaliśmy kapustę, ryż i fasolę, do tego wodę. Byłam okropnie głodna.

Uchodźcy chcieli dla nas wystąpić przy akompaniamencie własnoręcznie wykonanych instrumentów.

Dzięki temu podczas jedzenia mogliśmy posłuchać muzyki.

W którymś momencie zauważyłam trzy-, może czteroletniego chłopca, który wspiał się na drzewo, żeby lepiej wszystko widzieć. W tym konkretnym obozie pracownicy UNHCR prowadzą specjalny program dla młodych uchodźców.

Zwykle przebywa w nim około dwieście dzieci więcej niż te, które widziałam podczas swojej wizyty, ale był to akurat dzień, w którym rozdzielano jedzenie.

Dzieci, które poznałam, były niezwykle serdeczne i życzliwe. Na moje powitanie puściły się w płąsy, usłyszałam też, że „mogłyby tak przetańczyć cały dzień”. W którymś momencie zaczęły mnie zapraszać gestami, żebym do nich dołączyła, tak więc zrobiłam. Dzieci uznały to za naprawdę zabawne.

Następnie poinformowano zgromadzonych, że mali uchodźcy, jak również pracownicy UNHCR, CORD oraz

moja skromna osoba odegramy sztukę na temat HIV i AIDS. Podczas przedstawienia pracownik zajmujący się szerzeniem wiedzy na temat tej choroby rozdawał młodzieży prezerwatywy i tłumaczył:

– Musicie ich używać, jeśli nie przeprowadzicie badania krwi. Badania i prezerwatywy są dostępne we wszystkich centrach dla młodzieży.

Na prowizoryczną scenę wyszli trzej chłopcy z pasmami włosów wysmarowanymi białą farbą i twarzami postarzonymi za pomocą malunków, kulejąc i podpierając się na kijach symbolizujących laski. Kiedy zaczęli zachowywać się i narzekać niczym schorowani staruszkowie, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

To był naprawdę cudowny widok.

Przedstawienie opowiadało historię człowieka, który nie chce, żeby jego córka spotykała się z pewnym chłopcem. Przekonuje ją, żeby została w domu, ona jednak wychodzi na spotkanie z młodym człowiekiem. Dopiero później dowiaduje się, że inna dziewczyna, która z nim sypiała, choruje na AIDS.

Uchodźcy mieszkający w obozie projektują i ozdabiają odpowiednimi nadrukami T-shirty mające ostrzegać przed tą chorobą. Dostałam jeden z nich w prezencie. Dzieciaki zaczęły oczywiście chichotać, kiedy zabrałam się za jego zakładanie, przy czym głowa mi utknęła. W końcu jednak jakoś się z tym uporałam, na co młodzi ludzie zaczęli bić mi brawo i mnie ścisnąć.

Naszym następnym przystankiem był plac budowy, na którym mężczyźni wznosili całkiem spore budynki z cegieł. Przez jakiś czas próbowałam im pomagać, ale szybko zorientowałam się, że to naprawdę ciężka praca.

Powiedziałam jednemu z tych mężczyzn, jak bardzo go podziwiam, że jest w stanie tak pracować przez cały dzień, świątek czy piątek. W odpowiedzi usłyszałam:

– Tak, to ciężka praca, ale robimy to dla dzieci, więc to naprawdę dobre uczucie.

Piszę te słowa podczas jazdy kolejną nieutwardzoną drogą. Właśnie natknęliśmy się na niej na traktor wyciągający autobus, który utknął w błocie wcześniej tego dnia i teraz po raz kolejny.

Dzieci obserwują to widowisko z pobocza drogi. Śmieją się. Wygląda na to, że autobusu nie da się już uratować.

Pasażerowie wydostają się z niego przez okna, po czym ruszają pieszo przez busz. Niektórzy zostają, żeby zarobić trochę pieniędzy za pchanie autobusu.

Kiedy próbowaliśmy go wyminąć, sami wylądowaliśmy w błocie i musieliśmy czekać na przyjazd kolejnego traktora, który w końcu nas wyciągnął.

Po drodze natknęliśmy się na autostopowicza, jednak nasz kierowca powiedział mu:

– Przykro mi, nie możemy zabierać ludzi z bronią.

Czegoś takiego człowiek z pewnością nie usłyszałby w Stanach Zjednoczonych!

Obserwuję uchodźców. Rozmawiałam i tańczyłam z nimi. Czuję, że zaczynam się z nimi zaprzyjaźniać.

Ktoś kiedyś powiedział: „Więcej dowiesz się o człowieku po godzinie zabawy niż po całym roku rozmów”.

Doświadczyłam czegoś takiego – w każdym razie czegoś podobnej natury. Tak właśnie czułam.

Wszyscy prosili o mój adres, obiecywaliśmy sobie utrzymywać kontakt.

Najsmutniejsze jest to, że ci ludzie doskonale zdają sobie sprawę, jak wiele minie czasu, zanim będą mogli opuścić ten obóz.

Jednak ich hart ducha i wola przetrwania nadal nie przestają mnie zdumiewać. Szkoda, że nie potrafię znaleźć lepszego określenia. Ci wspaniali ludzie są dla mnie źródłem inspiracji. To prawdziwy zaszczyt, że mogłam spędzić tyle czasu w ich towarzystwie.

W końcu wróciłam do swojego pokoju.

Jestem zmęczona i bardzo brudna.

Ciepłą wodę uzyskuje się tu dzięki wykorzystaniu solarów, ale słońce już zaszło, więc czeka mnie zimny prysznic.

Robi się też ciemno, ale światło nie zapłonie przed dziewiętnastą trzydzieści.

Prądu nie ma tu między 00:30 a 7:30 albo między 16:00 a 19:30.

Obie z Alexandrą żartujemy sobie:

– Wszystkie te rzeczy, które traktujemy jako oczywistość!

Alexandra ma rację. I chociaż dzień miałam ciężki, czuję się naprawdę świetnie. Spotkanie z tymi wszystkimi ludźmi sprawiło, że był to jeden z najwspanialszych dni w moim życiu.

Nadal nie zapominam jednak, że przyjechałam tu jedynie na krótko. Poza tym ja mam wybór. Mieszkam daleko stąd – w naprawdę komfortowych warunkach.

Podziwiam ludzi, którzy tu pracują – wszystkich bez wyjątku.

Większość z nich ma podkrążone oczy. Cały czas rozmawiają o tym, jak rozwiązać ten czy inny problem – by móc pomagać skuteczniej.

Czasami – tak jak tego wieczora – opowiadają jednak przede wszystkim o tym, co widzieli.

EKSTERMINACJA LUDNOŚCI RWANDY W 1994 ROKU

Setki tysięcy uchodźców szły mostem łączącym Rwandę z Tanzanią. Przepływająca poniżej rzeka była pełna trupów – ponad czterdzieści tysięcy ciał. Ludzie próbowali je wyciągać, teraz jednak to jedno wielkie cmentarzysko.

Najwyraźniej w 1994 roku Wielka Brytania i USA postanowiły wesprzeć poczynania uchodźców pragnących wrócić do ojczyzny. Panowało powszechne przekonanie, że w Rwandzie zapanował wreszcie pokój.

Ale chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, że wracają do domu, wielu z tych ludzi czuło się zmuszanych do przeprowadzki. Co prawda wierzyli, że nie spotka ich już nic złego, z całą pewnością nie była to jednak dobrowolna repatriacja, tak jak ma to teraz miejsce w Sierra Leone.

Powrót wcale nie okazał się jednak bezpieczny. W Rwandzie wciąż nie było spokoju.

Podczas tej fali ludobójstwa zginęły miliony ludzi.

A jednak wszyscy oni woleli umrzeć na ojczystej ziemi.

Alexandra pomogła mi podgrzać trochę warzyw i ryżu.

Dziś wieczorem zostaje w domu. Jest bardzo zmęczona. Ostatnio ciągle jeździ z miejsca w miejsce, więc nie może się już doczekać swojego siedmiodniowego urlopu.

Pracownicy UNHCR mają do wyboru wyjazd do Dar es Salaam w Tanzanii lub do Nairobi w Kenii. Na początku, kiedy dowiedziałam się o możliwości wzięcia takiego urlopu, pomyślałam, że pewnie wszyscy decydują się na powrót do domu albo przynajmniej na wyjazd w miejsce, gdzie mogą liczyć na towarzystwo innych ludzi.

Jednak Alexandra najchętniej zostaje na miejscu. Nadal ma tyle do zrobienia w biurze UNHCR.

Wystarczy jej możliwość pójścia na targ po zakupy.

Ależ jestem rozpuszczona. Wyjechałam z domu przed zaledwie trzema tygodniami, a w czasie przerw między podróżami do kolejnych krajów pochłonęłam więcej jedzenia, niż ci uchodzący kiedykolwiek zobaczą. Na dodatek nie mogę się już doczekać powrotu do wszystkich tych luksusów, które czekają na mnie w domu.

Przed wszystkim jednak tęsknię za bliskimi. Chcę jak najszybciej się upewnić, że są bezpieczni i mają wszystko, czego im trzeba.

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co czuje matka czy ojciec albo nawet żona lub mąż, kiedy ci, których kochają najbardziej, cierpią, a oni nie mogą nic na to poradzić...

Kiedy matka nie może nakarmić dziecka.

Kiedy ojciec nie potrafi zapewnić bytu rodzinie.

Kiedy mąż nie jest w stanie ochronić żony.

Dzisiaj Alexandra przez cały dzień wypisywała akty urodzenia dla ponad czterystu maluchów, które przyszły na świat w obozach dla uchodźców pod jej opieką. Współpracuje z Czerwonym Krzyżem, zajmuje się całą tą papierkową robotą.

Jest dopiero dwudziesta, ale zamierzam się zaraz położyć.

Nawet nie dlatego, że jestem zmęczona, ale po prostu nie mam nic do roboty. Przeczytałam już wszystko, co zabrałam ze sobą w tę podróż. Stojące na półkach książki Alexandry są po flamandzku, więc nici z lektury.

Minęły dwie i pół godziny, odkąd napisałam powyższe słowa. Teraz naprawdę kładę się już spać.

Spędziłam ten czas na pogawędce z Alexandrą – właściwie o wszystkim, nawet o niebezpiecznych sytuacjach, w jakich znalazła się w związku ze swoją pracą.

O spaniu w ubraniu i butach, żeby w każdej chwili być gotowym do ucieczki.

Jeden z jej kolegów z UNHCR zginął – został bestialsko zamordowany – podczas pracy.

Rozmawialiśmy też o kłopotach z zaopatrzeniem i o tym, że brakuje już nawet mydła dla uchodźców.

Od tej pory trzeba będzie obciąć wszelkie przydziały o dwadzieścia procent.

Światowy Program Żywnościowy (*World Food Program* – WFP), kolejna z agencji ONZ odpowiedzialna za rozdzielanie żywności, również wprowadza ograniczenia.

Nie ma w tym niczyjej winy, ale to naprawdę frustrujące i trudne do wytłumaczenia ludziom, którzy już i tak muszą się obywać artykułami pierwszej potrzeby w naprawdę śladowych ilościach: wyłącznie podstawowymi suplementami diety, żeby zachować zdrowie, i tą skromną ilością kalorii, która pozwala im pozostać przy życiu. Teraz będzie to zaledwie osiemdziesiąt procent dotychczasowych porcji, a i tak ci ludzie mają szczęście, że dostają choć tyle.

Rozmawialiśmy także o tym, że brakuje nawet podpasek, i o tym, jak muszą się w związku z tym czuć te wszystkie kobiety.

Alexandra wspomniała również, że w tutejszych więzieniach sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Ludzie są tam zamknięci jak zwierzęta w klatkach i nie mogą się nawet umyć.

CZWARTEK, 8 MARCA

Obudził mnie szum deszczu – zimny, wilgotny dzień.

Drogi, rozdzielanie żywności – jak wygląda życie w obozach, kiedy pada?

W sobotę miał po mnie przylecieć prywatny samolot ze studia filmowego, żebym mogła wziąć w Los Angeles udział w konferencji prasowej i premierze mojego filmu. Właśnie się dowiedziałam, że samolot nie przyleci, bo premiera została odwołana.

Nie da się nie kochać Hollywood.

Tak miałam przecież wrócić do domu.

Zostało mi niewiele zapasów – resztką leków i gotówki, parę czystych ubrań.

Nie mam pojęcia, jak wrócę teraz do Los Angeles.

Co kilka dni odlatują stąd jedynie ośmioosobowe samoloty, a i one mają długie międzylądowania. Nawet na krótkich dystansach coś, co miało być zaledwie godzinnym przystankiem, często okazuje się całym dniem przerwy. Próbowano mnie jakoś wcisnąć na jutrzejszy lot, ale samolot jest pełny.

Muszę lecieć najpierw do Zurychu, potem do Amsterdamu, żeby jakoś dostać się do Los Angeles.

Pracownicy UNHCR postarają się mi pomóc ze swojego biura w Dar es Salaam, ale mają przecież znacznie ważniejsze sprawy na głowie. Nie jestem już potrzebna na premierze, więc nagle okazuje się, że sama muszę znaleźć sposób na to, by wrócić do domu.

OBÓZ W MTABILI

Mieszka tu dziewięćdziesiąt pięć tysięcy uchodźców, głównie z Burundi.

Dzięki UNHCR dotarłam do centrum medycznego i żywnościowego, który w obrębie obozu prowadzą pracownicy Czerwonego Krzyża.

Moim pierwszym zadaniem było odmierzanie mikroelementów w proszku w punkcie dożywiania.

Dzieci poniżej piątego roku życia – dodatkowa racja składników odżywczych.

Kobiety w ciąży – starannie odmierzona dawka.

Starałam się wykonywać moje zadanie z wręcz aptekarską precyzją, byle tylko nikomu nie przypadła porcja choć odrobinę za mała.

Pracownicy punktu medycznego muszą kontrolować stan zdrowia dzieci, żeby mieć pewność, że maluchy rosną i przybierają na wadze. Noworodki są mierzone i ważone, a następnie szczepione. Jedno z przerażonych maleństw zsiusiało się na stole do badania. Jego matka wytarła miejsce rąbkiem sukienki. W obozie brakuje mydła, więc wszyscy mają problemy z utrzymaniem higieny.

Kuchnia składa się z jednego niewielkiego pomieszczenia z trzema wielkimi glinianymi garnkami ustawionymi na

opalanych drewnem piecykach. Trudno tam coś dojrzeć, bo pomieszczenie jest wypełnione dymem, od którego pieką mnie oczy.

Pomagałam przy przygotowywaniu mleka dla matek. Trzeba je rozrobić z proszku. Niewielkim plastikowym dzbankiem nabierałam dwa litry wrzątku (odmierzając najstaranniej, jak to tylko możliwe) i nalewałam go do starego poobijanego wiadra z zielonego plastiku. Trudno nie poparzyć przy tym sobie rąk gorącą wodą. Należy ją zostawić w wiadrze do ostygnięcia (żeby temperatura nie zniszczyła zawartych w mleku protein), a następnie rozrobić w niej mleko w proszku.

ODDZIAŁ PEDIATRYCZNY

Pod obiema ścianami pomieszczenia stało jakieś piętnaście niewielkich drewnianych łóžeczek – każde otoczone siatką, żeby uchronić maluchy przed ugryzieniami moskitów, które mogą przenosić malarię. Większość siatek jest dziurawa. Malaria występuje w tym rejonie tak powszechnie, że właściwie nie sposób się przed nią uchronić. Kolejnym ogromnym problemem jest biegunka. W przypadku niemowląt i małych dzieci odwodnienie często okazuje się zabójcze.

Cały czas pryskam się środkiem DEET przeciwko moskitom, a i tak jestem pogryziona. Owady atakują nie tylko nocą. Na szczęście mam przy sobie tabletki przeciwko malarii, które co prawda nie chronią człowieka przed zachorowaniem, ale pozwalają uniknąć najgorszych objawów.

Na ostatnim łóžeczku siedziała ósmiolatka trzymająca na kolanach okutanego chustką braciszka. Małeństwo straciło dwieście gramów. Ma biegunkę i najprawdopodobniej robaki.

Ta mała dziewczynka była świadkiem śmierci rodziców i starszego brata, którzy zostali brutalnie zamordowani. Ja-

kimś cudem udało się jej uciec z braciszkiem. Chłopczyk jest tak straszliwie wychudzony. Chyba nie przeżyje. Ale dziewczynkę obchodzi wyłącznie on. To jej jedyna rodzina.

Nikt nie pozostaje obojętny po spotkaniu z tą dwójką. Jedna z pielęgniarek musiała nawet wyjść. Zaczęła płakać, więc któryś z mężczyzn wyprowadził ją na zewnątrz.

Dziewczynka ani razu nie podniosła na nas wzroku. Biedactwo. Po prostu wyglądała przez okno, wsparłszy podbródek na główce braciszka.

Była zbyt słaba, by płakać.

BIURO OCHRONY

Poznałam ośmiu chłopców w wieku od trzynastu do szesnastu lat.

Jeden z nich, Misago, opowiedział mi o ataku rebeliantów, do którego doszło 12 lutego 2001 roku. Zginęło wtedy lub zostało poważnie rannych wiele osób. Atak przeprowadzono w środku nocy. Rankiem Misago zobaczył te wszystkie ciała.

Przez tydzień wędrowali pieszo razem z kolegą. W końcu zabrała ich jakaś wojskowa ciężarówka.

Żołnierze zapytali ich:

– Gdzie są wasi rodzice?

– Nie żyją.

Misago jest bardzo wygadany.

Usłyszał o obozie przez radio, w wiadomościach BBC.

Jego ojciec zginął w czerwcu 2000 roku, matka została zabita pół roku później, w grudniu. Wszyscy mieszkali w wojskowym obozie, który został zaatakowany. Misago przekroczył granicę i dotarł aż tutaj. Teraz on również jest uchodźcą.

Właśnie przechodzi rozmowę wstępną, która poprzedza rejestrację, chociaż jutro i tak ma zostać przeniesiony do innego obozu.

Bardzo się cieszę, że istnieje miejsce takie, jak ten obóz, że Misago mógł tu trafić. Wszyscy od razu go polubili. W tym biurze może być człowiekiem – nie tylko numerem. Tutaj może liczyć na pomoc, której tak bardzo potrzebuje.

Rząd organizuje obozy rekrutacyjne, żeby zebrać ludzi w większe grupy. Mieszkańcy takich obozów nie mogą wychodzić poza ich obręb, żeby nie pomyłono ich z rebeliantami.

Wygląda na to, że wszyscy ci ludzie tkwią uwięzieni w samym środku wojny.

Misago próbuje też odnaleźć brata.

Pracownicy UNHCR zaczęli rozmawiać o jego sytuacji. Razem z innymi chłopcami miał zostać przeniesiony do innego obozu, gdzie mogliby wreszcie zbudować dom.

Tych ośmiu chłopców miało ostatnio co jeść tylko dlatego, że Venice, jeden z pracowników UNHCR, dał im pieniądze z własnej kieszeni. Chłopcy śpią na podłodze w biurze. Nie mogli dostać przydziału żywności, ponieważ nie zostali jeszcze zarejestrowani.

Do biura wszedł kolejny chłopiec – czternasto-, może szesnastoletni. Początkowo podróżował w pojedynkę, ale podczas przekraczania granicy poznał innego chłopca. Wciąż na mnie zerkał – może dlatego, że byłem tu nowa, a może dlatego, że tak bardzo starałam się nie rozplakać. Pod powiekami czułam łzy. Sama nie wiem, ilu takich historii zdołam jeszcze wysłuchać.

– Ojciec?

– Nie żyje.

Chłopiec mieszkał dotąd z babcią, która była zbyt stara, żeby uciekać, kiedy zostali w nocy zaatakowani.

Ubrania jego i jego towarzysza były brudne i pełne dziur tak wielkich, że te koszmarnie strzępy właściwie z nich spadały.

Chłopiec wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

Pracownicy biura zapytali go, czego oczekuje od UNHCR.

– Pomóżcie mi znaleźć babcię – odpowiedział.

Spodziewałam się, że poprosi raczej o jedzenie czy dach nad głową – coś niezbędnego do przetrwania – ale jemu zależało wyłącznie na bezpieczeństwie babci. Chciał ją znowu zobaczyć.

Po ich wyjściu w biurze zjawił się kolejny chłopak. Ręce trzymał przyciśnięte do boków, wzrok wbił w ziemię. Wyglądał na jakiegoś czternaście lat.

Personel UNHCR postanowił porozmawiać z szefem biura ochrony o tym, by wszyscy chłopcy mogli zostać w obozie.

Trzech chłopców podejrzewa, w którym z pozostałych obozów dla uchodźców mogą się znajdować ich krewni. Powinni tu zostać, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że da się zjednoczyć ponownie ich rodziny. Bardzo możliwe, że ich bliscy nie zostali jeszcze przeniesieni.

Tych ośmiu chłopców to jeszcze dzieci, którym należy zapewnić przynajmniej tymczasowe schronienie. Nie potrzebują przenosin do następnego obozu, w którym będą musieli zaczynać wszystko od początku.

Pracownicy biura rejestracyjnego uznali, że nie ma potrzeby przeprowadzać wywiadu z pozostałymi chłopcami. Trzeci z nich, który właśnie wszedł, usłyszał, że rozmowa nie będzie konieczna.

Było coś w sposobie, w jaki powoli wycofał się z pokoju i pochylił głowę, co przyprawiło mnie o straszny smutek. To nie była wyłącznie grzeczność z jego strony. Miał w sobie tyle uległości.

Podejrzewam, że całkiem niedawno musiał paść ofiarą maltretowania czy innych okropnych doświadczeń – przerażony mały chłopiec o straszliwie smutnej twarzy.

Modłę się za tych chłopców. To przerażające pomyśleć, że to zaledwie ósemka z ponad dwudziestu milionów. Jakie mają szanse?

Większość pozostałych rozmów tego dnia dotyczyła rejestracji, uzupełnienia wcześniejszych wywiadów czy kwestii rozwiązania konkretnych problemów.

Aż robi mi się cieplej na sercu na samą myśl, że istnieje takie miejsce, gdzie wszyscy ci ludzie mogą przyjść ze swoimi problemami, gdzie wreszcie mają głos.

Jest tylu uchodźców na świecie! Można sobie wyobrazić, ile spraw umyka niezauważonych.

UNHCR działa tutaj, by chronić praw tych wszystkich uchodźców – podstawowych praw człowieka.

PRZYWRÓCENIE PRAW

Przeprowadza się szczegółowe rozmowy z uchodźcami, żeby ustalić ich status. By mogli stać się obywatelami nowego państwa. Ci ludzie potrzebują bezpiecznego miejsca, w którym rozpoczną nowe życie. Większość z nich zamieszka w obozach z nadzieją, że kiedyś w ich ojczyźnie zapanuje pokój, a oni będą mogli wrócić do domu.

Bez takiego ponownego potwierdzenia ich praw czują się jak w potrzasku – nie są nawet obywatelami kraju, w którym obecnie mieszkają.

Do biura weszła dziewiętnastoletnia dziewczyna. Historia jej życia jest zbyt skomplikowana, by opisać ją tu w całości. Przez cały czas, kiedy mówiła, nie przestawała ocierać łez. Chce odnaleźć rodzinę. Mieszkali razem w jednym z obozów dla uchodźców, jednak rozdzielono ich, a ona została zupełnie sama. Wydaje się jej, że jej krewnych przesiedlono do Kanady.

Zjawił się też mężczyzna, który szukał żony i dzieci. Zostali rozdzieleni w jednym z obozów, a potem jego bliskich wysłano do Kanady. Zdołał ich odnaleźć, ale możliwość dołączenia do nich to zupełnie inna sprawa.

Wyciągnął nawet przykurzone zdjęcia, które przesłała mu żona. Jego bliscy wydawali się tacy szczęśliwi w swoim nowym domu. Błagając o pomoc w dołączeniu do rodziny, wskazywał po kolei:

– Żona... syn... córka... i najmłodsze...

Uświadamiam sobie, że jeśli wszystkie dokumenty nie zostaną wypełnione odpowiednio, a cała biurokratyczna procedura przeprowadzona właściwie, ten człowiek nigdy nie spotka się z rodziną.

Kiedy wyruszyliśmy samochodem do następnego miejsca, zauważyłam tych samych chłopców, których widziałam już wcześniej. Siedzieli na ziemi w milczeniu, wpatrując się po prostu gdzieś w dal.

Nie mam pojęcia, co począć. Muszę jednak coś zrobić, żeby pomóc tym ludziom. Gdybyście ich poznali, też nie miałibyście co do tego najmniejszych wątpliwości.

OBIAD W „SHERATONIE”

Zjadłam obiad z Alexandrą i kilkorgiem innych pracowników terenowych. To chyba ich stały żart, „Sheraton Inn w Kasulu”. Niewielka lepianka z klepiskiem zamiast podłogi. Zjedliśmy ryż z fasolą... znowu.

Terenowi pracownicy UNHCR są po prostu wspaniali. Rozmawiają o tak nieprawdopodobnych sytuacjach, a jednak nadal potrafią się śmiać. Gdyby nie to, chyba by oszaleli.

Tak naprawdę jednak wiele z sytuacji, jakie się im tu przytrafiają, jest bardzo niebezpiecznych.

Z całą pewnością nie jest to wygodne ani łatwe życie. Tak bardzo jednak obchodzi ich los tych wszystkich uchodźców, że nie chcieliby się znaleźć w żadnym innym miejscu.

W którymś momencie wspomnieli o „kościelach” i „moście”, ale potem szybko dodali:

– Nie jesteśmy w stanie o tym rozmawiać.

Powiedzieli też, że nadal mają przed oczami te wszystkie obrazy.

– Czasami nie sposób powstrzymać łez.

Kiedy tak z nimi siedziałam, wciąż myślałam o tym, jak wielkie miałam szczęście, że ich poznałam – że w ogóle dowiedziałam się o ich istnieniu. Chciałam spotkać życzliwych ludzi pracujących dla jakiejś dobrej organizacji, by wreszcie dowiedzieć się czegoś więcej i zacząć pomagać. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej grupy.

Później dowiedziałam się, o co chodziło z tym „kościółem”. Nie spytałam od razu, bo widziałam, że naprawdę nie chcą tego pamiętać. Teraz już rozumiem dlaczego. Zapytałam o to dopiero po powrocie do domu.

Alexandra chwyciła się za głowę, a potem popatrzyła na mnie. Nie było jej tutaj, kiedy wydarzyła się „kościelna” masakra, ale ta historia nadal nie daje jej spokoju.

Podczas zamieszek tysiące ludzi ukryło się przed rebeliantami w kościele – tylu, ilu się tylko zmieściło do środka. Wierzyli, że to jedyne bezpieczne miejsce – dom Boży.

Jednak rebelianci ich tam znaleźli i wrzucili do środka granaty. A potem przechodzili nad ciałami zabitych i przebijali każde z nich nożami, żeby mieć pewność, że wszyscy ci ludzie są rzeczywiście martwi.

Pracownicy UNHCR, z którymi jadłam dzisiaj obiad, znaleźli ciała jako jedni z pierwszych. Jakaś kobieta jeszcze żyła. Podczas ataku osłoniły ją ciała innych.

Kiedy ludzie z UNHCR tam dotarli, krążyła wśród zwłok.

Szukała męża i sześciorga dzieci. Nikt inny nie przeżył. Gdybym była na jej miejscu, pewnie wołałabym zginąć razem z resztą rodziny. Jak można żyć dalej po czymś takim?

Po drodze natknęliśmy się na grupę Burundyjczyków z bębнами. Trzem mężczyznom towarzyszyło pięcioro dzieci. Doro-

śli przekazywali właśnie następnemu pokoleniu swoją trudną sztukę. Nie chcą dopuścić do tego, by ich kultura zginęła.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, usłyszeliśmy naprawdę cudowny rytm – szybki, mocny, pełen żaru. Mężczyźni i chłopcy zmieniali się, bębniąc i tańcząc na zmianę.

Dowiedziałam się, o czym śpiewali.

Życzyli mi dobrego życia!

Ci uchodźcy tak wiele wycierpieli, a jednak nadal obsypują mnie błogosławieństwami. Tańczą z szerokim uśmiechem na twarzy i życzą mi wszystkiego najlepszego.

Moje życie jest o tyle łatwiejsze od ich egzystencji. Dziwne uczucie, otrzymać takie błogosławieństwo, ale przyjmuję je z wdzięcznością.

Dzisiaj dowiedziałam się, że znalazło się dla mnie miejsce w samolocie. Jutro wracam do domu.

PIĄTEK, 9 MARCA

Siedzę w samochodzie. Właśnie ruszamy na lotnisko, żeby złapać samolot do Dar es Salaam. Mam szczęście, że udało mi się dostać miejsce na ten lot.

Wstaliśmy o szóstej dwadzieścia. Prądu nie było, więc pakowałam resztę moich rzeczy przy świetle latarki. Mimo ciemności poruszałam się tak szybko. Cały czas miałam w głowie tylko jedną myśl – że dzisiaj odlatuję, że zanim się obejrzę, już mnie tu nie będzie.

Ranek jest naprawdę chłodny, a ja myślę jedynie o tym, jak zimno musi być uchodźcom w ich lichych lepiankach – domach, które zbudowali własnymi rękami.

Nie mają prądu. Nigdy nie wiedzą, ile jedzenia dostaną w dniu, kiedy rozdzielana jest żywność. Każdego dnia

potrzebują drewna na opał. A noce potrafią tu być takie zimne.

Ubrania wszystkich dzieci są praktycznie w strzępach, niektóre maluchy noszą jedynie niewielkie kawałki czerwonego materiału. Kiedy ograniczono fundusze na podpaski, rozdano kobietom czerwony materiał, żeby mogły się przynajmniej w ten sposób zabezpieczyć podczas menstruacji, ale ponoć one woła się obywać bez tego. Nie mam pojęcia, jakim cudem sobie radzą. W każdym razie woła, żeby ich dzieciom było ciepło. A przynajmniej ciepiej.

Panuje straszny ziąb, nad ziemią unosi się mgła. Niewielki samolot, którym mamy stąd odlecieć, podchodził do lądowania trzykrotnie. Wpatrywaliśmy się w prowizoryczny pas startowy z uwagą, rzuciwszy bagaże na trawę.

Byłam taka głodna. Kiedy wychodziliśmy, zdążyłam jeszcze chwycić w biegu resztkę chleba. Z powodu braku prądu o kawie mogłam tylko pomarzyć.

W końcu wystartowaliśmy i wylądowaliśmy na miejscu akurat na czas, żeby złapać następny samolot.

Jestem zmęczona i głodna, ale przynajmniej wiem, kiedy mogę liczyć na solidny posiłek. Już niedługo wezmę gorący prysznic i coś zjem.

Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnę tego, czego się podczas tej podróży nauczyłam. I że już zawsze będę potrafiła docenić, jak wiele dostałam od losu.

Nie miałam pojęcia, przez co przechodzą ci wszyscy ludzie na całym świecie. Jest gorzej, niż sobie wyobrażałam, a przecież dopiero zaczęłam dostrzegać prawdę, dopiero nauczyłam się rozumieć.

Jestem tu, w Dar es Salaam, od kilku godzin, czekając na potwierdzenie, że na pewno znajdzie się dla mnie miejsce w samolocie do Londynu z połączeniem do Los Angeles.

Do tej pory jedyną myślą, jaka mną kierowała, było: „nie zatrzymuj się w biegu”.

Teraz siedzę w samolocie linii British Airways do Londynu.

Uświadamiam sobie, że jestem chyba najbrudniejszym ze wszystkich pasażerów.

– Życzy pani sobie jakąś gazetę? A może czasopismo? Mamy „Vogue’a”, „Vanity Fair”.

– Nie, dziękuję.

Za to nie odmawiam żadnego jedzenia i picia, jakie mi proponują: nerkowców, precli, coli z cytryną. Zwykle nie jem takich rzeczy. Czuję się jak małe dziecko.

Właśnie dostałam zwinięte i związane wstążeczką skarpetki, maseczkę na oczy, przyborek podróżny i zestaw do spania.

Nagle ogarnia mnie niepokój na myśl o tym, że miałabym zdjąć swoją zakurzoną kurtkę. To była moja osłona. Nie chcę się myć, spłukiwać z siebie pyłu tego miejsca.

Te trzy tygodnie były dla mnie jak objawienie, naprawdę wyjątkowy czas. To mnie odmieniło. Podoba mi się ta Angelina, którą się tu stałam.

Z jakiegoś powodu, kiedy zdejmuję wreszcie kurtkę, czuję się tak, jakbym odrywała się od tych wszystkich ludzi i miejsc.

Od chłopca leżącego na ziemi i przesuwającego swoje nogi rękami.

Ośmiolatki trzymającej w objęciach małego braciszka.

Mężczyzny z obozu dla ofiar amputacji, który popatrzył mi prosto w oczy i opowiedział swoją historię.

Wszystkie te obrazy przypominają pokaz slajdów, przebłyśki twarzy, bosych stóp.

Sama nie jestem pewna, co właściwie czuję. Nigdy nie doświadczyłam podobnej płątaniny emocji.

Muszę się przespać.

To takie proste i jednocześnie trudne, czuć wyrzuty sumienia z powodu tego, że się wyjeżdża.

Od tej chwili gdziekolwiek bym się znalazła, będę pamiętać, gdzie są ci wszyscy ludzie.

MISJA W KAMBODŻY

Od 16 do 27 lipca 2001 roku przebywałam z misją UNHCR w Kambodży.

PONIEDZIAŁEK, 16 LIPCA

No i proszę, znowu w drodze. Jakąs godzinę temu wyruszyłam do Kambodży via Genewa.

Nagle uświadomiłam sobie z całą wyrazistością, jak bezpiecznie czułam się w domu. Tym razem wiem, czego mogę się spodziewać na miejscu, zdaję sobie jednak również sprawę z tego, o ilu rzeczach nie mam pojęcia, ile przyjdzie mi jeszcze odkryć.

Z zawstydzeniem uświadomiłam sobie – muszę to wreszcie przyznać przed samą sobą – jak szybko zdołałam wrócić do dawnego życia po przyjeździe z Afryki. Wiem, że było to możliwe dzięki temu, iż nadal utrzymywałam kontakt z tymi wszystkimi ludźmi i starałam się im pomagać przynajmniej na odległość. Ale to takie proste wykonywać telefony, wysyłać listy czy pieniądze, siedząc sobie bezpiecznie w domowym zaciszu.

Może powinnam czuć wyrzuty sumienia, że mogę jeździć swobodnie w te wszystkie miejsca i stamtąd wracać, podczas gdy inni nie mają wyboru. Wiem jedno. Na pewno bardziej doceniam teraz to, co mam. I jestem za to wszystko naprawdę wdzięczna.

Nadal pozostaję dłużnikiem tych wszystkich ludzi na całym świecie. Chciałam im pomóc, a z każdym dniem coraz wyraźniej uświadamiam sobie, jak bardzo oni pomogli mnie.

Piszę te słowa, podczas gdy niebo rozjaśniają pierwsze promienie słońca. Tylko w moim oknie roleta jest podniesiona. Chociaż zaledwie odrobinę. Wszyscy w samolocie śpią.

A ja nie mogę zasnąć. Jeszcze pięć godzin lotu do Zurychu, a potem kilka następnych, zanim dotrę wreszcie do Genewy.

Na miejscu mam się spotkać z Wysokim Komisarzem ds. Uchodźców. To wielki zaszczyt, którym byłoby zresztą spotkanie z każdym, kto poświęcił swoje życie wspaniałemu

nich. Czy chodzi o człowieka pomagającego milionom ludzi na całym świecie, czy kogoś, kto jest cudownym rodzicem dla swojego dziecka, nauczycielem roztaczającym troskliwą opiekę nad uczniami czy choćby tylko dobrym przyjacielem – to wszystko jest w życiu równie ważne. Powiedzenie: „Każdy człowiek może odmienić świat” jest jak najbardziej prawdziwe.

Mam tyle pytań do Wysokiego Komisarza.

Jak to możliwe, że we współczesnym świecie, z całą naszą wiedzą, możliwościami i środkami, co wieczór osiemset milionów ludzi kładzie się spać głodnych?

Od jak dawna uchodźcy uciekają z Rwandy? Setki tysięcy ludzi zostało wygnanych ze swoich domów, pozbawionych opieki i dachu nad głową.

Nie zamierzam zadawać tych pytań Komisarzowi. Wiem, że organizacja, na czele której stoi, ma ograniczone fundusze. I że wszystkie te rzeczy, o których wspomniałam wyżej, powodują frustrację również u niego. Ale może dzięki niemu zdołam zrozumieć, jak to możliwe, że rebelianci w Sierra Leone atakują swoje ofiary z taką zajadłością, odcinając kończyny tysiącom ludzi i wyganiając dziesiątki tysięcy z domów.

Dlaczego nikt nie postrzega tych rebeliantów jako zagrożenia na tyle poważnego, by odsunąć ich od władzy? Wygląda na to, że pewne kroki zostały już podjęte, ale sam proces może potrwać jeszcze wiele lat, przez co tysiące ludzi pozostaną uchodźcami.

Wielu z nich to ofiary wojen – politycznych czy religijnych, oraz innych form prześladowania. W chaotycznej ucieczce w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia w którymś z ościennych państw tracą właściwie wszystkie prawa i cały dobytek stanowiące podwaliny każdego cywilizowanego społeczeństwa – swoje domy, rzeczy osobiste, możliwość pobierania nauki oraz opiekę lekarską, członków rodzin i przyjaciół, a czasem nawet tożsamość.

Chociaż obozy są naprawdę potrzebne, zapewniają tym nieszczęsnym ludziom jedynie to, co niezbędne do przetrwania. Ostatecznie to nadal tylko obozy.

Ściany, które dają tym ludziom schronienie, stają się również ich więzieniem. Na tym użyczonym skrawku ziemi uchodźcy mieszkają wśród miejscowych, którzy często ostrzegają ich wyłącznie jako obciążenie. Niekiedy uchodźcy spotykają się z ich strony z tak wielką przemocą, że są zmuszeni znowu uciekać. Czasem muszą wracać do ojczyzny, gdzie nadal grozi im niebezpieczeństwo.

WTOREK, 17 LIPCA

GENEWA

Niebo, które widzę z okna mojego hotelowego pokoju, jest przejrzyste błękitne. Zaraz po przekroczeniu progu hotelu dostałam faks. Wiadomość od Luong Ung. Kiedy publicznie wyraziłam swoją sympatię dla Kambodży i opowiedziałam o przerażeniu sytuacją związaną ze stosowaniem min przeciwpiechotnych w tym kraju, otrzymałam list od Luong oraz jej książkę *First they killed my father*. Po tej lekturze od razu zapragnęłam ją poznać. Ta kobieta stała się dla mnie prawdziwą bohaterką. Skontaktowałam się z Amerykańską Fundacją Weteranów Wojny w Wietnamie (*Vietnam Veterans of America Foundation* – VVAF), w której Luong jest rzecznikiem prasowym kampanii na rzecz świata wolnego od min. Faks dotyczy mojej ewentualnej wizyty w ośrodku rehabilitacyjnym w Kien Khleang. Dowiaduję się również z niego, że Luong będzie lecieć jutro tym samym samolotem z Bangkoku do Phnom Penh co ja.

Luong pisze: „Jakież to ekscytujące, że spotkamy się po raz pierwszy u wrót Tajlandii”.

Wspomniała również o Battambang. Z tej właśnie prowincji pochodziły jej babka i matka, tam przyszło też na

świat wielu jej wujów, ciotek i kuzynów. Nie była w rodzinnych stronach, odkąd skończyła trzy, może cztery lata.

Napisała również, że chciałaby mi towarzyszyć podczas wizyty w Organizacji ds. Ratowania Życia w Niebezpiecznych Regionach Świata (*Hazardous Area Life-Support Organization* – HALO).

Fundacja HALO to apolityczna, areligijna organizacja pozarządowa, która specjalizuje się w usuwaniu pozostałości po wojnie.

W ciągu ostatnich ośmiu lat czterdzieścioro troje jej pracowników zostało zabitych lub okaleczonych. Ich ofiara ocaliła jednak życie tysiącom innych ludzi. Celem organizacji jest wyłącznie usuwanie min przeciwpiechotnych, a nie politycznie ryzykowna kampania przeciwko ich produkcji i stosowaniu.

Właśnie minęła dziewiętnasta. Ostatnie dwie godziny spędziłam w siedzibie UNHCR.

Wciąż nie mogę się nadziwić, z jakim oddaniem pracują ci ludzie.

Zaprowadzono mnie do sutereny. To właśnie tam gromadzą się wszyscy w nagłych przypadkach, kiedy trzeba jak najszybciej znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu. Jakże często są proszeni o udzielenie pomocy całym rzeszom ludzi w przeciągu zaledwie kilku godzin.

Elba też tam była. Poznałam ją pięć miesięcy wcześniej w Sierra Leone. Pokazała mi wtedy fotografie swoich bliskich ze słowami, że chciałaby z nimi spędzać więcej czasu.

Opowiadała mi też o tym, jak to w któreś Boże Narodzenie została nieoczekiwanie (w przeciągu siedemdzie-

sięciu dwóch godzin) wysłana do Afryki, gdzie miała się zająć opracowywaniem planów budynków i programów pomocy.

Teraz przygotowuje się w Genewie do kolejnej misji. Dopóki na świecie będą się zdarzać takie awaryjne sytuacje, a ona będzie w stanie coś w tej sprawie zrobić, nie sądzę, by kiedykolwiek zdołała zignorować wezwanie i zostać w domu na dłużej.

Zresztą wszyscy tutaj czują podobnie.

Zgłaszają się na ochotnika, by pomagać ludziom na całym świecie. Narażają się na ryzyko pobicia, zgwałcenia, a nawet śmierci (co wcale nie jest taką rzadkością).

Okazują i mnie, i sobie nawzajem wyjątkową życzliwość – mieszaninę delikatności i smutku. Wszyscy byli świadkami najgorszych rodzajów cierpienia na świecie. Wiedzą, co to strata i śmierć, ale znają też wartość przyjaźni i nadziei. W najtrudniejszych momentach muszą przecież polegać na sobie nawzajem.

Poznałam Kofiego Annana i dowiedziałam się, że rozpoczął swoją karierę właśnie w UNHCR. Okazał się wyjątkowo uprzejmym rozmówcą.

Wcześniej tego dnia wygłosił krótkie przemówienie do pracowników biura. Bardzo żałowałam, że mnie ominęło. Wszyscy rozmawiali tylko o tym, jak wspaniale się poczuli po wysłuchaniu jego słów. Wciąż byli pod wrażeniem szczerości, z jaką odpowiadał na wszystkie ich pytania.

Ktoś poprosił go o kilka słów komentarza na temat trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się obecnie ich organizacja. Usłyszeli, że finansowanie zostało im ograniczone o dwadzieścia procent (choć UNHCR już i tak otrzymuje zaledwie dwa procent z funduszy ONZ). A tymczasem w ostatnich latach biuro zaczęło się zajmować nie tylko uchodźcami, ale również przesiedleńcami wewnętrznymi.

Nie obiecywał, że dzięki niemu sytuacja się poprawi. Przyznał, że zdaje sobie sprawę z ich trudnego położenia, a następnie dodał:

– UNHCR miewał już gorsze okresy i pewnie jeszcze nieraz będzie się musiał z nimi mierzyć, ale nawet w najtrudniejszych momentach wszyscy jego pracownicy byli w stanie czynić dobro.

Zjadłam kolację z Wysokim Komisarzem, Ruudem Lubbersem, jego zastępcą, Shoko Shimozawą, szefem jego gabinetu, Yacoubem Alim El-Hillo oraz dyrektorem sektora prywatnego i spraw publicznych w UNHCR, Pierre'em-Bernardem Le Basem.

Spotkanie wydało mi się początkowo dziwne, szybko uświadomiłam sobie jednak, że po prostu spodziewałam się kogoś niedostępnego albo przynajmniej śmiertelnie poważnego. Tymczasem ku mojemu zdumieniu Wysoki Komisarz okazał się bardzo zabawny – i bardzo ludzki. Przez cały wieczór raczył nas opowieściami ze świata polityki, jak również historjkami z życia swojej rodziny.

Największe wrażenie zrobiło na mnie jednak to, jak ciekawy był nas wszystkich siedzących przy stole. Nikogo nie osądzał, za to zdawał się naprawdę doceniać różnorodność naszych doświadczeń i opinii.

Dowiedziałam się podczas tej kolacji wielu rzeczy – zbyt wielu, by je tu spisać. Najbardziej interesujący wydał mi się fakt, że Wysoki Komisarz zadbał o to, by zaprosić na tę kolację tak zróżnicowane towarzystwo. Zdradził mi zresztą, że postąpił tak celowo.

Ja reprezentowałam podczas tej kolacji USA. Czasami byłam z tego powodu naprawdę dumna, a czasem wręcz przeciwnie. Każdy zdawał się czuć identycznie w związku ze swoją ojczyzną. Nikt z siedzących przy stole nie usiłował przekonywać do swoich racji. Nikt nie udawał, że zna od-

powiedzi na wszystkie pytania. Niektórzy z nas okazali się większymi optymistami od reszty, ale wszyscy słuchali z szacunkiem, starając się dowiedzieć czegoś od siebie nawzajem. Jeśli taki właśnie jest sens istnienia UNHCR – czy w ogóle ONZ – właśnie tego wieczora miałam szansę się przekonać na własne oczy, jak może się to okazać odpowiedzią na wszelkie problemy tego świata.

Sporo mówiono też o tym, że ostatnio ludzie skupiają się wyłącznie na sobie, że rządy myślą przede wszystkim o sprawach wewnętrznych. A tymczasem powinniśmy patrzeć na otaczający nas świat bardziej globalnie. Na poziomie międzynarodowym.

SAMA NIE WIEM, JAKI MAMY DZIŚ DZIEŃ

Rano wyleciałam z Genewy do Zurychu, gdzie z kolei rozpoczęłam ponad dziewięciogodzinny lot do Bangkoku, w którym za chwilę lądujemy. Według czasu miejscowego jest pięć minut po szóstej. Tu spotkam się z ludźmi z UNHCR i – mam nadzieję – z Luong.

Dwie godziny w Bangkoku, a potem prosto do Phnom Penh i stamtąd do Siem Reap.

Od razu po wyjściu z samolotu poznałam Jahanshaha i Marie-Noëlle, dwoje pracowników terenowych UNHCR. Od nich dowiedziałam się, że jest czwartek, 19 lipca, co oczywiście oznacza, że pierwszych kilka dat zapisanych w tym dzienniku może być odrobinę mylących. Zapisywałam wszystko według czasu Los Angeles. Kambodża jest czternaście godzin do przodu.

Poznałam również Ravuta, kambodżańskiego eksu-chodźcę, który obecnie pracuje dla UNHCR.

Rozmawialiśmy mniej więcej dwie godziny, zanim nie podszedł do nas jakiś mężczyzna i nie wręczył mi karteczki.

Luong Ung już jest.

Wysłałam do lobby. Potrzebowałam zaledwie chwili, by ją dostrzec. Uśmiechnęłyśmy się niemal jednocześnie, a potem uścisnęłyśmy się tak, jakbyśmy znały się od lat.

Wszystkim w Kambodży zależy na utrzymaniu pokoju. Mieszkańcy tego kraju już tyle przeszli. Stanowią doskonały przykład na to, jak wiele można osiągnąć przy odrobinie wsparcia. Wszyscy mówią o niesamowitej odwadze uchodźców. Cały personel UNHCR ma mnóstwo szacunku dla tych ludzi i jest dumny, że może z nimi pracować.

Zjadłam obiad z Jahanshahem i Marie-Noëlle w mieszkaniu Katie, która również pracuje dla UNHCR i zna khmerski. To naprawdę piękny język. Już sam jego dźwięk sprawił, że zapragnęłam się go nauczyć.

Później spotkaliśmy się ponownie z Luong, żeby kolejnym samolotem wyruszyć do siedziby HALO. Luong powiedziała, że ma „wielkie szczęście”. Nie mogłam uwierzyć, że słyszę te słowa z ust kobiety, której życie nie oszczędzało, którą spotkały chyba najgorsze, najbardziej przerażające rzeczy, jakie potrafię sobie wyobrazić.

Dotarliśmy do siedziby HALO w Siem Reap, po czym ruszyliśmy dalej już autem. Czekala nas trzyipółgodzinna jazda. Mam wrażenie, że podróżuję od dobrego tygodnia.

Wyjęłam torbę z kasetami, które spakowała dla mnie przyjaciółka. Katie wybrała Beatlesów z lat 1967–1970, Ravut powiedział, że uwielbia Santanę. Wymieniliśmy uśmiechy. Ludzie na całym świecie wcale się tak bardzo od siebie nie różnią.

Już w vanie oboje zaczęli rozmawiać o wspaniałych muzykach, których mieli kiedyś w Kambodży. O jednym z nich powiedzieli:

– Zupełnie jak wasz Elvis, tyle że potem Pol Pot go zamordował.

Po drodze mijaliśmy mnóstwo chat, wokół większości z nich biegały kurczaki. W taki piękny dzień jak dzisiaj nie sposób się nie uśmiechnąć na widok bawiących się wśród drobiu maluchów.

Spotykamy ludzi niosących wodę. Na ramionach mają oparte długie drewniane pałaki, na końcach których kołyszą się wiadra.

Okolica wygląda niemal jak raj, jaki zaplanował dla nas Bóg – Bóg, Allah, Budda czy też Wielki Duch.

A potem człowiek uświadamia sobie, że ci biedacy mieszkają w tych maleńkich chatkach, które dopiero co minęliśmy. To cały ich majątek, a ta piękna dżungla wokół nadal nie została oczyszczona z min.

Droga, którą podróżujemy, prowadzi do Ang Long Veng. To właśnie tam żył i zmarł zaledwie dwa lata temu Pol Pot. Jego grób też się tam znajduje. Repatriacje ludzi w ten rejon rozpoczęły się dopiero w maju 1998 roku.

CENTRALA HALO

Siedziba HALO w Ang Long Veng przypomina wojskowe koszary.

Tutejszym biurem kieruje Matthew, który wita nas w drzwiach i tłumaczy, gdzie znajduje się nasza kwatera. Oprócz mnie są jeszcze trzy kobiety, czekają na nas cztery małeńkie pokoiki. Ravut, Mao i dwunastu innych mężczyzn mają spać w głównej sali, z rzędami łóżek połowych ustawionymi pod ścianami. To najlepsze lokum, na jakie można tu liczyć, lepsze, niż się spodziewałam. Mimo wszystko nadal nie mam najmniejszych wątpliwości, że pracownicy organizacji humanitarnych żyją w warunkach niewiele lepszych od tych, w jakich przyszło wegetować ich podopiecznym. Przynajmniej mamy jednak, w odróżnieniu od tubylców, toaletę i prysznic.

Podczas kolacji składającej się z białego ryżu i mięsa zgaśło światło. Wyjaśniono nam, że budynek korzysta z tego samego generatora co szpital, w którym pewnie właśnie trwa jakaś operacja. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa w ciemnościach, aż wreszcie ktoś pstryknął zapalniczką. Zauważyłam błyskawicę przecinającą niebo. Już w trakcie jazdy tutaj słyszałam pomruk gromu. Dotąd zawsze wydawało mi się, że nie ma burzy bez deszczu.

Pierwsza poszłam do swojego pokoju. Dostałam ten z numerem drugim.

Piszę te słowa, siedząc w łóżku pod moskitierą. Jestem kompletnie wyczerpana.

Zdażyłam się już zorientować, że komórki nie mają w tej okolicy zasięgu. A ja zamierzałam zadzwonić do domu i przynajmniej zostawić wiadomość, że bezpiecznie dotarłam na miejsce.

Pracownik HALO powiedział, że jutro będę mogła skorzystać z ich telefonu satelitarnego, jeśli to rzeczywiście taka pilna sprawa. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Nie chcę nadużywać gościnności tych ludzi.

Pomieszczenie znajdujące się bezpośrednio pod naszymi pokojami wygląda na salę zebrania. W drodze do mojego pokoju nie mogłam nie zauważyć łusek po pociskach.

Kiedy tak się na nie patrzy, człowiek uświadamia sobie, że to nie jest dzieło miejscowych żołnierzy, chociaż ci rzeczywiście starają się wykorzystywać wszystko, co wpadnie im w ręce. Ta broń i materiały wybuchowe zostały wyprodukowane w fabrykach kierowanych przez rządy krajów takich jak mój.

PIĄTEK, 20 LIPCA

Piszę przy świetle promieni słońca wpadających przez szczeliny między deskami ściany. Nie mam pojęcia, która jest

godzina, obudziłam się jakąś godzinę temu. Stopy strasznie mnie swędzą. Jakimś cudem mimo rozwieszonej moskitiery owady zdołały mnie pogryźć w podeszwy obu stóp. Nie chcę nawet myśleć o zakładaniu butów.

Słyszę ryk motocykli i ciężarówek, gwizdanie i szcęk naczyń. W końcu zaczynają też pisać koguty.

Wzięłam letni prysznic. Chociaż może to za dużo powiedziane – w rzeczywistości to po prostu pompka do polewania się wodą.

Na śniadanie zjadłam kanapkę z rybą, do tego kawa rozpuszczalna.

HALO

HALO to angielska organizacja pozarządowa z siedzibą w Londynie, której zadaniem jest oczyszczanie ziemi z min. Jej personel prowadzi akcje pozbywania się niewybuchów na całym świecie. To organizacja apolityczna i areligijna, zachowująca całkowitą neutralność. Wielką zaletą jej pracowników jest umiejętność współpracy z miejscowymi ludźmi. W samej Kambodży mają dziewięćset pracowników.

Pięćdziesiąt procent ofiar min przeciwpiechotnych umiera albo w wyniku samej eksplozji, albo po prostu wykrwawiając się na śmierć. Połowa tych, którzy przeżywają, zostaje kalekami.

Jedziemy należącym do HALO land roverem do Toul Prasat, gdzie udało się już oczyścić z min spory obszar. Teraz funkcjonuje tam szkoła i dwie studnie.

Siedzimy na dwóch drewnianych ławeczkach pod prowizorycznym dachem z niebieskiego brezentu. Pośrodku leży mapa. Trzech pracujących dla HALO Kambodżan objaśnia nam ją: trzeba oczyścić jeszcze pięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt trzy metry kwadratowe, czterdzie-

ści dziewięć tysięcy dwieście sześćdziesiąt osiem zostało już uprzątniętych.

Na mapie oczyszczony teren jest zaznaczony na zielono, nieoczyszczony – na białą. Czerwone kropki to siedemdziesiąt dwie znalezione miny i czterdzieści kilka bomb.

Trupimi główkami z piszczelami oznakowano miejsca, w których doszło do wypadków. Widzę trzy takie punkty.

Mężczyźni wskazują jeden z nich.

– Tu człowiek stracił nogę.

Potem następne:

– Ten stracił oko i ramię.

Niebieskie kółka symbolizują studnie.

Jeden z mężczyzn powiedział nam o zasadach bezpieczeństwa. Za jego plecami widać było nosze z pomarańczowego plastiku.

Mężczyzna pokazał nam cztery rodzaje tyczek. Czerwonymi oznacza się miejsca, w których znaleziono materiały wybuchowe. Kilka metrów dalej dostrzegam cztery takie kijki.

Białą-czerwonymi zaznacza się granice.

Niebieskie oznaczają oczyszczone miejsce, białą – nieoczyszczone.

Potem nasz „prelegent” zaprezentował nam apteczki pierwszej pomocy stosowane w przypadku ciężkich urazów, a następnie poinstruował nas z poważną miną:

– Jeśli podczas pobytu na polu minowym usłyszycie eksplozję, nie wolno wam nawet drgnąć.

To konkretne pole minowe jest jednym z czterdziestu siedmiu w Kambodży, których oczyszczaniem zajmuje się obecnie HALO.

Zatrzymujemy się przed stojącą obok pola minowego szkołą.

Mieści się w niej jedynie pierwsza i druga klasa, a uczą się w niej dzieci w wieku od sześciu do czternastu lat. Na ponad

dwieście czterdzieścioro dzieci przypada zaledwie czworo nauczycieli. Ci ludzie nie otrzymują pensji, a gdyby ją otrzymywali, byłaby to kwota około piętnastu dolarów na miesiąc.

Kiedy rząd wybudował tę szkołę, pole nie było jeszcze oczyszczone z min. Ludzie z HALO sprawdzili drogę, którą uczniowie chodzili do szkoły, i natknęli się na pięć ładunków wybuchowych zaledwie kilka kroków od stałej trasy dzieci.

Rozglądam się wokół. Widzę tyle pięknych twarzy, tyle małuchów.

Zanim zjawili się tu ludzie z HALO, wszyscy ci ludzie mieszkali z konieczności na polach minowych. Dzisiaj odkryto dwie miny. Pozwolono mi zdetonować jedną z nich za pomocą TNT (trotylu). Muszę przyznać, że było to wspaniałe uczucie, zniszczyć rzecz, która mogła okaleczyć albo nawet zabić drugiego człowieka.

Po wybuchu Luang opowiedziała mi, jak bardzo wystraszyli się uchodźcy w USA, nie wyłączając jej samej, kiedy po raz pierwszy było im dane oglądać fajerwerki z okazji czwartego lipca.

Zjedliśmy obiad składający się z ryżu, mięsa i warzyw, a potem zakończyliśmy wizytę.

Luong, Matthew i ja mamy jechać motocyklami do niewielkiej wioski, w której zorganizowano nam nocleg.

Najlepszym sposobem na poznanie tego kraju są rozmowy z miejscowymi, które pozwalają zrozumieć, czym mogą stać się dla tych ludzi oczyszczone z min rejony.

Najpierw pojedziemy do obozu dla przesiedleńców założonego na oczyszczonym przez HALO terenie. Personel UNHCR nadal wspiera reintegrację tamtejszej społeczności.

Zatrzymaliśmy się na poboczu drogi, tuż obok wybudowanej przez UNHCR studni, z której korzysta akurat niewielka grupa osób: dwie kobiety i ośmioro dzieci.

Zdumiewający jest fakt, że w przeciągu zaledwie dwóch lat, dzięki ciężkiej pracy organizacji pozarządowych takich jak HALO i agencji ONZ, wsparciu innych rządów oraz wysiłkom samych zainteresowanych uchodźcy byli w stanie rozpocząć tu nowe życie.

W przypadku wielu z nich minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd musieli stąd uciekać.

Kiedy obchodziliśmy teren, podchodziło do nas coraz więcej ludzi, głównie dzieci.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Naszym kolejnym przystankiem było Trapeang Prasat, świątynia wybudowana w tym samym okresie co Angkor Wat. Teraz to tylko zarośnięte przez dżunglę ruiny. Mimo wszystko nadal palą się tu świeczki i kadzidła.

Jak większość buddyjskich świątyń, miejsce to było zaminowane i dopiero niedawno zostało oczyszczone. Zaledwie dwa lata temu zezwolono tu ponownie na praktykowanie buddyzmu – od momentu, kiedy to udało się ostatecznie obalić reżim Czerwonych Khmerów.

W czasach rządów Pol Pota buddyzm był zakazany, próbowano też wymordować wszystkich mnichów. Ponoć przeżyło tylko czterdziestu z nich, ukrywając się w przebraniu.

Za starą świątynią stoi niedawno odrestaurowana pagoda. Na jej dachu powiewają na wietrze modlitewne flagi w żywych odcieniach żółtego i pomarańczowego.

Zdejmujemy buty i zaczynamy się wspinać po drewnianych stopniach. Dopytuję, czy na pewno możemy tam wejść.

– Tak – słyszę zapewnienia. – Mnisi chętnie goszczą przybyszów.

Przypomniałam sobie, że moje stopy nie powinny być wycelowane w Buddę. Przyklękłam na macie ze stopami skierowanymi w przeciwną stronę.

Zapach kadzidła i monotony śpiew działają oszalamiająco.

Młodzi mnisi w tradycyjnych pomarańczowych szatach wysuwają głowy z pomieszczenia na zapleczu. Są naprawdę mili.

Dwudziestu siedmiu nauczycieli z pobliskiej szkoły ma pod swoją opieką tysiąc pięćdziesięcioro siedmioro uczniów.

Całkiem niedawno oczyszczono z min pole nieopodal ulubionego miejsca zabaw dzieci.

David, pracownik HALO zajmujący się rozminowywaniem, wskazuje na bawiące się maluchy. Jakies sto metrów dalej wzdłuż tej drogi znajduje się pole minowe. Tak po prostu.

Ruszamy w dalszą drogę. Przez ponad godzinę jedziemy z Luong na tylnych siodełkach motocykli razem z dwoma pracownikami HALO.

Znajdujemy się już blisko granicy z Tajlandią, ale drogi są tu nadal paskudne. Samochody nie przejadą.

Tak tu pięknie. Wszędzie wokół widzę tyle nadziei, a dzieci nie wyglądają na niedożywione.

Co rusz spotykamy osoby po amputacjach, w większości na prowizorycznych wózkach inwalidzkich. Widzieliśmy też mężczyznę bez nogi jadącego na rowerze, z kulą przywiązaną z przodu. Kiedy przejeżdżał przez most – czy też raczej jego namiastkę, bo były to po prostu kawałki drewna zbite razem gwoźdźmi – zdjął tę kulę, żeby się nią podeprzeć.

Wiem, że amputacje stanowią smutną rzeczywistość tego miejsca, ale jestem również zdumiona dumą i siłą tych ludzi.

Wiele kobiet i mężczyzn obserwuje nasz przejazd sprzed swoich domów. Otoczeni dziećmi, machają do nas z uśmiechem. Inni po prostu się nam przyglądają, ale zauważyłam, że jeśli się do nich uśmiechniemy i pomachamy, natychmiast odpowiadają nam tym samym.

Myślę, że niektórzy z nich rozpoznają symbole HALO. Na pewno zdają sobie sprawę, ile pomocy otrzymali od tej właśnie organizacji.

Inni są po prostu ciekawi, ale starają się zachować uprzejmie wobec gości.

Za każdym razem, kiedy mijamy kogoś na drodze – czy to w dżungli, czy też w którejś z maleńkich wiosek – pozdrawiamy go przyjaźnie. Wszyscy odpowiadają nam zresztą tym samym.

Potrąficie sobie wyobrazić, że tak właśnie mogłoby wyglądać nasze codzienne życie? Że witalibyście każdego mijającego człowieka miłym pozdrowieniem i uśmiechem? I każdemu okazywalibyście szacunek?

Kolację zjedliśmy bardzo wcześnie, bo musieliśmy położyć się spać wraz z zapadnięciem zmierzchu i wstać o pierwszym brzasku.

Jakaś kobieta przyjęła od nas zamówienie, a już chwilę potem patrzyliśmy, jak jej sąsiadka łapie chudego kurczaka. Potem kobieta zniknęła w niewielkim pomieszczeniu, niosąc w jednej ręce kurczaka do góry nogi, a w drugiej niewielki tasak.

Wszędzie roi się od much.

Spryskani preparatem przeciwko owadom, po prostu oganiamy się od nich, nie przerywając rozmowy.

Drinki są ciepłe, nie ma lodu. Podłogę stanowi klepisko, bezpańskie psy wpadają do środka, by za chwilę znowu wybiec na zewnątrz. Na stole stoi rolka papieru toaletowego. Przywykłam już do tego, że używa się go tutaj jako serwetek.

Czekamy na jedzenie już od dobrej godziny, ale posiłek powstaje praktycznie od zera.

Jest naprawdę gorąco, wszyscy wręcz splotamy potem.

Obok stolika wisi informacja, że musimy „zawiesić hamaki i siatki, zanim na zewnątrz zrobi się zupełnie ciemno”.

O ile zdążyłam się zorientować, nie ma tu ani toalet, ani elektryczności.

Zanim wyszliśmy, dostałam latarkę i zapasowe baterie.

Nagle przyszło mi do głowy, że wychowałam się w mieście i nigdy nie byłam na biwaku, więc zapewne czeka mnie ciężka noc.

Jestem podekscytowana tą wyprawą w nieznaną, ale przecież będziemy nocować w drewnianej pagodzie gdzieś pośród wody. A jeśli w nocy zachce mi się siusiu?

SOBOTA, 21 LIPCA

Jest rano. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale brzask rozjaśnia już niebo na wschodzie.

Zawieszenie hamaków poprzedniego wieczora okazało się wcale nie taką prostą sprawą. Wykorzystaliśmy światła reflektorów naszych motocykli, a między deski wetknęliśmy trzy świece.

Razem z Luong ruszyliśmy pomostem w stronę lądu. Ja trzymałam latarkę, Luong niosła dwie rolki papieru toaletowego.

Obie uśmiechałyśmy się w ciemnościach. Nadal słychać było odgłosy dziecięcych zabaw.

Każda z nas znalazła sobie miejsce na poboczu drogi, kilka metrów od siebie. Zgasiałam latarkę.

Kiedy wracałyśmy, nocne niebo rozświetliła błyskawica. Zupełnie jakby nagle cały świat opromienił blask księżyca w pełni. Wszystko było widać tak wyraźnie, a potem znowu zapanowała ciemność. Żadnych grzmotów, jedynie te nagle rozbłyski na niebie.

Kilka chwil później zaczęła się ulewa. Faceci musieli pomóc mnie i Luong przenieść nasze hamaki na drugi koniec łodzi. Wiatr nie ułatwiał nam sprawy. Brzmiało to tak, jakby dach miał zaraz odlecieć. Burza nadeszła tak niespodziewanie. To naprawdę zdumiewające.

Przez całą noc padało i panował potworny ziąb. Nastął rano, ale ulewa wcale nie zelżała. Wszyscy rozmawiają teraz wyłącznie o stanie dróg i ewentualnych problemach.

Zaczynam rozmyślać o wszystkich ludziach, którzy żyją w tym miejscu. Ich domy nie wyglądały na wystarczająco solidne, żeby przetrzymać taką nawałnicę. Woda na pewno przedarła się przez strzechy, a klepiska z ubitej ziemi musiały się zmienić w błoto. Miałam moskitierę – luksus, na który oni nie mogą sobie pozwolić – a jednak jestem cała pogryziona.

Założyliśmy płaszcze nieprzemakalne i jesteśmy gotowi kontynuować podróż w deszczu, potem słyszę jednak, że jeśli woda zmyła mosty, być może będziemy musieli poczekać na helikopter.

Nawet na moment nie przestało padać. Ale i tak jechaliśmy dalej, jakimś cudem pokonując wszelkie przeszkody.

Miałam wrażenie, że co pięć minut musieliśmy zsiadać z motocykli, ponieważ albo most był zniszczony, albo kałuże okazywały się zbyt głębokie. Szłam na przedzie, więc to ja badałam każdą kałużę pierwsza. Jedna okazała się na tyle głęboka, że woda sięgnęła mi ud. W którymś momencie Luong zdjęła buty i zaczęła szukać żab.

I znowu się rozpadało. Woda zalewała mi oczy, więc ledwie co widziałam. Trudno pilnować szkieł kontaktowych, kiedy po twarzy spływają człowiekowi strugi deszczu. Myślę o tym, że gdyby przyszło mi tu mieszkać, nie mogłabym sobie pozwolić na luksus noszenia takich szkieł, a w podobną pogodę okulary byłyby zupełnie bezużyteczne.

Po drodze minęliśmy kolejne chaty, przed którymi małe dzieci bawiły się z psami i kurami. Te maluchy cały czas się uśmiechają. Są naprawdę niesamowite.

Widziałam też kobietę niosącą kilka tobołków i towarzyszącego jej mężczyznę o kulach. Oboje jakoś przedzierali się przez ten bagnisty teren.

Ktoś pyta na głos:

– Sprawdziliście, czy nie macie pijawek?

Luong, która zdążyła już zdjąć sandały i jest teraz boso, mówi, że owszem, u niej wszystko w porządku. Z kolei Mat-

thew wydawało się, że miał jedną na szyi, ale teraz też już wszystko OK. Słyszę radę, że bym koniecznie obejrzała swoje stopy, kiedy już zdejmę buty.

Czuję ogromny podziw dla wszystkich tych ludzi z HALO. Nie sposób się ich nachwalić. Pomagali nawet przy porodach domowych. Bardzo mało tutejszych ciężarnych kobiet dociera do miejscowej przychodni na czas.

Trudno sobie nawet wyobrazić, jak ciężko musiało tu być podczas wojny. Jakim cudem udało się tym ludziom przetrwać lata cierpień i udręki?

Po około dwóch godzinach podróży motocyklami zabrał nas land rover. Chociaż do tego momentu i tak zdążyliśmy już kompletnie przemoknąć. Droga jest pełna wybojów, zakrętów i spadków, mimo wszystko próbuję jednak pisać.

Jestem zziębnięta, na wskroś przemoknięta i wyczerpana, ale mam ten luksus, że wiem, iż za godzinę znajdę się wreszcie pod dachem, w miejscu, gdzie czekają na mnie suche ręczniki do wytarcia się i coś do jedzenia. Jestem za to naprawdę wdzięczna.

Katie, Mimi, Ravut i Mao z UNHCR zabrali mnie do miejscowego szpitala, prowadzonego przez Lekarzy bez Granic (*Médecins Sans Frontiers*).

Po raz pierwszy Lekarze bez Granic zjawili się w tej prowincji w 1998 roku, tuż po obaleniu reżimu Czerwonych Khmerów, żeby zapewnić miejscowej ludności dostęp do opieki lekarskiej. Odnowili stary, opuszczony szpital.

W niektórych regionach wzięli się do pracy, zanim jeszcze rozpoczęły się repatriacje. W 1999 roku udzielili pomocy trzem tysiącom chorych na malarię, obecnie zaś sytuacja w tej kwestii została już niemal całkowicie opanowana.

Podobnie jak personel HALO oraz innych organizacji pozarządowych, ci ludzie również starają się przeszkolić jak największą liczbę Kambodżan. To bardzo ważne, żeby miejscowa ludność nauczyła się jak najlepiej radzić sobie sama.

Na całym świecie wciąż wybuchają nowe konflikty, w związku z czym pracownicy tych wszystkich organizacji przenoszą się co rusz w kolejne miejsca, zależy im więc na tym, by nie pozostawiać miejscowych bez możliwości kontynuowania rozpoczętych przez nich programów. Dzieje się wręcz odwrotnie – po ich wyjeździe ludzie zawsze są znacznie bardziej samowystarczalni.

Zdarzają się jednak wypadki, kiedy ktoś próbuje na własną rękę rozbroić miny w nadziei, że uda mu się potem wykorzystać materiały wybuchowe do połowu ryb.

Lekarze w Kambodży nie mają tak naprawdę dostępu do odpowiedniego wyposażenia chirurgicznego, a zapasy leków są ograniczone do minimum. Pacjentów w ciężkim stanie i tak trzeba przetransportowywać do innych szpitali, ale z drogami w takim stanie jak dzisiaj (a pora deszczowa trwa tu wiele miesięcy) przewiezienie tam chorych staje się praktycznie niemożliwe.

Z kolei ze względu na brak środków i pieniędzy podróż drogą powietrzną rzadko bywa dostępna. Czasami jedyną opcją okazuje się szpital w Tajlandii, ale dotarcie tam jest również wyjątkowo trudne.

Moi rozmówcy opowiadają też o epidemii HIV i o tym, jak skromna jest wiedza miejscowej ludności na temat tego wirusa. Wiele organizacji rozdaje więc prezerwatywy i ulotki informujące, jak ustrzec się zakażenia.

Obecnie kładzie się ogromny nacisk na kwestię walki z AIDS, jednak lekarze podkreślają w rozmowie z nami, że wiele osób z innymi schorzeniami wciąż czeka na pomoc.

Głównym zmartwieniem pozostaje AIDS, chociaż ogromnym zagrożeniem jest w tym regionie również gruźlica.

W miejscowym szpitalu (który sami lekarze nazywają ośrodkiem zdrowia) widziałam niewielkie pomieszczenie, w którym w nagłych przypadkach przeprowadza się operacje.

Drewniany stół przykryty niebieską folią.

Podobno nie stosuje się tu transfuzji krwi.

Ostatnią poważną operacją, jaką tu przeprowadzono, była amputacja ramienia. Pacjent otrzymał jedynie podstawowe środki przeciwbólowe w charakterze znieczulenia.

Obeszliśmy cały szpital. Spotkałam tam małą, najwyżej czteroletnią dziewczynkę z opatrunkiem na oku, widziałam też zabiedzonego chłopczyka. Trafił tutaj, ponieważ jego brat (chyba) w żartach wyrzucił go z hamaka. Chłopiec był tak niedożywiony, że w wyniku upadku uszkodził sobie biodro. Lekarze musieli je zoperować i założyć sączki.

Zawsze starają się oszczędzać swoje skromne zapasy środków znieczulających dla dzieci.

– Jeśli w ogóle je mamy, zawsze najpierw otrzymują je maluchy.

Wszystkie dzieci tutaj wyglądają na młodsze niż są w rzeczywistości, ponieważ są bardzo drobne. Jeden z lekarzy powiedział mi, że całe pokolenia są coraz mniejsze z powodu niedożywienia. Poza tym wzrost człowieka zależy nie tylko od wzrostu jego rodziców, ale także od stanu zdrowia tychże i odżywiania w okresie dzieciństwa.

To kolejny przykład tego, jak wojna będzie wpływać na życie jeszcze nienarodzonych pokoleń.

Kilka godzin później zatrzymaliśmy się, żeby porozmawiać z rodziną repatriantów. Po prostu wybraliśmy na chybił trafił jeden z domów i zapytaliśmy, czy możemy wejść. Przyjęto nas bardzo serdecznie.

Gospodarze rozłożyli dla nas matę.

W tej niewielkiej chatce mieszkało małżeństwo z piątką dzieci oraz nestorką rodu.

Jedno z dzieci było głuchonieme.

Ich skromny domek został wzniesiony na palach w celu ochrony przed ulewnymi deszczami, żeby woda go nie zalewała.

Dzieci chodzą do szkoły zbudowanej przez UNHCR w okresie, kiedy rozpoczęły się powszechne repatriacje.

Rodzina ma również niewielki kawałek ziemi, na którym uprawia orzechy nerkowca i ryż. Ojciec pożyczył też sieć od sąsiada, ale z powodu powodzi nie zdołał nic złowić.

Najbardziej niesamowite było jednak to, że kiedy tak z nimi siedziałam, czułam się, jakbym była z wizytą u zwykłej przeciętnej rodziny. Jedyna różnica polegała na tym, że okazywali sobie znacznie więcej troski i przywiązania niż ludzie, których spotykam na co dzień.

Na szczęście zapanował wreszcie pokój, więc ich jedynym zmartwieniem jest teraz zdrowie i odpowiednie zaopatrzenie w żywność. Nie muszą się już dłużej obawiać wroga i działań wojennych, przez które wciąż musieli uciekać.

Kiedy byliśmy tam z wizytą, co rusz zjawiali się kolejni członkowie rodziny, wujowie, ciotki i kuzyni, zeszło się również sporo sąsiadów.

Wszyscy kucali w kątach albo podpierali ściany. I byli tacy uprzejmi. Kiedy podchwycisz tu czyjeś spojrzenie, ten ktoś uśmiecha się do ciebie, choćby tylko samymi oczami.

Czasami ktoś, kto chciał nas o coś zapytać, wychodził na środek i siadał, zanim zadał nurtujące go pytanie.

Spotkaliśmy się też ze Scottem z Akcji odbudowy i odnowy Kambodży (*Cambodia Area Rehabilitation and Regeneration Project* – CARERE), żeby obejrzeć zbudowaną przez nich szkołę, poznać miejscową społeczność i lepiej zrozumieć cały proces.

Dzisiaj dzieci mają wolne. W klasie zebrało się około dwudziestu osób z okolicy, które opowiedziały nam o budowie szkoły i dalszych planach.

Miejscowa społeczność jest bardzo zaangażowana w tę sprawę. Obecnie starają się rozbudować budynek, żeby więcej dzieci mogło się tu uczyć.

Podczas tego spotkania przed każdym z nas postawiono kokos ze słomką w środku.

Wszyscy podziękowali nam za przybycie i życzyli zdrowia.

Jestem taka szczęśliwa, że dzięki temu, gdzie mieszkam i czym się zajmuję, mogę wspierać budowę szkół w takich właśnie miejscach.

Podobny brak równowagi finansowej na świecie wydaje mi się kompletnie pozbawiony sensu.

Dyrektor szkoły powiedział mi, że jego placówka obejmuje swoim zasięgiem dwie pobliskie wioski, które łącznie zamieszkuje tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt osób. Jest wśród nich pięćset dziewięćdziesięcioro dzieci między szóstym a dziesiątym rokiem życia, ale miejsca w szkole wystarcza jedynie dla trzysta siedemdziesięciorga. Tak więc dwieście dwadzieścioro dzieci nie może się uczyć, ponieważ nie ma dla nich miejsca. Klasy liczą sobie po pięćdziesięcioro uczniów, a w całym budynku są jedynie trzy sale lekcyjne, tak więc nauka odbywa się tu na zmiany.

Wśród trzystu siedemdziesięciorga zapisanych do szkoły uczniów jest zaledwie sto jeden dziewcząt. Dowiadujemy się, że ponieważ szkoła jest tak przepełniona, większość rodzin zatrzymuje dziewczęta w domu, żeby pracowały. Priorytetem jest wykształcenie synów.

Szkoła ma wiele innych potrzeb. Brakuje latryn i jest tylko jedna studnia, bardzo stara, więc władze martwią się, czy woda z niej jest na pewno bezpieczna dla dzieci.

NIEDZIELA, 22 LIPCA

Właśnie obudziło mnie pianie kogutów. Wygląda na to, że wreszcie przestało padać. W każdym razie mam taką nadzieję, bo tego ranka czeka nas trzygodzinna podróż łodzią do Batambang. Chociaż jeśli jednak nadal będzie padać, nic przecież na to nie poradzę.

To naprawdę wyjątkowe doświadczenie znaleźć się wśród pracowników z HALO i UNHCR. Muszą znosić tak wiele niedogodności, a jednak wciąż mówią tylko o harcie ducha miejscowej ludności i o tym wszystkim, z czym muszą się mierzyć ci ludzie, by przetrwać. Przedstawiciele różnych organizacji humanitarnych starają się pomagać uchodźcom pokonać tak wiele trudności, że kiedy już im się to uda, muszą odczuwać naprawdę wielką satysfakcję.

Scott, którego poznałam wczoraj, pracuje tutaj z ramienia CARERE od dwudziestu lat. Ożenił się z Kambodżanką, która jest konsultantką rządu do spraw praw kobiet. Mają troje dzieci.

Scott pracuje nad rozbudową sieci szkół w tym regionie. Pomoże mi znaleźć sposób na sfinansowanie kilku nowych budynków szkolnych. Sam twierdzi, że ma najwspanialszą pracę na świecie.

Pracownicy organizacji humanitarnych nie tylko nie narzekają na trudności, lecz także niezmiennie powtarzają, że mają wielkie szczęście, bo mogą nieść pomoc potrzebującym.

Na podeszwach stóp mam z dziesięć śladów po ukąszeniach pajaków. W każdym razie wydaje mi się, że to ugryzienia pajaków, ponieważ opuchlizna zrobiła się większa. Z pewnością nie pokąsały mnie moskity, ale miejsca ugryzień nie przestają swędzieć. Poza tym na nodze mam jakąś wysypkę, chociaż nie potrafię powiedzieć od czego.

Jedzenie jest okropnie dziwne. W ogóle nie mogę się nim najść.

Czasami dzień strasznie mi się dłuży, a kiedy wreszcie dostajemy coś do zjedzenia, okazuje się, że jest tego niewiele.

Nie śpiam też zbyt dobrze. Pewnie dlatego, że ciągle jestem przemoczona przez nieustające deszcze.

A jednak mimo tych wszystkich problemów nigdy nie byłam szczęśliwsza. Czuję się zaszczycona, że mogę pracować

z tymi wszystkimi ludźmi. Z każdym dniem coraz wyraźniej uświadamiam sobie, jak łaskawy był dla mnie los.

Mam nadzieję, że nigdy o tym nie zapomnę i nie będę już na nic narzekać. Ale do licha – stopy tak strasznie mnie swędzą.

PODRÓŻ ŁODZIĄ DO BATTAMBANG

Jedziemy polną drogą, która wije się między wioskami rybackimi.

Tutejsi ludzie żyją w tak trudnych warunkach, a jednak zachowują hart ducha. Wszyscy pracują, a ich dzieci wyglądają na naprawdę szczęśliwe.

Niektóre rodziny mieszkają na małych barkach, inne w niewielkich chatach wzniesionych na palach na wypadek przybrania wody.

Kiedy przesiedliśmy się już do łodzi, mijaliśmy wiele takich wiosek i uwijających się przy pracy rybaków.

W pewnym momencie nasza łódź przyspieszyła. Siedziałam na samej górze, a mężczyźni z przodu powiedzieli mi, czego mogę się trzymać.

Coraz bardziej zakochuję się w tym kraju i jego mieszkańcach. Oni wiedzą coś, o czym my zdążyliśmy już zapomnieć. Rozumieją, co znaczy wspólnota. I pamiętają, że należy doceniać pokój i wolność.

Po trzech godzinach dotarliśmy wreszcie na miejsce. Zeszłam z łodzi opalona i wysmagana wiatrem. Mao czeka już na nas na przystani w land roverze. Wyjechał dzień przed nami, żeby być tutaj na czas. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze na lunch.

Kiedy złożyliśmy zamówienie, kucharz powiedział nam, że musi szybko pobiec na targ, bo skończyły mu się warzywa. Zostawił nas samych i ruszył rowerem na pobliskie tar-

gowisko. Nie mam pojęcia, dlaczego wydało mi się to takie wspaniałe, ale tak właśnie było.

Podczas lunchu zapytałam Katie, jak długo uczyła się khmerskiego (języka rządowego Kambodży). Odparła, że mieszka tu dopiero od kilku lat, ale uważnie wsłuchuje się w to, co mówią ludzie wokół niej, a poza tym przez krótki czas miała nauczyciela. Włożyła w naukę naprawdę wiele wysiłku. Zaczęła mi tłumaczyć, jakie to ważne, by umieć się porozumieć z ludźmi w ich rodzimym języku. Kiedy znasz ich język, masz większą szansę na to, że zrozumiesz, czego od ciebie oczekują, zamiast tylko się domyślać.

Jak w ogóle możemy udawać, że wiemy, co jest dla ludzi dobre, jeśli nie potrafimy z nimi nawiązać przejrzystych relacji?

BATTAMBANG

Wybieramy się z wizytą do Emergency, włoskiej organizacji pozarządowej.

Prowadzony przez nią szpital przyjmuje przede wszystkim cywilów, zajmuje się także leczeniem i rehabilitacją ofiar min przeciwpiechotnych.

Działa tu również szkoła dla dzieci.

Włosi prowadzili dwie podobne placówki w Afganistanie, jednak jedna z nich została już zamknięta przez talibów.

Na ścianach sali lekcyjnej wiszą obrazki wykonane przez małych podopiecznych – rysunki kwiatów, motyli i dwa autoportrety dzieci na wózkach inwalidzkich.

Po szpitalu oprowadzał mnie Marco, jeden z lekarzy z Emergency.

Przechowuje się tutaj również zapas stale potrzebnej krwi. W pomieszczeniu panuje ziąb, ale krew i tak trzymana jest w lodówce.

– Zniesie pani przykre widoki? – zapytał w którymś momencie mój przewodnik.

– Oczywiście.

Marco zaprowadził mnie na oddział intensywnej terapii.

Mogę tylko powiedzieć – dzięki Bogu za ten szpital i tych lekarzy.

Spotkałam tam kilka ofiar min.

Mężczyznę, który podczas spulchniania motyką ziemi natknął się na minę, a ta wybuchła mu prosto w twarz. Stracił oko i doznał lekkich obrażeń mózgu. Przez ostatnie dwa miesiące lekarze starali się poskładać jego szczękę w całość. A on jest taki szczęśliwy, że może znowu normalnie jeść i rozmawiać.

Inny mężczyzna wyglądał zupełnie jakby spał, jednak wyjaśniono mi, że jest pogrążony w śpiączce. W jego głowie tkwiła kula.

Jedna z pracownic szpitala, która była w ciąży, też została postrzelona. Jej mąż również pracował w szpitalu. To on zobaczył ją pierwszy, kiedy ją przywieziono. Zmarła potem z powodu upływu krwi.

Wśród pacjentów jest też tyle osób po amputacjach.

Człowiek z *Mines Advisory Group*, organizacji propagującej zakaz stosowania min przeciwpiechotnych, zajmuje się weryfikacją takich właśnie przypadków. Młodzi pacjenci po amputacjach muszą być regularnie badani. Te dzieci nadal rosną, więc komplikacje są nieuniknione.

Później zaprowadzono mnie na oddział dla kobiet i dzieci.

Pewien mały chłopiec jechał ze swoim ojcem wozem, kiedy natrafili na minę przeciwczołgową. Ojciec zginął, chłopiec natomiast trafił do szpitala z poważnymi złamaniami i ciężkim krwotokiem. Organizacja Emergency odnalazła jego matkę i zatrudniła ją tutaj jako pielęgniarkę. Poznałam też człowieka o nazwisku Buu Chorm. Pokazaliśmy sobie

nawzajem nasze tatuaże i opowiedzieliśmy o ich znaczeniu. Jego stanowiły wróżbę pomyślności i ochrony. Ponieważ jednak stracił nogę, zażartował:

– Może trzeba sobie było zrobić więcej tatuaży.

Zapytałam kilkoro lekarzy, czego najbardziej im trzeba. Ciągłe słyszałam tę samą odpowiedź. Potrzebują nowych dróg dojazdowych do szpitala. Mnóstwo organizacji próbuje nieść tu pomoc, ale każdy kilometr dwupasmowej asfaltowej drogi kosztuje ponad milion dolarów.

Wcześniej tego ranka narzekałam, że swędzą mnie stopy. Tego popołudnia poznałam mężczyznę, który stracił nogę. Ten człowiek powitał mnie uśmiechem, a potem zaczął się przerzucać żarcikami z doktorem. Znalazł w sobie dość siły, by okazać się uprzejmym gospodarzem dla nas, gości.

SAMLOT

Jedziemy do biura UNHCR, gdzie zostaniemy przez następnych kilka tygodni. Pracownicy UNHCR byli naprawdę pomocni podczas repatriacji, ale ponieważ ci ludzie nie są już dłużej uchodźcami, organizacja nie ma tutaj swojego biura. Korzystamy z pomieszczenia użyczonego przez *Action Nor Sud* (ANS).

Jej pracownik zaprowadził nas do pomieszczenia z trzema składanymi łózkami. Każde było zabezpieczone moskietierą umocowaną do ścian gwoźdźmi.

W niewielkiej łazience stał wielki sagan z umieszczoną w nim małą blaszaną miską do „słoniowej” kąpeli.

PONIEDZIAŁEK, 23 LIPCA

Jest około siódmej rano. Zbudziło nas pianie kogutów i żar lejący się z nieba. Kiedy piszę te słowa, Mimi i Ravut

zrywają owoce z drzewa. Muszą podskakiwać, żeby do nich dosięgnąć.

Zaraz wyjeżdżamy, żeby zwiedzić przychodnię w Samlot prowadzoną tam przez organizację Emergency. Ośrodek został wybudowany w 1999 roku, tuż po zakończeniu działań wojennych w tym regionie. Wówczas ziemia była jeszcze usiana setkami min przeciwpiechotnych. Wiele osób zginęło z ich powodu.

W 2001 roku zostało wybudowanych kolejnych dziesięć takich ośrodków.

Organizacji nadal brakuje jednak odpowiedniego zaopatrzenia, by uporać się z poważnymi problemami. Próbują odwozić ofiary do Battambang, ale drogi są niemal całkowicie nieprzejezdne, a czasem zwyczajnie znikają pod wodą.

Każdego miesiąca w ośrodku zdrowia w Samlot zjawia się około półtora tysiąca ludzi z objawami malarii.

Szef personelu powiedział mi:

– Czasem nie możemy im nic ofiarować – nic więcej poza naszym sercem.

Odwiedziłam oddział dla chorych na malarię oraz ten przeznaczony dla gruźlików.

W trakcie wojny ludzie nie byli szczepieni na chorobę Heinego-Medina. W końcu jednak szczepionki stały się dostępne, więc teraz rodzice przyprowadzają dzieci do przychodni na szczepienia.

Jedziemy na następne spotkanie. Po raz pierwszy zauważyłam stojące przy drodze znaki z napisami „Uwaga – miny” oraz rysunkiem czaszki z puszczelami.

Tak wielkie połacie tego regionu nie zostały jeszcze oczyszczone.

Wszyscy przestrzegają nas:

– Zawsze trzymajcie się utartych szlaków albo idźcie po czyichś śladach. To nie jest dobry pomysł włóczyć się po dżungli, nawet jeśli nie ma znaków ostrzegawczych.

Co dwadzieścia dwie minuty gdzieś na świecie ginie lub zostaje okaleczony w następstwie wybuchu miny człowiek.

Odwiedzamy centrum animacji.

Jego pracownicy skupiają się na pracy z dziećmi, które przeżyły wojnę.

W takich miejscach podkreśla się znaczenie zabawy, toteż nacisk jest kładziony nie tylko na zapewnienie maluchom podstaw edukacji, ale również na sport i taniec.

Spędziliśmy z dziećmi trochę czasu. Mao i Ravut grali z nimi w piłkę nożną, Katie i ja zbudowałyśmy domek z kawałków drewna. Ścigałyśmy się przy tym z pewnym chłopcem, który wznosił podobną budowlę. Przegrałyśmy.

Niektóre z dzieci mają jaśniejsze włosy – to oznaka niedożywienia.

Jakiś chłopiec ze zniekształconą stopą kopał starą piłkę.

Jedynymi zabawkami, jakie tam widzieliśmy, były kawałki drewna i dwie stare piłki do gry w nogę, a jednak dzieci zdawały się uszczęśliwione, że mogą się nimi bawić.

Niektóre z dzieci nosiły plecaki z logo UNHCR, które zostały tu dostarczone ponad rok temu. Wydaje mi się, że dzieci bawią się w nich, bo chcą mieć cały swój dobytek bez przerwy przy sobie. Pewnie boją się, że po raz kolejny stracą wszystko, co mają.

Kiedy piszę te słowa, otacza mnie jakaś piętnastka maluchów obserwujących każdy mój ruch z zainteresowaniem. Wszystkie uśmiechają się i chichoczą. Czy przypatrują mi się z powodu mojej jaśniejszej skóry, tatuaży, czystego białego podkoszulka albo jasnych oczu? A może wpatrują się we mnie i chichoczą, bo jestem leworęczna? Chyba po prostu żartują sobie ze mną, bo jestem tu nowa, a one są normalnymi, ciekawskimi dziećmi.

Pojechaliśmy do następnej wioski, gdzie spotykamy przedstawicieli miejscowej służby zdrowia, wyedukowanych przez personel Emergency w podawaniu szczepionek.

Na obiad dostaliśmy ryż, mięso i dziwnie wyglądające owoce z czerwono-zielonymi łodygami.

Mimi jest chora. Ja też nie czuję się najlepiej, zasnęłam nawet na kilka minut. Za każdym razem, kiedy ktoś tutaj zaczyna chorować, przeprowadza się z nim cały wywiad na temat objawów, zapewne po to, żeby sprawdzić, czy to nie malaria albo coś równie poważnego.

Jeśli chodzi o mnie, to chyba po prostu przemęczenie. Nie jestem przyzwyczajona do tak długiej pracy, co oczywiście sprawia, że jeszcze bardziej podziwiam tych wszystkich ludzi.

Poznaliśmy także Sarah szefującą Wizji Rozwoju Kambodży (*Cambodian Vision in Development – CVD*), zajmującej się udzielaniem wsparcia najbardziej bezbronny repatriantom i wewnętrznym przesiedleńcom. Starają się pracować z ludźmi tak, by byli oni w stanie zadbać o siebie sami.

Podczas pobytu w prowadzonym przez nich ośrodku zauważyłam niewidomego mężczyznę bez ręki, który zajmował się pielęgnacją ogrodu. Ruchem ręki wskazał w kierunku swojego domu, a wtedy podszedł do niego inny mężczyzna, żeby go tam zaprowadzić. Ten człowiek z kolei nie miał obu rąk, ale za to widział. Mężczyźni pracowali razem. Tacy niepełnosprawni, „bezbronni” ludzie równoważą swoje ułomności pomaganiem sobie nawzajem.

Mężczyzna bez rąk miał sześcioro dzieci, którym musiał zapewnić utrzymanie. Opowiedział nam, jak niewiele ryżu jest w stanie sam posadzić. Miał taką miłą twarz. Kiedy wrócił do ojczyzny po ośmiu latach pobytu w Tajlandii, próbował zacząć wszystko od nowa, stworzyć dom dla swojej rodziny. Podczas karczowania kawałka ziemi trafił na minę.

Jego syn, mały chłopczyk o wielkich brązowych oczach, chwyta go za ramiona. Mężczyzna nachyla się z uśmiechem. Jedyne troje z jego dzieci może się obecnie uczyć, nie stać go, żeby posłać je wszystkie do szkoły. Nauka jednego dziec-

ka kosztuje półtora tysiąca rieli miesięcznie, co w przeliczeniu na amerykańską walutę równa się trzydziestu centom.

Mężczyzna opowiada dalej, a ja nie przerywam pisania. Skupiłam się na zapiskach, bo zbiera mi się na łzy. Nie chcę, żeby nasz rozmówca dostrzegł, jak bardzo mu współczuję czy żeby poczuł się zawstydzony swoim położeniem.

Mężczyzna żegna się ze mną i mówi coś jeszcze z uśmiechem, co moi towarzysze natychmiast mi tłumaczą:

– Nie jestem w stanie jasno mówić. Od zmartwień mój umysł robi się słaby.

Nasz następny przystanek wypada przy chacie mężczyzny bez nóg, który pracuje w polu. Na nasz widok zdejmuje kapelusz i wita nas uśmiechem. Jeździ w pole wózkiem zaprzężonym w woła. Pytam, czy ma dzieci, a on pokazuje ręką, że brak mu dolnej części ciała. Został przecięty dosłownie na pół. Uśmiecha się do mnie, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Wszystko w porządku, nic się nie stało, że pani zapytała”.

Ruszyliśmy dalej pieszo między splachetkami pola. Spotkaliśmy ślepcę, którego ramiona zostały odcięte tuż nad stawami łokciowymi. Teraz próbował pielic za pomocą nóg. Jego żona miała problemy psychiczne i odchodząc od niego, zabrała ze sobą najmłodsze maleństwo. Zostawiła go z pięciorgiem pozostałych dzieci. Sąsiedzi pomagają mu gotować dla tej gromadki, a on sam stara się łowić ryby ustami, kiedy tylko może. Wola przetrwania tych ludzi jest naprawdę zdumiewająca.

Temu mężczyźnie również towarzyszy synek. Chłopiec wygląda na jakieś pięć lat, dowiadujemy się jednak, że ma dziewięć. Nie może chodzić do szkoły, zastępuje swojego ojcu oczy. Tylko w tym rejonie jest osiemset podobnych do jego przypadków, w większości są to ofiary min przeciwpiechotnych. Czuję ogromną nienawiść do tych wszystkich lu-

dzi czy rządów, którzy próbują storpedować plany uchwalenia zakazu stosowania takich min.

Wracamy do auta, żeby ruszyć dalej. Ravut pyta jeszcze tych ludzi, czy ziemia, którą starają się wykarczować, została oczyszczona z min. Mężczyźni odpowiadają, że nie, ale ich zdaniem nie ma powodów do obaw, bo jak dotąd żadna tu jeszcze nie wybuchła.

Większość ludzi po przeczytaniu tego zapyta: „Dlaczego nie mogą sami oczyścić jej z min? A jeśli to niemożliwe, czemu nadal tam mieszkają?”. Zwyczajnie – nie mają wyboru.

Wojna obejmowała cały ten region, a nie da się oczyścić każdej działki z min. Nie ma na to dość czasu ani pieniędzy.

Najważniejsze jest jednak to, by coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Wytwarzanie i stosowanie min powinno być surowo zakazane. Mam nadzieję, że każdy, kto przeczyta historie tych ludzi, postara się zrobić coś w tej sprawie.

Opowiedziano mi także o przypadku mężczyzny bez nóg, który ma dwie córki. Nie mogliśmy ich odwiedzić, ponieważ drogi zostały rozmyte przez deszcze. A pora deszczowa dopiero się zaczęła. Ludzie mogą się jedynie modlić, by nie wydarzyło się nic złego, bo nie mieliby jak wezwać pomocy.

Ktoś zapytał jednego z mężczyzn jadących naszym autem, czy również był uchodźcą.

– Tak – odparł zapytany z uśmiechem.

Wiedział, że w tym towarzystwie może być z tego dumny, że z naszej strony spotka się tylko z szacunkiem. Wyjaśnił nam, że przebywał w Tajlandii od 1989 do 1992 roku – obóz numer dwa.

Ravut wspomina, że on również mieszkał w tym obozie. Podobnie jak Mao. I jakieś sto dwadzieścia tysięcy innych ludzi.

Obóz numer dwa to nazwa nadana temu miejscu przez siły ONZ zajmujące się udzielaniem pomocy uchodźcom

na pograniczu tych dwóch państw. Była to najliczniejsza populacja Kambodżan poza Phnom Penh. Ludzie szukali tam schronienia w okresie rządów Pol Pota i Czerwonych Khmerów. Obóz zajmował obszar mniej więcej dziesięciu kilometrów kwadratowych, a zamieszkiwało go około dwustu dwudziestu tysięcy Kambodżan. Był to najbardziej przeludniony obóz w całej Tajlandii.

OSIEMNASTA

Odwiedzamy szkoły wieczorowe w tym regionie.

Action Nord Sud prowadzi naukę czytania i pisanie dla dorosłych wczesnymi wieczorami. Odwiedzamy jedne z takich zajęć. Oprowadza nas Francuzka Anne, która szefuje tej organizacji pozarządowej opłacającej dwudziestu sześciu nauczycieli pracujących w ponad dziesięciu szkołach.

Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wychowania, Nauki i Kultury (*United Nations Educational, Scientific and Cultural Organization* – UNESCO) przeprowadziła stosowne badania i opracowała program nauczania. Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (*United Nations Children's Fund* – UNICEF) pomaga przy kształceniu wykładowców oraz opracowywaniu i rozprowadzaniu podręczników.

Anne wyjaśniła nam, że nauczaniem zwykle zajmują się tutaj kobiety. Lekcje odbywają się wieczorami, matki zabierają na nie swoje dzieci, które trzymają się blisko nich.

Dzisiaj odbywa się nauka czytania, przy czym czytanka zawiera informacje, które również im się przydadzą. Uczniowie powtarzają za nauczycielką kolejne zdania w swoim ojczystym języku. Ci ludzie przeżyli tak wiele, ale to nadal piękna kultura.

Dowiaduję się, że czytają na temat medycyny naturalnej i tego, że jest ona lepsza od sztucznych leków.

KOLACJA

Posiłek składał się z ryżu, mięsa i bananów.

Mężczyźni opowiedzieli nam trochę o „czasach Pol Pot” w okresie między 1975 a 1979 rokiem.

Podczas pobytu w obozach nauczyli się całkiem niezłe angielskiego. Potrafią nawet objaśnić różnicę między „liczbą” a „ilością” czegoś. Nigdy nie byłam zbyt dobra z gramatyki. Ci ludzie świetnie nadawaliby się na moich nauczycieli.

Ravut opowiedział też o tym, jak poznał swoją żonę. Pobrali się w obozie. Teraz ona pracuje w amerykańskiej ambasadzie, mają dwoje dzieci – dziesięcio- i pięcioletnie.

Nagle dostrzegam, jakie piękne jest tu niebo. Gwiazdy świecą tak jasno, a sierp księżycy wisi nie pionowo, ale jakby na plecach.

WTOREK, 24 LIPCA

Jest prawie siódma rano. Wszyscy zerwaliśmy się z łóżek już jakiś czas temu. To naprawdę niezwykle doświadczenie wstać na tyle wcześnie, by zobaczyć, jak budzi się nowy dzień.

Dopiero co odeszliśmy od stołu. Byłam naprawdę głodna. Śniadanie składało się z rozpuszczalnej kawy, ryżu oraz suszonego mięsa i ryb. Mięso smakowało jak tłusta wołowina, a ryba rwała się w palcach.

Piszę to nie dlatego, że nie doceniam tego wszystkiego – po prostu moim zdaniem te wszystkie niedogodności dowodzą tylko, jak wyjątkowymi ludźmi są pracownicy terenowych agencji rozmaitych organizacji pozarządowych. Oni

mieszkają w takich miejscach całymi miesiącami, obywając się bez tyłu udogodnień – między innymi bez porządnego prysznica.

Tego ranka znowu wykapałam się przy użyciu garnuszka. Nadal nie radzę sobie zbyt dobrze z polewaniem się za jego pomocą, a nie chcę marnować wody. Wczoraj na przykład już miałam wyrzucić lód ze swojej szklanki, kiedy Ravut mnie powstrzymał.

– Lód jest tutaj bardzo drogi. Powinnaś go oddać z powrotem do kuchni.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy tego ranka, były odwiedziny w szkole.

Kiedy pierwsi uchodźcy zaczęli wracać w te strony, nie było tu ani nauczycieli, ani szkół. Przez wiele lat ci ludzie nie mieli praktycznie żadnego dostępu do edukacji. Dlatego właśnie zaczęto kształcić nauczycieli niemal od razu, by mogli zacząć jak najszybciej uczyć.

Action Nord Sud oraz UNHCR musiały naciskać na rząd, by uznano tych dopiero się kształcących nauczycieli za w pełni wykwalifikowanych. Ci ludzie byli znacznie gorzej wykształceni od nauczycieli z innych rejonów, zostali jednak zatrudnieni i zaczęli otrzymywać pensje. Bardzo skromne, ale zawsze coś.

W szkole, którą odwiedziliśmy, uczą się maluchy w wieku sześciu – siedmiu lat. Dzieci są dokładnie takie same na całym świecie. Po prostu piękne.

Tak wspaniale jest móc je obserwować w trakcie nauki – zwłaszcza ich ojczystego języka i kultury.

Jedna z nauczycielek, którą widzieliśmy dzisiaj podczas pracy z dziećmi, poprzedniego wieczora prowadziła zajęcia dla dorosłych.

Nauczycielka zawołała coś po khmersku, na co dzieci ze wszystkich trzech klas wybiegły na zewnątrz, uśmiechając

się i chichocząc, po czym posłusznie ustawiły się w rzędach. Nadeszła pora na poranną gimnastykę.

Ravut, Mimi, Mao, Anne z ANS oraz Sarath z CVD, no i ja ustawiamy się razem z maluchami.

Rozpoczyna się gimnastyka, dzieci ćwiczą w sposób zdyscyplinowany i zorganizowany. A my kręcimy się bez sensu – obracamy się w niewłaściwym kierunku i ciągle zderzamy się ramionami.

Większość dzieci śmieje się z nas, te bardziej nieśmiałe wpatrują się w nas tylko z zaciekawieniem. Główki mają spuszczone – może starają się ukryć uśmiechy. Nie potrafię powiedzieć.

W ich oczach maluje się radość.

Cudownie było patrzeć na te szczęśliwe dzieci. Na większości zdjęć z ubiegłych lat maluchy mają smutne i nieszczęśliwe miny. Zawsze widzieliśmy je zapłakane i głodne, z tak wielką beznadzieją malującą się w ich oczach.

Tego ranka bawiłam się z dziećmi pośród bujnej zieleni, pod przejrzyste niebieskim niebem, w szkole zbudowanej i prowadzonej przez ludzi, którym tak bardzo na nich zależy. Prawdziwy raj.

Wiatr rozwiewa włosy jednego z chłopców. Maluch podnosi wzrok, mrużąc oczy przed słońcem. Kiedy podchwytuje moje spojrzenie, chowa się za kolegą. A potem zza niego wygląda. Nie potrafię przestać się uśmiechać.

Teraz mamy się kręcić w kółko. Dzieci zaczynają śpiewać. Nie rozumiem słów, ale głosy maluchów brzmią tak słodko.

Później dowiedziałam się, o czym była ta piosenka: *Ziemia jest piękna, dbaj o nią. Ona jest dla nas taka dobra. Ale nie jest bezpieczna. Uważaj na miny. Jeśli jakąś zobaczysz, nie dotykaj jej.*

Potem przeszliśmy dalej, do miejsca, z którego dobiegała muzyka. Tu odbywają się zajęcia taneczne na wolnym powietrzu.

Wszystkie dzieci mają na nogach japonki, czasem nie dłuższe niż siedem centymetrów.

Po paru minutach wspólnej zabawy dzieci wreszcie się ośmieliły i zaczęły się do nas przysuwać. Najwyraźniej w końcu poczuły się w naszym towarzystwie bezpiecznie.

W kolejnej szkole dzieci siedzą w klasach. Kiedy zatrzymujemy się przed budynkiem, słyszymy, jak powtarzają za nauczycielem lekcję. Jeden z nauczycieli jest po amputacji. Nie ma nogi i kiedy pisze kredą na tablicy, podpira się na kuli.

Dowiaduję się, że dwadzieścioro dziewięciorgo spośród sześćdziesięciorga dziewięciorga nauczycieli to osoby niepełnosprawne. Mimo tragicznych doświadczeń wszyscy są jednak szczęśliwi, że mają tu szkołę.

Ktoś mówi mi, że w samym Samlot pozostało jeszcze około stu min przeciwpiechotnych.

Powoli podchodzi do nas jedna z nauczycielek, po czym z uśmiechem wręcza Anne jakąś kartkę. Jedną nogę ma obutą w sandał, druga to drewniana proteza. Otacza nas tyle osób po amputacjach, tyle ofiar min, że zaczyna się to nam wręcz wydawać czymś naturalnym. Tutaj to po prostu jeden z elementów codziennego życia.

Kartka zawierała prośbę o zorganizowanie niewielkiej biblioteczki. Szkoła dysponuje ograniczoną liczbą podręczników, w okolicy nie ma też żadnej wypożyczalni książek.

W jednej z sal dzieci używają do nauki liczenia pięczków pociętych na kawałki łydyg roślin.

Obserwuję jednego z niepełnosprawnych nauczycieli wracającego do klasy. Wygląda na to, że proteza nogi sprawia mu ból. Aż trudno sobie wyobrazić, jakie to musi być uczucie, uczyć na stojąco przez cały dzień, a często również wieczorami, kiedy ma się niewygodną protezę.

Jest mi gorąco i niewygodnie, a przyjechałam tu przed ledwie kilkoma godzinami.

Nauczyciele pokonują pieszo dziesiątki kilometrów, by dotrzeć do szkoły. A drogi są tu przecież w naprawdę kiepskim stanie.

Mieszkańcy tego regionu mają też bardzo ograniczony dostęp do opieki zdrowotnej. Zwłaszcza zdobycie nowej protezy jest wyjątkowo trudne i kosztowne. A trzeba je wymieniać przynajmniej co kilka lat. Nawet jeśli to wyłącznie źle dopasowany, prymitywnie ociosany kawałek drewna, dla wielu stanowi wielki luksus.

W innych regionach, na przykład w Phnom Penh, usługi są na lepszym poziomie, ale podobne życie nigdy nie jest ani proste, ani sprawiedliwe. Ci ludzie cierpią od tak dawna.

Podróż powrotna do Battambang zajmuje nam niemal osiem godzin.

BATTAMBANG, WTOREK WIECZOREM

Poznałyśmy z Mimi biskupa Battambang, Enrique Figaredo S.J. (jezuitę). Wszyscy nazywają go tutaj ojcem Kike (wymawia się to Quique).

Ojciec Kike przebywał w tajlandzkich obozach w 1984 roku, starając się pomagać uchodźcom z Kambodży. Sam przyjechał tu w 1988 roku.

Opiekuje się głównie ludźmi, którzy ucierpieli w wyniku wybuchów min, jednak pomaga również ofiarom polio. To życzliwy, czarujący człowiek.

Jest ubrany w koszulę w niebieską kratę, z krótkimi rękawami i gołąbkim pokoju wyhaftowanym na jednej z kieszeni.

– Mała dziewczynka to dla mnie wyszyła – wyjaśnił, wskazując z dumą tego gołąbka.

W obozach zajmował się głównie organizowaniem pomocy dla niepełnosprawnych. Starał się, by zdobyli umiejętności, które mogłyby się im przydać po powrocie do domu,

ale teraz żartuje, że po prostu przyjemnie spędzali czas. Teraz, dziesięć lat później, ci wszyscy ludzie mogą się pochwalic czterema czy pięcioma umiejętnościami na raz.

Spotkaliśmy się w niewielkiej restauracji i zamówiliśmy lody. Wszystko było takie ekscytujące. Oboje z ojcem Kike wybraliśmy lody z czekoladowymi wiórkami.

Wkrótce biskup wyjeżdża do Nikaragui, by uczestniczyć w spotkaniu sygnatariuszy traktatu o zakazie stosowania i produkowania min przeciwpiechotnych.

Wspomina też o tym, że powinnam się wybrać do prowadzonego przez Emergency szpitala i na własne oczy przekonać się, jak wygląda sytuacja. Każdego dnia trafiają tam kolejne ofiary wypadków z minami. A potem dodał:

– Wspaniałe rzeczy dzieją się w najstraszniejszych miejscach.

Opowiedział mi też o dziewczynce, która straciła nogę, kiedy pomagała ojcu w pracy na roli. Na koniec dodał jeszcze z tym swoim hiszpańskim akcentem:

– To takie straszne, aż chce się płakać.

Obie z Mimi dopytujemy, jak to było, kiedy się dowiedział, że został mianowany biskupem.

– Zadzwonili do mnie z Rzymu – wyjaśnił nam – więc pomyślałem, że może wpakowałem się kłopoty czy coś w tym rodzaju.

A potem dodał:

– Wierzę, że życie nie kończy się wyłącznie na Kościele. Bóg jest we wszystkim, wszędzie.

Przyznał też:

– Lubię tańczyć – i to bardzo. Staram się wprowadzać tradycyjny kambodżański taniec do Kościoła.

Ojciec Kike jest cudownym kapłanem. Z taką skromnością odpowiada na nasze pytania o jego życie. Wspomina też o człowieku, którego koniecznie powinniśmy poznać.

– Nie mówi po angielsku, ale możecie przecież zobaczyć, co robi. Poznacie jego rodzinę, jego życie. Czuje sercem i to jest właśnie najważniejsze. Wszystko trzeba robić z sercem.

Ojciec Kike nikomu nie narzuca swojej religii. Uważa, że wiara mieszkańców Kambodży jest naprawdę piękna. W 1984 roku zginął jeden z arcybiskupów, toteż po nominacji na biskupa ojciec Kike zwyczajnie się wystraszył. Był pewien, że on również zostanie zamordowany.

Ojciec Kike wspomina też o nauczycielu czytania, który ma amputowane przedramiona poniżej stawów łokciowych. Mężczyzna żegna się, wkłada kredę między kikuty i tak właśnie pisze na tablicy.

Ojciec Kike uśmiecha się, dumny z osiągnięć tego człowieka, i dodaje:

– To zdumiewające. Ludzie tutaj są tacy łagodni. Nie sposób ich nie kochać.

A ja rozumiem już, dlaczego wszyscy tutaj kochają ojca Kike. Wiedzą też, że nie muszą być katolikami, by otrzymać od niego wsparcie.

Dzisiaj nocujemy z Mimi w hotelu. Obie udajemy się do swoich pokoi. Znaki w lobby głoszą: „Zakaz wnoszenia broni i duriana”.

Durian to bardzo cuchnący owoc. Wcześniej wybraliśmy się po niego z Mao, Ravutem i Marie-Noëlle na miejscowy targ, a potem zjedliśmy go, siedząc na małych plastikowych stołeczkach. Mao spróbował owocu i jak większość Kambodżan od razu w nim zasmakował, rozwodząc się nad kremowym mięszkiem. A ja nie przestaję zachodzić w głowę, jakim cudem poznał, że owoc jest już dojrzały.

Kiedy dzisiaj wróciliśmy do hotelu, w korytarzu dało się wyczuć zapach duriana. A jednak ktoś zdołał go przemycić do swojego pokoju. Wybuchnęliśmy z Mimi śmiechem.

ŚRODA, 25 LIPCA, SIÓDMA RANO

W hotelu nie ma telefonów, ale jest zasięg telefonii komórkowej. Wreszcie można skorzystać z komórki.

Wypiliśmy kawę. Dostępne jest wyłącznie skondensowane mleko przypominające słodki syrop, ale chyba zacznym się do niego przyzwyczajać.

Potem pojechaliśmy na lotnisko, skąd o ósmej trzydzięści odlatywał nasz samolot do Phnom Penh.

Najpierw zobaczyliśmy się tam ze Scottem i Joanne z CARE, którzy opracowali program budowy nowych szkół.

Następnie spotkałam się z ministrem edukacji oraz wicepremierem. Obaj wyrazili swoją wdzięczność dla ONZ oraz innych organizacji pozarządowych, od razu podkreślili jednak również, jak ważna jest zgodna współpraca przedstawicieli tych instytucji. Zdaniem wicepremiera należy skoncentrować się na tym, by wszyscy mieli równy dostęp do edukacji – bogaci i biedni, chłopcy i dziewczęta.

Jest jeszcze tyle do zrobienia. Rząd Kambodży będzie potrzebował wiele wsparcia ze strony międzynarodowej społeczności.

Odwiedziliśmy Międzynarodowe Centrum Rehabilitacyjne dla Weteranów (*Veterans International Rehabilitation Centre*) otwarte w 1991 roku.

Luong jest rzeczniczką prasową kampanii na rzecz świata wolnego od min w Amerykańskiej Fundacji Weteranów Wojny w Wietnamie (*Vietnam Veterans of America Foundation*). Czekala już na nas przy wejściu, po czym przedstawiła nas pochodzącemu ze Stanów Larry'emu, który prowadzi ten ośrodek. Od lat mieszka w Kambodży i ma dwoje cudownych adoptowanych tu na miejscu dzieci, córeczkę i młodszego synka, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie.

FAKTY

Departament Stanu USA ocenia, że jedna trzecia wszystkich państw świata jest zaminowana, a w ziemi nadal znajduje się tam od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu milionów min przeciwpiechotnych.

Walczący często umieszczają miny na poboczach dróg, w pobliżu szkół i na polach uprawnych, żeby zabić i okaleczyć jak największą liczbę cywilów.

Celem ośrodka rehabilitacyjnego jest: „ofiarować tym, którzy przetrwają wojnę, szansę na to, by przetrwali też pokój”.

Tego popołudnia w klinice rehabilitacyjnej dołączył do nas również Kent Wiedemann, ambasador USA w Kambodży. To właśnie od niego usłyszałam, że żołnierze wojsk amerykańskich przechodzą obecnie specjalne szkolenia, by móc udzielać pomocy ofiarom traumatycznych przeżyć.

Ośrodek zwiedzają też sześć-, siedmioosobowe grupki lekarzy i pielęgniarek, którzy starają się jak najwięcej dowiedzieć. Porozumiewają się skrótami: PK oznacza „pod kolaniem”, NK – „nad kolaniem”. Ta pierwsza proteza jest łatwiejsza do wykonania.

Larry mówi:

– Mój syn jest PK.

Dopiero wtedy orientuję się, że chociaż chłopiec ma dwie tenisówki, jedna stopa jest wykonana z drewna.

W centrum kliniki mieści się niewielka fabryczka, która zajmuje się wytwarzaniem i dopasowywaniem protez; PK kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów, NK około dwustu.

Pacjenci, którzy stracili ręce, otrzymują specjalne haki i protezy dłoni.

Widziałam tam mężczyzn z niedawno dopasowanymi protezami, którzy ćwiczyli kopanie piłki.

Pokazano mi też trzyletnią dziewczynkę po amputacji nogi, w którą wdało się zakażenie. Dopóki kości biedactwa będą rosły, w regularnych odstępach czasu trzeba jej będzie dopasowywać nowe protezy, żeby nadążyć za jej rozwojem.

Poznałam również dwóch oślepionych w wyniku wybuchu miny mężczyzn, którzy pracują w ośrodku przy produkcji protez kończyn i mocowaniu szprych w kółkach wózków inwalidzkich.

Te są rozdawane osobom niepełnosprawnym za darmo.

Mają tam również dziecięce chodziki dla małych pacjentów po amputacjach.

Światowy Program Żywnościowy (*World Food Programme* – WFP) pomaga poprzez rozdzielanie żywności. Każdego dnia pracownicy WFP niosą pomoc milionom potrzebujących ludzi na całym świecie.

Dlatego wciąż potrzebują dobrych dróg i podjazdów.

Rząd USA wydaje trzy miliony dolarów rocznie na finansowanie organizacji zajmujących się niszczeniem min, takich jak HALO, *Mines Advisory Group* (MAG) czy *Cambodian Mine Action Center* (CMAC). Co roku przeznacza również milion dolarów na organizowanie rehabilitacji ofiar wybuchów takich min.

Kambodża należy do dziesięciu najbiedniejszych krajów na świecie. Ma też najwyższe ze wszystkich państw azjatyckich wskaźniki śmiertelności wśród noworodków z powodu AIDS.

Jestem przekonana, że ambasador USA naprawdę przejmuje się losem tutejszych mieszkańców. Z wielkim zaangażowaniem stara się kontynuować walkę z ubóstwem w tym kraju.

Jeszcze tego samego popołudnia razem z Ravutem, Mao i Mimi odwiedziłam Tuul Sleng, Muzeum Ludobójstwa. W przeszłości mieściła się tam szkoła, dopiero Pol Pot przekształcił jej budynki w więzienie. To dawne „Więzienie Służby Bezpieczeństwa S-21” Czerwonych Khmerów.

Przetrzymywano w nim kilka tysięcy osób.

Niemal od razu po wejściu zobaczyłam zdjęcie Pol Pota wiszące obok fotografii mnichów na tle muru z czaszek.

Było czarno-białe. Wyglądał na nim tak, jakby właśnie wydawał rozkazy, a świadomość tego, jakiego rodzaju musiały to być polecenia, przyprawiła mnie o mdłości.

Minął nas jakiś mnich.

Pokazano mi groby czterestu osób zamordowanych tuż przed ucieczką Czerwonych Khmerów. Różnica zaledwie kilku godzin, a ci ludzie mogliby nadal żyć.

Cele są otwarte, zwiedzający mogą przez nie przechodzić. Niczego tutaj nie zmieniono. W każdej z cel znajduje się zdjęcie osoby, którą poddawano w niej torturom. Fotografia przedstawia pomieszczenie w dokładnie takim stanie, w jakim było, kiedy zjawili się tu żołnierze. W dniu, w którym znaleźli tych wszystkich ludzi. W całym więzieniu jest wiele fotografii i opisów tego, co się tu rozegrało. Sama myśl o tym jest już przerażająca.

Piszę te słowa, ale w głowie mam galopadę myśli. Co ja tu robię? Jak mogę tak po prostu tu sobie stać? Z trudem chwytam oddech. Muszę przerwać pisanie. Nie wierzę w duchy, nie potrafię jednak opisać tych fotografii i cel. Nie wiem, jak oddać to wszystko słowami.

Nagle pośród całego tego horroru dociera do mnie zapach kadzidła. Podobno mnisi właśnie się modlą.

Idziemy dalej. Wiem już, jak wiązano tu ludzi łańcuchami do prycz. Do starych metalowych ram nadal są przymocowane klamry.

– Jak ci ludzie korzystali z toalety? – zapytałam i usłyszałam w odpowiedzi:

– Po prostu robili pod siebie.

Teraz już wiem, co to za uczucie – to po prostu strach. Czuję w tym miejscu wręcz przerażenie.

Wkraczam do kolejnej sali pełnej zdjęć ofiar zrobionych na chwilę przedtem, zanim poddano tych ludzi torturom i zamordowano.

W którymś momencie odezwał się Ravut:

– Nie chcę już tego wszystkiego oglądać. Boję się, że natknę się tu gdzieś na zdjęcie mojego ojca. Nie mam pojęcia, gdzie go zamordowali, ale coś mi mówi, że to musiało być gdzieś tutaj.

Wszystkie twarze na zdjęciach są przerażone i takie zmęczone. Zauważyłam też fotografie robione z profilu.

– Co oni mają przymocowane do głowy? – zapytałam.

– To wiertło – wyjaśnił Ravut. – Powoli wwiercali się nim człowiekowi w głowę, dopóki ten nie umarł.

Mnóstwo tu twarzy młodych i starych ludzi, mnóstwo zdjęć dzieci, wręcz maluchów.

Są również zdjęcia narzędzi tortur i uchwycionych aparatem sposobów, w jaki znęcano się nad ludźmi, pełno też fotografii ofiar tuż po ich zamordowaniu za pomocą tych wszystkich przyrządów. Na każdym zdjęciu wyraźnie widać, w jaki sposób zginął dany człowiek.

Dowiaduję się, że jakieś piętnaście minut drogi stąd znajdują się „Pola śmierci”.

W muzeum stoi też popiersie Pol Pota z jakimś wyrazem zamalowanym czarną farbą. Ravut wyjaśnił mi, że ten czarny X przesłania khmerskie słowo „brawo”. Ewidentnie to jedna z rzeźb wykonanych na zamówienie samego Pol Pota.

Więzienna galeria jest zabezpieczona drutem kolczastym, co miało uniemożliwić zdesperowanym ludziom popełnienie samobójstwa.

Ściany cel są z cegieł i betonu. W ten sposób podzielono murem większe pomieszczenia na prymitywne klatki o wymiarach metr na dwa, teraz pełne kurzu. Ściany wciąż noszą ślady krwi.

Nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo chciałabym się stąd wydostać.

Zaprowadzono mnie do kolejnej sali pełnej zdjęć Pol Pota, jego rodziny i oddziałów. Nie chciałam na nie patrzeć. Szybko stamtąd wyszłam.

Ravut pokazał mi na mapie, gdzie Pol Pot rozpoczął swoje czystki etniczne i dokąd przenośli się z każdym kolejnym rokiem.

Pokazano mi też fotografię tego sławnego, wedle słów Ravuta podobnego do Elvisa Presleya, kambodżańskiego piosenkarza, którego zamordowano na rozkaz Pol Pota.

W jednej z cel znajduje się gablota pełna zdjęć dokumentujących działanie rozmaitych narzędzi tortur. Wszyscy staliśmy przed nią w milczeniu przez naprawdę długi czas.

Widziałam zdjęcia niemowląt wydzieranych matkom z rąk. Zdjęcia mordowanych matek, które wciąż trzymały maleństwa w objęciach. Jedna z fotografii przedstawiała matkę z wiertłem w głowie i dzieckiem wciąż siedzącym jej na kolanach.

Na jednej ze ścian znajdowała się mapa Kambodży wykonana z ludzkich czaszek.

Setki obrazów zagłady.

Na ścianie wisiało też zdjęcie niemowląt podrzucanych do góry, a potem mordowanych przez nabicie na ostrze bagnetu. Widziałam zdjęcia mężczyzn trzymających maleństwa za nóżki i roztrzaskujących ich główki o drzewo.

Muszę się stąd wyrwać, wyjść na zewnątrz. Nie mogę złapać tchu.

ŚRODA WIECZÓR

Obie z Marie-Noëlle wspomnialiśmy Ravutowi i Mao, że chciałybyśmy poznać ich najbliższych. Tyle o nich słyszałyśmy. Na dzisiejszy wieczór zostałyśmy zaproszone na kolację do Ravuta, który ma naprawdę cudowną rodzinę – wspaniałą żonę i dwie córeczki w wieku sześciu i jedenastu lat. Towarzyszy nam Mao oraz jego uroczą żonę i troje dzieci – dwoje

w wieku trzech lat i półtora roku oraz rozkoszny siedmiomiesięczny synek.

Czuję się zaszczycona, że mogłam poznać tych ludzi. Mam nadzieję, że któregoś dnia staniemy się prawdziwymi przyjaciółmi. Chociaż chyba już teraz mogę powiedzieć, że połączyła nas nie sympatii, kiedy tak dzieliliśmy się doświadczeniami i zaśmiewaliśmy z rozmaitych historyjek.

Ravut ma w domu dużo książek: opracowania na temat historii i prawa, słowniki francuskiego i angielskiego itd. Wiele z nich przeczytał podczas pobytu w rozmaitych obozach dla uchodźców.

Ich żony również pracują. Wygląda na to, że każda z obecnych przy stole pań pracuje w jakiejś organizacji pozarządowej albo państwowej instytucji. To naprawdę wyjątkowe kobiety, których wiedza na temat tylu spraw znacznie przekracza moją. Zastanawiam się, ile udało się im osiągnąć, gdyby otrzymały taką edukację i możliwości, jakie miałam ja. Z pewnością nie zmarnowałyby nawet minuty.

Wyjaśniono mi, jak kosztowna jest klimatyzacja, więc wszyscy używamy wachlarzy. Na chwilę zgasło światło, więc trzeba było zapalić świece.

To był naprawdę cudowny wieczór.

Początkowo wszyscy milczeliśmy, ale nie minęło wiele czasu, a już zaśmiewaliśmy się do rozpuku.

Bawiące się razem dzieci były wręcz uszczęśliwione. Dzięki kawałom losowi, że mogłam się tam znaleźć.

CZWARTEK, 26 LIPCA

Ostatniej nocy dręczyły mnie koszmary, niewiele spałam.

Dzisiaj odwiedziliśmy Jezuickie Centrum Pomocy Uchodźcom (*Jesuit Refugee Service – JRS*). Kiedy wysiedliśmy z auta, powitała nas dziewczynka bez nogi, Song Kosal.

Wręczyła mi paczuszkę z drewnianym breloczkiem do kluczy w kształcie gołąbka pokoju.

Straciła nogę w wieku pięciu lat, kiedy razem z matką szukała drewna na opał.

Spotkaliśmy się również z Tunem Channarethem. Ten wiecznie uśmiechnięty mężczyzna jeździ na wózku, natomiast jego przyjaciel, który niemal zawsze mu towarzyszy, porusza się o kuli, ponieważ nie ma jednej nogi. Obaj żartują: „Wystarczy nam jedna noga na dwóch”.

Większość okaleczonych osób współpracuje ze sobą. To naprawdę inspirujące. Księża i zakonnice z JRS robią co w ich mocy – od zawożenia dzieci do szpitala po przygotowywanie moskitier. Analizują również dane, by ocenić postępy prac nad traktatem o zakazie produkcji i stosowania min przeciwpiechotnych.

Na ścianach tego budynku wisi wiele wspaniałych fotografii przedstawiających piękno człowieczeństwa, współczucia i modlitewnej zadumy.

Większość pracujących tu wolontariuszy to osoby świeckie, a jednak wszyscy są życzliwi, serdeczni i skromni.

Pojechaliśmy do Centrum Rehabilitacyjnego Banteay Prieb (*Banteay Prieb Rehabilitation Centre*), jednego z głównych obszarów działania JRS.

Odwiedzamy Centrum Gołąbka Pokoju (*Centre of the Dove*) – miejsce, w którym niepełnosprawni z powodu wybuchów min, działań wojennych czy polio mają okazję do nauki. Kiedyś mieściło się w nim wojskowe centrum łączności.

Działa tu tyle rozmaitych warsztatów. Każdego miesiąca powstaje w nich osiemdziesiąt wózków inwalidzkich. Siedzący na stole mężczyzna bez nóg właśnie wytwarza do nich części. Tu zapotrzebowanie na wózki nigdy się nie kończy. Warsztat wręcz nie nadąza z ich produkcją.

W następnym pomieszczeniu mieści się pracownia krawiecka. Poznałam tam dwie kobiety pracowicie tkające na

wielkich drewnianych krosnach chustki. Dwie inne szyły na maszynach oparcia do wózków inwalidzkich.

W pewnym momencie dołączył do nas hiszpański ksiądz, który zaczął nam opowiadać dowcipy, a potem uraczył nas historyjką o jednym z tutejszych uczniów, który był naprawdę słaby z matematyki i sądził, że przeciętne okno ma sto dwadzieścia pięć metrów szerokości. Teraz ten człowiek jest jednym z najlepszych pracowników tutaj. Często to właśnie on odwozi do szpitala nowe ofiary wybuchów min.

W zajęciach z rzeźby w drewnie bierze udział siedemnaście osób. Robią tyle cudownych rzeczy. Uczą się tu rzemiosła, by w przyszłości mieć zawód, który pozwoli im zarobić na utrzymanie.

Jedna z uczących się tu kobiet rzeźbi akurat drewniany kielich na hostie dla biskupa Kike.

Kilkoro innych uczniów robi figurki Buddy. Posługują się wyłącznie najprostszymi narzędziami, a jednak ich kunszt jest naprawdę zdumiewający. Do wszystkich tutejszych budynków prowadzą specjalne rampy dla niepełnosprawnych.

Odbywają się tu warsztaty z elektroniki i uprawy roli, część podopiecznych uczy się spawalnictwa, żeby móc wytwarzać metalowe ramy łóżek szpitalnych. Są również zajęcia, na których można odebrać regularne wykształcenie – nauczyć się czytania, pisania i podstaw rachunków.

To naprawdę wyjątkowe miejsce. Nie mam pojęcia, co zrobiliby ci wszyscy ludzie, gdyby taki ośrodek nie istniał. Prowadzone tu zajęcia mają na celu przede wszystkim zapewnienie niepełnosprawnym przyszłości. Właśnie dowiedziałam się, że ziemia, na której stoją te budynki, należy do państwa, a centrum może ją użytkować jedynie przez wyznaczony okres. W następnym roku władze równie dobrze mogą zażądać za dzierżawę sporej sumy, co odbije się na pracy ośrodka.

Podczas tej podróży poproszono mnie, bym została Ambasadorką Dobrej Woli UNHCR. Nie potrafię nawet wyrazić, jak szczęśliwa i zaszczycona się czułam. Pracownicy terenowi UNHCR powiedzieli mi wtedy:

– Tak się cieszymy, że jako pierwsi możemy pani pogratulować nominacji na Ambasadorkę Dobrej Woli UNHCR. Proszę pamiętać, że działamy w stu dwudziestu krajach. Już zawsze będzie pani mieć rodzinę, dokądkolwiek się pani nie uda.

Cóż za piękna myśl. Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby tak właśnie wyglądał świat?

Pożegnanie z Kambodżą nie będzie łatwe. Poznałam tu tylu dobrych, serdecznych, pracowitych ludzi. Będę za nimi tęsknić.

Lecę do Bangkoku, gdzie przenocuję w lotniskowym hotelu. A wczesnym rankiem wracam do Los Angeles.

PIĄTEK, 27 LIPCA

Obudziłam się zrana z potem, roztrzęsiona z powodu nawracającego koszmaru – tego samego, który nawiedzał mnie w Phnom Penh. Teraz już wiem, o co w nim chodzi: przeżywałam w nim na nowo wszystko to, co widziałam w Muzeum Ludobójstwa. Byłam taka przerażona i nieswoja, że wręcz nie mogłam złapać tchu, zupełnie jak podczas zwiedzania więziennych cel. Marie-Noëlle powiedziała mi, że czuła się w tamtym miejscu dokładnie tak samo. Wciąż prześladowuje nas obie jedno spędzone tam popołudnie.

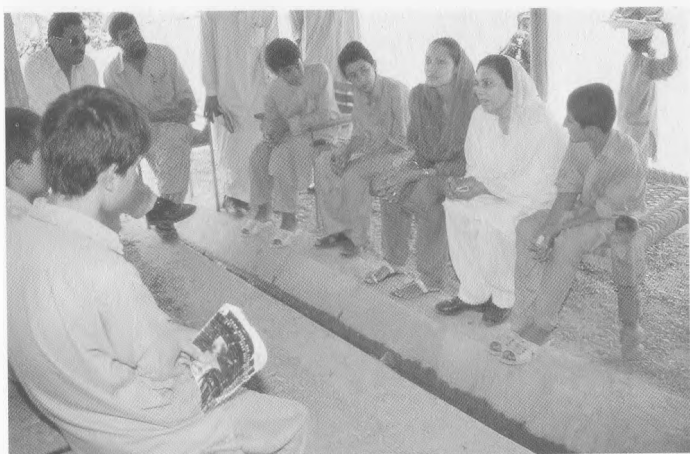
Tyle Kambodżan powyżej pewnego wieku też będzie to wszystko pamiętać. Nie mam pojęcia, jak potrafią z tym żyć. A jednak żyją, pełni siły woli i hartu ducha. Stanowią wzór do naśladowania dla nas wszystkich.

Ostatnie zdjęcie z wkładki zostało zrobione dwa lata po mojej wyprawie do Kambodży. W moim życiu zaszyły zmiany, w których niemałą rolę odegrał ten właśnie kraj. Na fotografii widać nasz powrót, mój i mojego synka, Maddoxa, do Kambodży. Mieszkamy teraz w Samlot. Założyłam wraz z Sarathem z CVD schronisko dla zwierząt. Ludzie okaleczeni przez miny, których dzięki niemu poznałam, stali się moimi przyjaciółmi i sąsiadami. Nasze dzieci bawią się razem. Pracujemy również wspólnie przy rozmaitych projektach dotyczących budowy domów dla repatriantów i uprawy roli.

Rok temu Moon i jego żona, którzy pobrali się w tajlandzkim obozie dla uchodźców, postanowili złożyć ponownie przysięgę małżeńską. Oboje stracili rodziców podczas wojny, więc Moon poprosił mnie, żebym zastąpiła jego matkę podczas ceremonii ślubnej. Poczułam się ogromnie zaszczyconą tą prośbą i taka dumna, że mogłam się tam znaleźć. To był cudowny dzień. Zgodnie z tradycją śluby w Kambodży są głośne i długie. Nawet w najbiedniejszych wioskach to nadal wyjątkowo skomplikowane ceremonie.

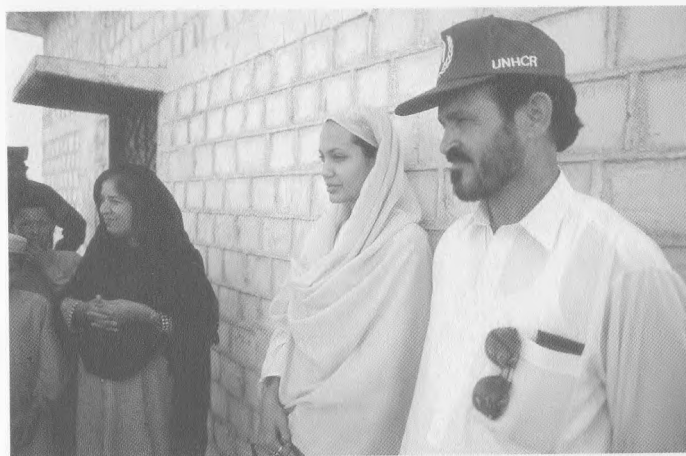
Jednym z ich elementów jest związanie rąk państwa młodych sznurem. Moon, który stracił w wybuchu miny obie ręce w stawach łokciowych oraz wzrok, miał podczas ceremonii ciemne plastikowe okulary. Kiedy oboje z żoną próbowali związać liną jego przedramię i jej nadgarstek, wszyscy się uśmiechali, a dzieci wręcz chichotały.

Ci ludzie potrafią wznieść się ponad smutek i zamiast użalać się nad sobą, akceptują życie takim, jakie jest, wdzięczni za to, co mają. Rozpiera mnie dumą, że mogę ich nazwać swoimi przyjaciółmi. Tak się cieszę, że mogę wychowywać mojego synka na człowieka dumnego ze swojego narodu, dumnego, że jest Kambodżaninem.



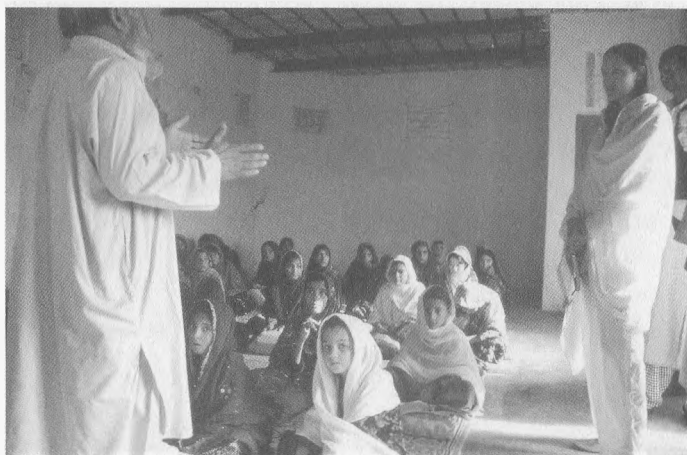
UNHCR / S HOPPER

Rozmowa z uczestnikami *child-to child teaching program*, Nasir Bagh, obóz dla afgańskich uchodźców w Pakistanie



UNHCR / S HOPPER

W obozie Zar Karaz II, Loralai, Pakistan



UNHCR / S. HOPPER

Szkola dla dzieci uchodźców afgańskich, Loralai



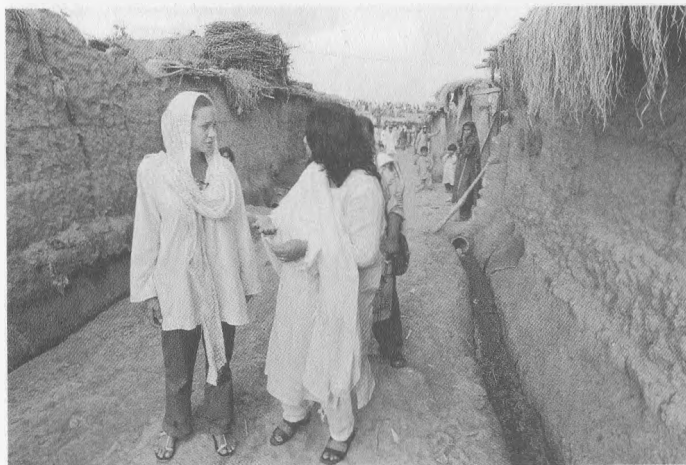
UNHCR / S. HOPPER

Wizyta w wiosce uchodźców, okolice Quetta, Pakistan



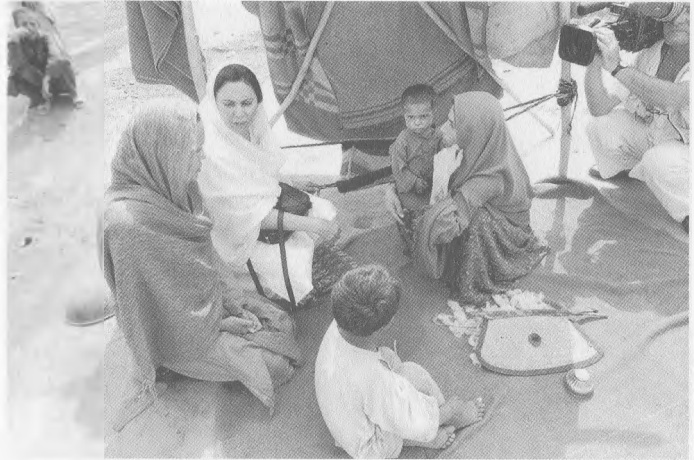
UNHCR / S. HOPPER

Saranan, wioska uchodźców w Pakistanie



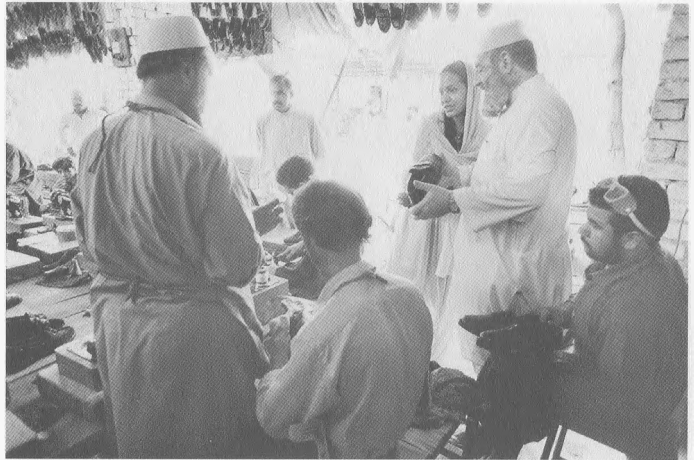
UNHCR / S. HOPPER

Wraz z personelem UNHCR, Peszawar, Pakistan



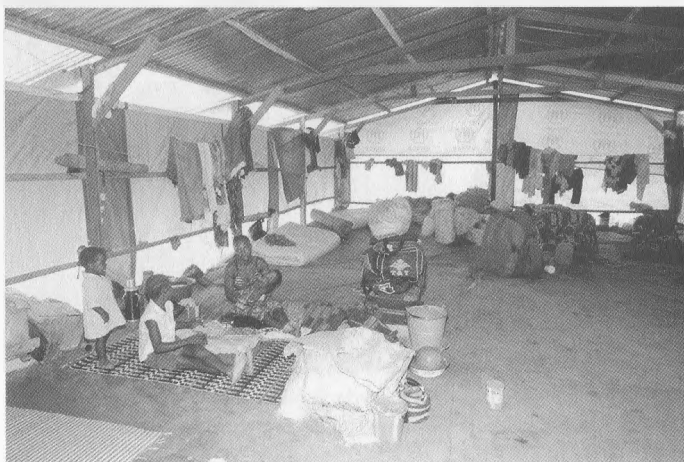
UNHCR/S. HOPPER

Z nowo przybyłymi uchodźcami afgańskimi, Jalotai, Pakistan. W sierpniu 2001 r. ich liczba przekroczyła dwa miliony



UNHCR/S. HOPPER

Rozmowa z uchodźcami i personelem UNHCR w Jamaluddin Vocational Centre, Peszawar, Pakistan



UNHCR / L. TAYLOR



UNHCR / L. TAYLOR

Obrazy z obozu uchodźców, Sierra Leone



UNHCR / J. TAYLOR

Zajęcia z rękodzieła w obozie dla uchodźców. Te młode kobiety to tylko niektóre z tysięcy, które padły ofiarą prześladowań i przemocy podczas konfliktu w Sierra Leone



HOLLY GOLINE

Powrót z Kambodży, kwiecień 2003 r.

MISJA W PAKISTANIE

Od 17 do 26 sierpnia 2001 roku wizytowałam z ramienia UNHCR obozy dla afgańskich uchodźców w Pakistanie.

PIĄTEK, 17 SIERPNI

Jutro wylatuję do Pakistanu. Celowo czekałam aż do tego momentu z ewentualną lekturą opracowań na temat sytuacji w tym kraju oraz wydarzeń w sąsiednim Afganistanie, z którego ludzie uciekają, by ratować życie.

Wstyd mi, że tak łatwo potrafię zapomnieć o problemach tego świata, kiedy sama siedzę bezpiecznie w domowym zaciszu.

Zwracam uwagę na artykuły w gazetach, ale zwykle dotyczą one nagłych sytuacji kryzysowych. Nie opisują historii sięgających tyle lat wstecz. Może dziennikarzom wydają się one przegraną sprawą albo, co gorsza, nie dość palącą. Nie zasługują na publikację. Dawne sprawy stają się faktami codziennego życia, akceptowalnymi sytuacjami. Ludzie w tych krajach po prostu będą dalej żyć i umierać z powodu tych strasznych warunków. Czytam o prawie dwóch milionach uchodźców w Pakistanie mieszkających gdzieś wzdłuż granicy i pozbawionych praktycznie wszystkiego.

Czytam o niemieckiej organizacji humanitarnej, której dwadzieścioro czworo pracowników zostało aresztowanych przez talibów. Ich biuro zostało zamknięte. Pojechali tam, by pomagać uchodźcom, a oskarżono ich o propagowanie chrześcijaństwa.

Los tych dwadzieściora czworga pracowników, z których ośmioro jest cudzoziemcami, nadal pozostaje niezmany. Mam nadzieję, że kiedy ktoś będzie czytał te słowa, nie okaże się, że zostali zamordowani.

To pierwsza podróż, w którą zabieram kamerę video. Chociaż mam co do tego ogromne wątpliwości, wiem, że nie jestem w stanie ująć w słowa wszystkiego, co widziałam podczas tych misji. Nie potrafię opisać, jak to jest siedzieć razem z okaleczonymi mężczyznami, opuszczonymi kobie-

tami i dziećmi, głodnymi i rozpaczliwie próbującymi jakoś przetrwać, ocalić resztki godności i nadziei. Historie tych ludzi wyciskają z oczu łzy, a jednocześnie dają siłę.

Ci ludzie znają życie od strony, która dla większości z nas, dzięki Bogu, na zawsze pozostanie zagadką, a poza tym skupiają się na rzeczach, o których my zdążyliśmy już zapomnieć. Wiedzą, za co powinni być wdzięczni. Doceniają wartość rodziny i wspólnoty. Znają potęgę nadziei i miłości.

Właśnie zabrałam się za kolejną lekturę. Nie mam pojęcia, co napisać, sama nie potrafię skonkretyzować swoich odczuć. Wiem jedno – nie mogę uwierzyć w to, co czytam. Nie pojmuję, jak coś podobnego może się dziać w naszych czasach.

SOBOTA, 18 SIERPANIA

O dwudziestej czterdzieści wyruszam w dziesięciogodzinną podróż do Londynu. Tam będę miała dwie godziny przerwy, a potem czeka mnie jeszcze ośmioipółgodzinny lot do Islamabadu.

PONIEDZIAŁEK, 20 SIERPANIA

Kiedy zaczęliśmy schodzić do lądowania, z głośników rozległo się:

– Proszę zażyć tabletki przeciwko malarii. Fotografowanie terytorium Pakistanu z powietrza jest niedozwolone. Obowiązuje całkowity zakaz wwozu alkoholu.

Wylądowałam w Islamabadzie o czwartej trzydzieści dwie.

Przy wyjściu poznałam Yusufa Hassana z UNHCR. Yusuf pochodzi z Kenii.

Dowiaduję się, że mężczyźni nie podają tu ręki kobietom, lepiej nie nawiązywać też z nimi kontaktu wzrokowego. Poza tym powinnam okrywać głowę chustą. Mamy się wybrać na

zakupy po odpowiedni strój dla mnie, cały czas będzie nam też towarzyszył uzbrojony funkcjonariusz po cywilnemu.

Słucham tego wszystkiego i nie mogę przestać się zastanawiać, co ja tu właściwie robię.

Chociaż znam przecież odpowiedź. Jestem tu:

- by lepiej rozumieć, co się tu dzieje,
- i by potem zwiększać świadomość ludzi na całym świecie.

Dowiaduję się, że UNHCR w Afganistanie nie może zatrudniać kobiet, a mężczyźni mają z nimi jedynie ograniczony kontakt, więc udzielanie pomocy jest naprawdę trudne. Chodzę zasłonięta i pilnowana, uprzejmie obsługiwana, ale jednak zawsze w towarzystwie. Już czuję się odrobinę nie-swojo, niczym pilnie strzeżona księżniczka pod ochroną. Jestem przyzwyczajona do niezależności i swobody.

BIURO UNHCR W ISLAMABADZIE

Wszyscy pracownicy UNHCR są niezwykle uprzejmi i życzliwi. Samo biuro mieści się w dawnym magazynie, pełno w nim segregatorów z dokumentami uchodźców.

W tym momencie w Pakistanie mieszkają ponad dwa miliony uchodźców z Afganistanu. Ciągle słyszę, że w najbliższej przyszłości „nie ma widoków na pokój”.

Wielu z uchodźców przebywa tutaj od dwudziestu dwóch lat, czyli od inwazji Związku Radzieckiego na Afganistan w 1979 roku. Za budynkiem ciągnie się ogrodzenie z drutu kolczastego. Mało kto jest wpuszczany do środka. Widzę kolejkę czekających w milczeniu kobiet. Mężczyźni coś wykrzykują. Podchwytuję spojrzenie jednego z nich. Wygląda na wściekłego. Dowiaduję się, że zdarzają się takie momenty, kiedy rozgniewani, sfrustrowani uchodźcy siłą wdzierają się do budynku.

Pracownicy UNHCR są w stanie przeprowadzić jedynie około dwudziestu wywiadów dziennie. To niewiele, kiedy się pomyśli, że w tym kraju przebywa około dwóch milionów trzystu tysięcy uchodźców, ale udzielenie pomocy nawet dwudziestu rodzinom dziennie to i tak wielkie osiągnięcie.

Rejestracja to pierwszy krok do tego, by ktoś wysłuchał twojej historii, i szansa na lepsze życie.

DZIESIĄTA RANO

Jedziemy na targ, żebym mogła uzupełnić swoją garderobę i dobrać strój, w którym mam chodzić już do końca swojego pobytu. Jedną z rzeczy, jakimi zajmują się tu czy w ogóle na całym świecie dzieci uchodźców, jest zbieranie śmieci w poszukiwaniu przedmiotów nadających się jeszcze do użytku.

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Mniej więcej sześćoletni chłopiec puka w okno od mojej strony, pokazuje kikut ramienia. Uprzedzano mnie jednak, żebym nie dawała pieniędzy żebrakom. Jeśli to możliwe, lepiej dać im coś do jedzenia. Wiele z tych dzieci jest wysyłanych na żebrzy przez rodziców.

Około połowa mieszkańców Pakistanu codziennie kładzie się spać głodna.

Ale ten chłopiec patrzy mi w oczy. Jest jeszcze taki mały. Podaję mu przez okno skromną jałmużnę. Na następnym skrzyżowaniu do auta podchodzi starszy mężczyzna o kulach.

Na ulicach jest tak gorąco i tłoczno. Nie mam pojęcia, jak ludzie są tu w stanie pracować przez cały dzień, a wszyscy, których widzę, wydają się naprawdę zapracowani. W tym upale trudno sobie nawet wyobrazić, że można żyć bez wody, a jednak z powodu suszy, która od czterech lat trapi ten i sąsiednie rejony, wielu ludzi ma do niej bardzo ograniczony dostęp.

Kultura pakistańska jest niezwykle dekoracyjna. Autobusy są wymalowane w skomplikowane, kolorowe wzory, w charakterze ozdób przymocowano do nich obrazy i metalowe rzeźby. Ubrania ludzi są tu znacznie barwniejsze, niż sobie wyobrażałam, chociaż nadal pozostają skromne i zakrywają większość ciała.

Najpierw zatrzymujemy się przy sklepie obuwniczym.

Buty są ręcznie robione, ale nadal nie mam pewności, czy w ogóle istnieje tu podział na prawy i lewy. Niektóre wyglądają zupełnie tak, jakby należały do Aladyna, ze srebrnymi i złotymi zadartymi noskami.

Po powrocie biorę prysznic i postanawiam uciąć sobie drzemkę, jednak nie mogę zasnąć. Próbuję dodzwonić się do domu. Nikt nie odbiera.

Dowiedziałam się, że żadne państwo na świecie nie chce udzielić Afganistanowi pomocy z powodu talibów, zresztą trudno jest dostarczyć niewinnym, rozpaczliwie potrzebującym wsparcia ludziom materialne dobra tak, by nie trafiły one w ręce przedstawicieli tego ugrupowania. Uchodźcom potrzeba przede wszystkim jedzenia i wody, paląca jest jednak również kwestia min przeciwpiechotnych, które należy unieszkodliwić. Tak wielu niewinnych ludzi cierpi z ich powodu.

Spotkałam się z Abbasem Sarfrazem Khanem, ministrem odpowiedzialnym za sprawy uchodźców.

Nie miałam pojęcia, gdzie mam usiąść, czy powinnam zakryć głowę, czy też nie? Dowiedziałam się jednak, że minister dobrze zna zachodnie obyczaje, ponieważ studiował w Bostonie i mieszkał w Londynie. Minister zaoferował mi napoje, a kiedy odmówiłam, Monserrat, pracownik UNHCR, szepnął mi do ucha:

– Proszę coś zamówić – może zieloną herbatę.

Minister mówił o:

- całych pokoleniach ludzi pozbawionych dostępu do edukacji,

- braku świadomości co do ich tragicznego położenia na Zachodzie,
- znużeniu darczyńców.

Kiedy się już żegnałam, minister podał mi dłoń. Przyjęłam to z ulgą, bo nie wiedziałam, czy taki kontakt fizyczny jest dopuszczalny.

Mam wrażenie, że podobnie jak większość Amerykanów nie przywykłam dostrzegać tego, co znajduje się poza granicami mojej własnej ojczyzny – nie nauczono mnie doceniać i poznawać innych kultur. Stany Zjednoczone nie są w tym zresztą odosobnione – wiele państw pomija w procesie edukacji kwestię wielokulturowości.

DWUNASTA TRZYDZIEŚCI

Jedziemy do schroniska dla pakistańskich i afgańskich kobiet, gdzie mogą one również uzyskać porady w sprawach przemocy domowej.

Namioty to tak naprawdę kawałki płótna rozpostarte na kilku patykach – w takich tymczasowych obozowiskach mieszkają wszyscy biedacy, nie tylko uchodźcy. Po dotarciu do schroniska zaprowadzono mnie do pomieszczenia pełnego kobiet – wszystkie siedziały boso, z zakrytymi głowami.

Odwiedzamy Sach, grupę wsparcia dla kobiet, której celem jest walka o przeprowadzenie zmian. „Sach” to w języku urdu „prawda”. Jak dotąd szkolenie odbyło tam sto kobiet. Wszystkie handlują teraz na skromną skalę na niedzielnych targach.

Zapytałam je, czy chciałyby wrócić do Afganistanu.

Jedna z nich odparła:

– Pragniemy żyć w miejscu, w którym będziemy bezpieczne i wolne. Więc proszę zgadnąć.

Inna dodała, pokazując mi zdjęcie:

– To mój syn, talibowie go zabili.

Przed grupę wysuwa się teraz kobieta o drżącym głosie i załzawionych oczach. Nie wymienię tu jej imienia, tak jak obiecałam, ponieważ ta biedna Afganka obawia się o swoje bezpieczeństwo. Jej brat został skatowany przez talibów i od tamtej pory jest niepełnosprawny, więc nie może już pracować na utrzymanie rodziny.

Jeszcze inna kobieta pokazuje mi jakiś dokument. Dowiaduję się, że to rachunek za cztery sztuki broni. To forma podatku, który musi zapłacić, by wesprzeć działania wojenne. Kobieta sprzedała wszystko, co miała, żeby oddać pieniądze talibom, ale i tak nie było tego dość na cztery karabiny.

Inna kobieta, lekarka, powiedziała mi, że pewnej nocy w jej domu zjawili się talibowie. Ona sama schroniła się u sąsiadów, ale jej ojca aresztowano i wtrącono do więzienia. Została sama. Nie wie, czy ojciec żyje. Nawróciła się również na chrześcijaństwo, co stanowi kolejny powód, by bać się talibów. Gdyby się o tym dowiedzieli, zostałaby skazana na śmierć. Wciąż jej szukają, więc ciągle zmienia miejsce pobytu. Chociaż mieszka w Pakistanie, nadal grozi jej niebezpieczeństwo. Jeden z pracowników UNHCR pyta, dlaczego nie przyszła do ich biura. Bardzo zależy im na tym, żeby się z nimi skontaktowała.

Do sali wchodzi teraz mężczyzna. On też chce nam opowiedzieć swoją historię. Przyprowadził żonę i dzieci do ośrodka, ponieważ wszyscy są niedożywieni. Mężczyzna mówił o tym roztrzęsionym głosem. Miał takie piękne oczy. Niestety zażółcone. Został pobity przez talibów, przez co doznał częściowego paraliżu nóg i poważnego uszkodzenia nerek.

UCHODŹCY MIEJSCY

Jedziemy do slumsów położonych nieopodal dworca autobusowego i targu z owocami. Biedacy osiedlają się w tym

rejonie, bo tu najłatwiej o wyrzuconą i w większości zepsutą żywność.

To bardzo smutne miejsce, w którym szerzy się dziecięca prostytutka. Powiedziano mi, że dzieci sprzedają tu swoje ciała za równowartość pięciu centów.

Sach stara się pomagać dzieciom. Niektóre mają nie więcej niż sześć lat, a już są wykorzystywane seksualnie i padają ofiarami innych form przemocy.

W ośrodku prowadzone są również programy dotyczące poszanowania praw dzieci.

Jakaś kobieta opowiada mi, że niektóre matki mają od sześciorga do dwanaściora dzieci trudniących się prostytutką. Ci wszyscy rodzice są tacy zdesperowani. Ich dzieci nie mają wykształcenia, dzieciństwa, opieki.

Przeszłam się między lichymi lepiankami.

Widziałam mniej więcej czteroletnią dziewczynkę niosącą na głowie ogromną stertę drewna. Inne dziewczynki noszą na biodrze swoich małych braci i swoje siostry. Część z nich ma widoczne objawy chorób skórnych. Mijam pogrążoną w ciemnościach salę lekcyjną. W tej zbudowanej z ziemi wiosce nie ma prądu.

Nikomu nie wolno tu nawet wspominać o AIDS. To zakazany temat. Różne organizacje próbują jednak propagować wiedzę na temat tej choroby i prowadzić edukację seksualną.

OŚRODEK REHABILITACYJNY I SZKOLENIOWY SACH (*SACH REHABILITATION AND TRAINING CENTER*)

Tutaj trafiają kobiety, które mają zostać przesiedlone. Ktoś tłumaczy mi, że te akurat mają szczęście. Zostały wybrane, ponieważ doświadczyły ciężkich form przemocy seksualnej i są niezamężne.

Tu otrzymują całodobową opiekę lekarską. Ośrodka strzeże firma Brinks Security.

Kobiety prowadzące ten program mają w sobie wiele siły. Kiedy zaproponowały wybudowanie szkoły, zostały obrzucone kamieniami. Pomieszczenia są naprawdę małe, w jednym łóżku często śpi matka z dwojgiem lub trojgiem maleńkich dzieci. Poznałam tam kobietę przechodzącą leczenie psychiatryczne po tym, jak została zgwałcona i zmasakrowana przez talibów. Niewiele z tego pamięta. Ma troje dzieci.

Na ścianie wisi plakat dotyczący zaginionych kobiet i dzieci, które dostały się w ręce handlarzy ludźmi.

W południowej Azji
(Indie–Pakistan–Filipiny)
zagięły już 74 miliony kobiet.

Inny plakat, przygotowany przez siostrzaną kambodżańską organizację, głosi:

Miejsce kobiet nie jest w klatkach.

Osiemdziesiąt procent przebywających w więzieniach kobiet trafiło tam za wykroczenia popełniane z biedy. Dziewięćdziesiąt procent miejscowych i osiemdziesiąt dwa procent wszystkich kobiet w więzieniach padło ofiarami kazi-rodztwa, gwałtu czy innych form fizycznej napaści.

Na tablicy widnieje napis:

Jeśli każdy z nas zrobi choć trochę, zdołamy
osiągnąć naprawdę wiele.

Kilka z tych rodzin zostanie przesiedlonych do USA, ale trzeba nieco ostudzić ich oczekiwania, zanim podejmą próbę rozpoczęcia tam nowego życia. Patrzę na buzie dzieci. Czy zostaną życzliwie przyjęte w mojej ojczyźnie? A może spotkają się z szykanami i wyzwiskami? Czy gdyby ktoś z nas zobaczył je za miesiąc gdzieś na ulicy, domyśliłby się, co te maluchy przeżyły?

DZIEWIĘTNASTA

Zjedliśmy kolację w domu Monserrata. Przy stole zasiadło kilkanaścioro pracowników UNHCR, amerykańskiej ambasady i pakistańskiego ministerstwa oraz dziennikarka z BBC. Podobne spotkania nie przestają mnie zdumiewać. Są takie inspirujące. Przez cały wieczór wszyscy rozmawiają jedynie o ogólnoświatowych problemach i pomocy humanitarnej. Dzielą się informacjami, dyskutują o rozwiązaniach i snują plany współpracy. Ludzie ci pochodzą z różnych stron świata, ale jednoczy ich pragnienie niesienia pomocy potrzebującym, chęć zakończenia cierpień bliźnich. Zdarzały się nam chwile powagi i momenty radości. Czasami kiedy wszyscy rozmawiają o polityce, ogarnia mnie przerażenie, tym razem było jednak inaczej. Tego wieczora dowiedziałam się więc, że spostrzeżenia i odczucia jednostki próbującej to wszystko zrozumieć są czasem równie ważne. Uświadomiłam też sobie, że dowiedziałam się już znacznie więcej, niż sądziłam. Ale żeby pojąć to wszystko – tego nikt nie jest chyba w stanie dokonać.

- Nie wszyscy ludzie są traktowani równo.
- Wielu z nich kładzie się spać o głodzie.
- Miliony ludzi doświadczają prześladowań i wojen, a ich prawa są łamane – nikt nie jest w stanie tego ogarnąć, bo to zwyczajnie nie ma sensu.

WTOREK, 21 SIERPNIĄ, SZÓSTA
W DRODZE DO OBOZU W JALOZAI

Uprzedzono mnie, że mogę się tam natknąć na amerykańską delegację. Zapytałam, jaki jest cel ich wizyty, i usłyszałam, że ustalenie, jakie działania należy podjąć, a jakie można kontynuować:

Dowiedziałam się również, że zapewne chodzi o podjęcie decyzji, czy należy zezwolić na przesiedlenie jeszcze większej liczby uchodźców do USA. Obecnie pozwolenie na zamieszkanie w Stanach otrzymuje tysiąc osób rocznie. Można by podwoić tę liczbę – przynajmniej są na to widoki. Wiem, że pewnie wielu moich rodaków uważa liczbę tysiąca osób za zbyt wysoką – nawet jeśli to tak naprawdę nic w porównaniu z milionami cierpiących.

W takim razie jak wygląda jednak odpowiedź?

Gdzie jest miejsce tych ludzi?

Odpowiedź może być tylko jedna – w ich ojczyźnie, byle tylko zapanował tam pokój. Czasem wydaje się to wręcz nie-realne. Miliony uchodźców mieszkają w Pakistanie oraz Iranie już od dwudziestu lat, a to naprawdę bardzo biedne kraje.

Ponoć potrzeba dwóch rzeczy, by można było pomóc większej liczbie osób:

- liczba uchodźców wpuszczanych do państw przyjmujących powinna zostać zwiększona;
- personel organizacji humanitarnych potrzebuje większych funduszy, wsparcia i kadr, by obsłużyć tę zdwojoną liczbę.

Przez okno widzę meczety, czyli muzułmańskie świątynie, wznoszące się pośród gruzów, prowizorycznych namiotów i lepianek.

Bawoły i krowy, które dostrzegam na poboczach drogi, są wręcz tłuste w porównaniu z tymi, które widywałam w innych krajach.

Ulicami jeżdżą pomalowane autobusy. Stroje kobiet i mężczyzn wyglądają inaczej, niż się spodziewałam. Mają w sobie pewną elegancję. Niektóre są bardzo kolorowe, ozdobione niewielkimi lusterkami i haftami, niektóre przypominają jednak mundury.

Drogi są wyjątkowo gładkie. Dowiaduję się również, że w ogóle mają tu świetną infrastrukturę. Mijamy ciągnięte przez konie wozy. Zwierzęta są niewielkie i wychudzone. Zaczynam się zastanawiać, czy taki widok przeraziłby bojowników o prawa zwierząt, czy może tylko ich zasmucił. To dziwne pomyśleć, że niektórych bardziej przejmuje los zwierząt niż bieda sąsiadów.

Piszę te słowa w samochodzie, w którym siedzę sama. Reszta jedzie w drugiej ciężarówce UNHCR. Zatrzymała nas policja – funkcjonariusze twierdzą, że jechaliśmy za szybko, ale nigdzie nie ma tu znaków ograniczenia prędkości, a mijające nas auta pędzą znacznie szybciej.

Tutaj policjanci nie zatrzymują się radiowozem za zatrzymywany autem, ale stoją na poboczu i tak po prostu wyciągają znak stop. Wolałam przerwać pisanie na czas, kiedy policjanci rozmawiali na zewnątrz z kierowcami. Reszta funkcjonariuszy obserwowała nas uważnie. Nie mam pojęcia, czego tak naprawdę mogli chcieć. Próbowali nas przestraszyć? Wyciągnąć od nas pieniądze? Dyskusja była naprawdę ożywiona, jednak najwyraźniej pertraktacje zakończyły się fiaskiem. W końcu dwadzieścia minut później ruszyliśmy jednak znowu w drogę. Kiedy zbliżamy się do obozu dla uchodźców w Shamshatoo, widzimy coraz więcej całkowicie zakrytych kobiet, zza zasłon widać jedynie ich oczy.

Zatrzymujemy się na niewielkim targowisku w „małym Kabulu” (to taki skrawek Afganistanu tutaj). Przedsiębiorczy ludzie handlują na nim już od dwudziestu lat.

Jest coś magicznego w tych ludziach. Czuję się tak, jakbym cofnęła się w czasie. Całkiem jak w biblijnych czasach, tyle że z zakurzonymi stosami szklanych butelek i ciężarówkami o współczesnych kołach i klaksonach.

ODPRAWA W OBOZIE W JALOZAI

Obóz został założony i sfinansowany przez UNHCR.

Lekarze bez granic zapewniają opiekę medyczną, podobnie zresztą jak Katolicka Służba Niesienia Pomocy (*Catholic Relief Services* – CRS), organizacja pozarządowa, która zajmuje się również budową toalet (ponad tysiąc najprostszych latryn). Poza tym rozprowadza wśród uchodźców koce, kołdry i materace.

Afgańczycy uciekają z ojczyzny z dwóch powodów:

- w północnych regionach kraju nadal toczy się wojna pomiędzy talibami a wojskami Sojuszu Północnego;
- od czterech lat w regionie panuje susza.

Wjeżdżamy w głąb obozu, gdzie w końcu będziemy mogli wysiąść i – mam nadzieję – porozmawiać z ludźmi.

Mijamy kilku małych chłopców, którzy uśmiechają się i machają do nas. Wszyscy rozpoznają emblematy agencji ONZ, obecnych tutaj od ponad dwudziestu lat.

Wiele kobiet jest całkowicie zasłoniętych. One cię widzą, ale ty ich nie. Nawet małe dziewczynki chodzą zakryte, zza kwefów błyszczą tylko ich oczy. Przez to od razu zwracają na siebie uwagę. Większość nie kryje zaciekawienia, chociaż na ogół tylko się nam przyglądają. Czuję się onieśmielona w towarzystwie tych ludzi – nawet małych dzieci. To nieugięci ludzie o silnej wierze i niezłomnej woli przetrwania.

Mijamy niewielkie lepianki, które wyglądają, jakby zostały wzniesione dziesięć do piętnastu lat temu.

Nagle trafiamy na morze namiotów wykonanych z płótna, brezentu i folii.

Na myśl przychodzą mi Cyganie.

Jest strasznie gorąco, wszędzie pełno kurzu. Nie ma się gdzie schronić przed słońcem, wodę dostarcza się tu cysternami. Światowa Organizacja Zdrowia (*World Health Organization* – WHO) również stara się pomóc. 18 lipca wiele osób zmarło tu z powodu gorąca (ponad pięćdziesiąt stopni Celsjusza) i odwodnienia.

Mały chłopiec w kolejce miał fioletowe plamy i strupy na twarzy. To dzień szczepień przeciwko polio. W namiotach czeka mnóstwo dzieci. Wzdłuż ściany wielkiego namiotu stoją stare wojskowe prycze wręcz pokryte muchami. Poradnie lekarskie w tym regionie nie mają wiele do dyspozycji, nie są też w stanie zająć się naprawdę poważnymi przypadkami. Jednak ta przychodnia jest przynajmniej otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Stan wody bardzo się poprawił, notujemy mniej przypadków biegunki i dyzenterii. Prowadzimy również badania przesiewowe na gruźlicę. Ale nawet jeśli sytuacja wydaje się opanowana, ciągle notujemy nowe zachorowania – mówi jeden z pracowników przychodni.

Pojawiły się przypadki choroby wywołującej deformacje, leiszmaniozy, sprowadzono więc odpowiednie lekarstwa z Genewy.

Ośrodek działa w obozie od dziewięciu miesięcy, ale dopiero w zeszłym udało im się zdobyć generator.

Zaczęto również propagować rozmaite formy antykoncepcji (planowania rodziny). W rejonach miejskich jest to praktycznie nie do pomyślenia, więc tym bardziej zdumiewa fakt, że da się prowadzić taką akcję wśród mieszkańców obozu.

Widziałam tam dziecko, które wedle słów matki miało cztery lata, a wyglądało niczym noworodek. Patrząc na nie i wi-

dzę, że to chłopiec, rysy jego twarzy nie są rysami niemowlęcia. Jest taki mały z powodu niedożywienia. Pracownicy kliniki włączyli go do jednego z prowadzonych przez siebie programów. Rozglądam się wokół i widzę mnóstwo dzieci, które potrzebują takiego monitorowania stanu zdrowia.

Godzinę później siedzę z powrotem w samochodzie. Ci sami ludzie, którzy otaczali nas, kiedy spacerowaliśmy po obozie, teraz przypatrują się naszemu odjazdowi. Tak wiele wśród nich chorych dzieci. Kiedy ruszamy, widzę małego, około pięcioletniego chłopca z ropniami na buzi – cztery z nich są wielkości piłeczek golfowych. Lekarz, który miał jechać z nami do następnego obozu, postanawia zostać, żeby od razu go operować.

Rząd pakistański nie pozwala wznosić żadnych trwałych budowli w tym regionie. Twierdzi, że obywatele Pakistanu mają już dość podobnych obciążeń opieką nad przybyszami. Odwiedzam szkołę. Dzieci wykrzykują alfabet. Sami chłopcy. Dziewczynki siedzą oddzielnie i wykrzykują liczby.

Wiele z dzieci kaszle, część ma potówki. Poznałam tam pewną małą dziewczynkę w starej, podartej różowej sukience. Porozmawiałam z nią chwilę za pośrednictwem tłumacza. Dziewczynka przemawiała z mądrością czterdziestoletniej kobiety:

– Zbombardowali mój dom. Zaatakowali armatami i bombami. Odcięli mojemu wujowi nogi i zamordowali dwóch moich kuzynów.

Domyślałam się, że mówi o talibach, jednak nie dopytuję. Zamiast tego pytam ją, czego by chciała. Czego potrzebuje.

– Chcę pokoju. Chcę wrócić do Afganistanu, do domu.

Pytam ją, od jak dawna tu jest.

– Od dziewięciu miesięcy mieszkam pod dachem z folii.

Zaprowadzono mnie również do centrum przesiewowego, żebym mogła się przyjrzeć procesowi rejestracji. Po dro-

dze widziałam wiele leżących na ziemi dzieci, które szukały cienia. Cały teren był strzeżony przez mężczyzn w beretach, z wielkimi karabinami. Ostatecznie znajdujemy się przy granicy afgańsko-pakistańskiej. Poznałam też bardzo miłą Irlandkę, prawniczkę pomagającą uchodźcom z ramienia UNHCR.

Akurat podczas mojej wizyty do biura przyszła kobieta, która zgubiła swój identyfikator. Nie miała żadnej rodziny, a jej jedyny dokument tożsamości stanowiła teraz kartka żywnościowa. Powiedziano mi, że pracownicy UNHCR próbują ustalić wszelkie niezbędne informacje w inny sposób, by wydać jej nowy dokument. Rejestracja uchodźców trwa już od trzech tygodni. To naprawdę świetnie zorganizowany program. Udało się już sprawdzić siedem tysięcy rodzin, co ogólnie daje liczbę około czterdziestu dwóch tysięcy ludzi. Wszystkim uchodźcom zadaje się pytanie, czy biorą pod uwagę możliwość repatriacji. Jeśli decydują się na powrót do ojczyzny, otrzymają wsparcie w jego organizacji, jak również sto pięćdziesiąt kilogramów pszenicy oraz ekwiwalent pieniężny około dziewięćdziesięciu dolarów amerykańskich.

Mimo wszystko nie rozumiem, jak można w ogóle rozważać taką opcję, kiedy na północy wciąż bronią się talibowie, a ziemia jest pełna min. Afganistan to jedno z dwóch najbardziej zaminowanych państw na świecie.

Siedzę w pokoju, w którym właśnie odbywa się rozmowa z kobietą rozpaczliwie pragnącą wrócić do Afganistanu, gdzie wyjechali jej najbliżsi. Wie, że jej ojczyzna to wciąż strefa wojny, a jednak powtarza:

– Co pocznę tutaj zupełnie sama?

Ma odsłoniętą twarz. Pewnie to dlatego, że znajduje się w towarzystwie samych kobiet.

Z siedmiu tysięcy rodzin, z którymi w ciągu ostatnich trzech tygodni przeprowadzono wywiady, zaledwie sześć zdecydowało się na powrót do ojczyzny.

Codziennie są rejestrowani nowi przybysze. Jeśli otrzymają status uchodźcy, trafią do założonego w 1998 roku obozu w Shamshatoo. Na początku mieszkało w nim trzysta rodzin – teraz jest ich trzy tysiące.

Kiedy wychodziliśmy, do pracowników UNHCR podszedł samotny, około dziesięcioletni chłopiec, który powiedział, że ma jeszcze młodszą siostrę i braciszka. W Nowym Jalożai przebywa zdumiewająco wysoka liczba wdów i sierot.

Jest okropnie gorąco, mam ochotę zrzucić z siebie ten szczelny strój. Dostaję papierowy kubeczek z wodą. Nie proszę o więcej. Nasz odjazd obserwuje tłum około osiemdziesięciu osób. Wszyscy mają twarze zaczerwienione z gorąca.

SHELTER NOW INTERNATIONAL (SNI)

To ta sama organizacja pozarządowa, której dwadzieścioro czworo pracowników aresztowano pod zarzutem propagowania chrześcijaństwa: szesnaścioro Afgańczyków oraz ośmioro wolontariuszy z całego świata.

Pracownicy SNI prowadzą tu stołówkę.

Zwiedziłam również przychodnię zdrowia, centrum kształcenia zawodowego oraz punkt rozdzielania żywności. Działa również grupa, w której dzieci uczą się nawzajem od siebie.

Poznałam pracującego tu Petera, który pochodzi z Australii. Peter przedstawia mnie dzieciom.

Dzięki niemu spotkałam Shaifullaha, dziesięcioletka o pięknej twarzy, czystej i zycziwej. Zamieniłam z nim kilka zdań.

– Uczysz swoich braci i siostry?

– Tak, najpierw rodzina.

– Chciałbyś coś powiedzieć ludziom na całym świecie?

Chłopiec zachichotał, a potem zasłonił twarz rękawem, zbyt zawstydzony, by odpowiedzieć. W końcu jednak podniósł na mnie wzrok i powiedział:

– Żeby w Afganistanie zapanował pokój.

Pracownicy Światowego Programu Żywnościowego rozdają dzisiaj w obozie mąkę, soczewicę i olej spożywczy. Uchodźcy otrzymują taką pomoc raz w miesiącu. Trafiam do przychodni zdrowia, zapewniającej podstawową opiekę zdrowotną mieszkańcom obozu.

Od dwudziestego pierwszego do dwudziestego trzeciego odbywają się szczepienia przeciwko polio, którym poddawane są wszystkie dzieci poniżej piątego roku życia. Dzisiaj pracują tu trzy ekipy. W obozie znajduje się pięć ufundowanych przez UNHCR punktów opieki medycznej, szczepionki dostarcza UNICEF.

CENTRUM KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO

Mieszkańcy obozu, głównie niepełnosprawni, mają możliwość zdobycia zawodu. Każde z zadaszonych stanowisk zostało odpowiednio oznakowane: murarstwo, ciesielstwo, szewstwo, blacharstwo.

Dwoje dzieci uczy się szewstwa. Ich ojciec stracił rękę w wybuchu, więc to one muszą zacząć zarabiać na utrzymanie rodziny.

Próbuję kupić od nich parę butów, ale upierają się, że pragną mi je ofiarować w prezencie. Dlatego pytam, ile w takim razie kosztowałyby buty dla mojego męża. Koniecznie chcę coś od nich kupić, jednak w odpowiedzi słyszę:

– Nie weźmiemy od pani pieniędzy. Popieramy humanitarne uczynki i akty dobrej woli, to jest nasza zapłata.

Takie programy są dotowane przez UNHCR za pośrednictwem Jamalludin Afghani, znanej afgańskiej organizacji pozarządowej. Szkolenie każdej osoby trwa sześć miesięcy.

Następnie wybieramy się na spotkanie z kobietami i dziećmi w miejscowym domu kultury. Towarzyszący nam mężczyźni nie mają tam prawa wstępu.

KLUB MŁODZIEŻOWY ORAZ KOMITET POMOCY
Kobietom

Wchodzimy do środka.

– *Salam alejkum.*

Kobiety i dzieci wydają się naprawdę przeszczęśliwe. Wszyscy się uśmiechają.

Kobiety zwracają się do mnie: *Angelina bibi* (*bibi* to zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet).

Rozmawiają o przemocy domowej i o tym, jak z nią walczyć. Wszyscy obecni uczą się, że jako kobiety i dzieci również mają swoje prawa.

Przed rokiem mieszkali w namiotach z folii i mieli znacznie więcej problemów niż obecnie. Teraz wiedzie im się znacznie lepiej. Pobudowali niewielkie lepianki, potrafią już nawet żartować. Martwią się jednak, ponieważ dostawy żywności czasem się spóźniają.

– Czasami jesteśmy w naprawdę rozpaczliwej sytuacji, bo mamy takie liczne rodziny.

Poznałam też dwie młode matki z małymi dziećmi. Jedno z nich było upośledzone umysłowo, drugie chore. Jak większość matek na całym świecie obie kobiety opiekowały się maluchami z ogromną troską i miłością. Mimo tego wszystkiego, co się wokół nich dzieje, martwią się o swoich bliskich. Nie kryją strachu.

Chora dziewczynka cierpi z powodu swędzącej wysypki. Ma wielkie, brązowe oczy, którymi cały czas się we mnie wpatruje. Matka stawia małą na nóżki i pokazuje mi czyraki na jej pleckach spowodowane przez panujące tu upały.

Wysłuchałam też opowieści o sześciolatniej dziewczynce, która została zgwałcona, uduszona i wrzucona do latryny. Jej matka nie chciała zawiadamić policji ze strachu, że jej rodzina mogłaby mieć z tego powodu problemy w przy-

szłości. Zapytałam tę kobietę, czy ma jakieś przesłanie, które mogłabym przekazać moim rodakom.

– Chcemy pokoju w Afganistanie.

Inna kobieta opowiedziała mi o swoim mężu, który zmarł na udar cieplny. Mówiła z wielką emfazą, wpatrując mi się prosto w oczy. Przetłumaczono mi jej słowa.

– Co by pani zrobiła, gdyby przytrafiło się to pani? Co by pani zrobiła? Nasze życie się skończyło. Przepadło. Nasze dzieci nie mają przyszłości – a muszą ją mieć.

Nie zdołałam powstrzymać łez. Kobieta poprosiła mnie jeszcze na odchodne, żebym nie zapomniała o nich i o ich rodzinach.

Następnie odwiedziłam grupę młodych dziewcząt. Cztery z nich obdarowały mnie ozdobioną koralikami broszką, opaską na włosy i wyszywanką. To jeden z elementów afgańskiej kultury – ofiarowywanie gościowi prezentów.

Jak we wszystkich innych obozach, w tym również panują okropne upały. Nie ma tu prądu, a ochrona nie jest zbyt skuteczna.

Dziewczęta nie uczą się tu zawodu – jedynie podstawowych umiejętności, które przekazują im inne kobiety.

A chciałyby się uczyć. Chciałyby zdobywać wykształcenie, ale zwykle siedzą jedynie razem i haftują, szyją bądź wytwarzają biżuterię (nie na sprzedaż). Tak bardzo pragnęłyby mieć pracę, by móc kupić jedzenie dla swoich rodzin. Potrzebują poczucia, że pracują na poprawę swojego bytu.

Ale zanim można będzie myśleć o rozdawnictwie żywności, budowie domów, nauce zawodu czy opiece nad dziećmi, trzeba zapewnić tym ludziom bezpieczeństwo. I UNHCR to właśnie robi. Potrzebuje jednak większych funduszy i większej świadomości wśród ludzi na całym świecie.

Meldujemy się w miejscowym hotelu. Pan Ahmad, mój uzbrojony po zęby ochroniarz, upierał się, że wejdzie pierwszy do mojego pokoju. Sprawdził pomieszczenie dokładnie, wyjrzał nawet przez okno, a potem orzekł:

– W porządku.

Pan Ahmad towarzyszy mi wszędzie od chwili mojego przyjazdu. Przez większość czasu trzyma się uprzejmie na uboczu, chyba że zachodzi potrzeba interwencji. Nie mam pojęcia, co widzi, kiedy tak rozgląda się wokół po miejscu, w którym akurat jesteśmy. Wczoraj na przykład na targu nagle zagonił mnie z powrotem do samochodu. Nawet nie zapytałam, co się stało. Nie podaję w wątpliwość jego decyzji. Wiem, że wielu rzeczy po prostu nie rozumiem. Jako osoba z zewnątrz jestem zwyczajnie ślepa.

– Jeśli ktoś zapuka do pani drzwi, proszę nie otwierać, tylko mnie wezwać. Mieszkam w pokoju naprzeciwko.

Zjedliśmy kolację z miejscowymi pracownikami UNHCR. Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, drzwi otworzył nam umundurowany mężczyzna z bronią. Przed wejściem do środka wszyscy posłusznie zdjęliśmy buty, zanim wreszcie rozsiedliśmy na poduszkach.

Chociaż w pomieszczeniu działał mały klimatyzator i dodatkowy wentylator, nadal panował tam straszliwy upał, do wiedziałam się jednak, że nie był to jeszcze jeden z tych najgorętszych dni. Co jakiś czas ogarniało mnie wrażenie, że za chwilę zemdleję. Nietrudno uwierzyć w te wszystkie zgony z powodu gorąca.

Zimą wielu mieszkańców obozów (zwłaszcza dzieci) zamarza nocą w foliowych namiotach, które stanowią ich jedyne schronienie. Za to w upalne dni te same namioty zamieniają się w prawdziwe piece. Aż strach o tym myśleć.

ŚRODA, 22 SIERPANIA

Tego ranka wstałam o szóstej trzydzieści.

Pierwszy przystanek – biuro UNHCR w Peszawarze, gdzie dowiedziałam się, że dwie trzecie uchodźców osiedliło się tutaj dwadzieścia lat temu.

W jednym z największych obozów w tym rejonie 30 czerwca został wyznaczony jako dzień wysiedlenia dla wielu z jego mieszkańców.

Obecnie, po negocjacjach z UNHCR, pakistański rząd dał im czas do 30 września. Po dwudziestu latach goszczenia u siebie milionów uchodźców mieszkańcy tego kraju powoli zaczynają mieć ich dość, nawet jeśli wysiedlenie oznacza dla biedaków przeprowadzkę do kraju pełnego talibskich min.

Potrzeba czasu na sprawdzenie tych uchodźców. Na uratowanie przed deportacją jak największej ich liczby i znalezienie dla nich nowego miejsca.

Zauważam całe stosy dokumentów, każdy z czarno-białym zdjęciem paszportowym.

Roy Herrmann oprowadza mnie po ośrodku. Odwiedzamy kolejne sale. Jest bardzo wcześnie, ale wszyscy wydają się tacy zajęci, a ja nie chcę niepotrzebnie zajmować im czasu. O szesnastej mamy lecieć do Kwety, ale kazano nam uważnie słuchać prognoz pogody. Istnieje spore niebezpieczeństwo, że jeśli będzie padać, lot zostanie odwołany.

Biuro jest naprawdę skromne. W pokojach pełno dokumentów i książek. Mają tu wentylatory, ale mimo to panuje okropny upał. Każdego dnia wpływa sto podań, a można rozpatrywać zaledwie cztery, góra pięć dziennie. Potrzeba więcej rąk do pracy, a tymczasem znowu obcięto UNHCR fundusze.

CENTRUM DLA DZIECI MIESZKAJĄCYCH NA ULICY I ŻEBRĄCYCH KOBIEC

To centrum ma pod swoją opieką głównie mieszkańców miast. Ponieważ UNHCR może wspierać jedynie uchodźców przebywających w przeznaczonych dla nich obozach, w miastach brak tym ludzi pomocy ze strony rządu. Jedynego wsparcia udzielają im organizacje pozarządowe oraz miejscowe grupy pomocowe. Biuro UNHCR wspiera kilka takich organizacji NGO.

Widzę około dwadzieścioro dzieci, chłopców i dziewczęta, siedzących w rzędach na podłodze. To nie jest formalna szkoła.

W kolejnej sali dzieci uczą się języka *dari*. Mój tłumacz mówi:

– Uczniowie chcą zaśpiewać na pani cześć pieśń powitalną.

Te maluchy są bardzo ubogie, a jednak się uśmiechają. Mają takie poważne buzie, kiedy skupiają się na słowach piosenki.

Niektóre z nich mają wyraźnie widoczne blizny. Wszystkie tęsknią z Afganistanem i chcą tam wrócić.

Kiedy tu trafiły, były mocno niedożywione – cierpiały na niedobór witamin. Czternastoletni chłopcy wyglądający na znacznie młodszych uczą się teraz ciesielki i spawania. Niektórzy chcą być grawerami czy lekarzami.

– Mają bardzo wysokie aspiracje – mówi ich nauczyciel.

OBÓZ W NASIR BAGH

Mieszkańcy tego obozu wkrótce zostaną zmuszeni do jego opuszczenia. Biuro UNHCR zdołało wynegocjować trochę czasu na wyodrębnienie spośród podopiecznych tych najbardziej bezbronnych przed eksmisją.

Cała ta społeczność już niedługo ulegnie kompletnej destabilizacji.

Ponad setka uchodźców wciąż czeka pod biurem, w którym odbywają się rozmowy. Wszyscy są świadomi swojego położenia i robią się coraz bardziej nerwowi.

Wchodzę do środka, nie podnosząc wzroku – nie dlatego, że jako kobieta czuję się zagrożona czy skrępowana, ale ponieważ dręczą mnie wstyd i poczucie bezradności. Wiele kobiet nie życzy sobie obecności mężczyzn podczas rozmowy. Rozpaczliwie pragną się zarejestrować razem ze swoją grupą i trafić do tego samego konwoju. Jeśli mają zaczynać wszystko od początku w nowym miejscu, pragną być razem.

Nikt nie chce zostać zdany wyłącznie na siebie.

OBOZOWA SZKOŁA

Dzieci nie ma dzisiaj w szkole, poznałam jednak czworo nauczycieli: mężczyznę i trzy kobiety. Jedna z nich trzymała w ramionach niemowlę. Uczy w tej szkole od ośmiu lat. Przez te wszystkie lata włożono tyle pracy w organizację obozu, by stał się on prawdziwą społecznością – choćby najskromniejszą.

Na ścianach wiszą mapy. W całej szkole pracuje łącznie dwadzieścioro nauczycieli, a uczy się w niej trzy tysiące dzieci (tysiąc chłopców i dwa tysiące dziewcząt). To jedna z największych szkół dla młodych Afganek.

Pytam ich, co myślą o wydarzeniach, jakie rozegrają się tu we wrześniu (wówczas znaczna część obozu ma zostać zburzona). Odpowiadają, że najlepiej jest chodzić do szkoły aż do ostatniego dnia. Zostaną tu, dopóki się da. Mają nadzieję, że koniec końców uda się im zorganizować „zmianowe” szkoły tam, gdzie po likwidacji obozu trafi większość uchodźców. Budynek, w którym się znajdujemy, również został wyznaczony do wyburzenia.

Następnie odwiedziłam niewielki dom dziennego pobytu w obozie.

Te kobiety nie chcą wracać do Afganistanu. Tam nie będzie się im wolno uczyć ani pracować. Przede wszystkim jednak obawiają się talibów – ze względu na swoich bliskich.

Staję z boku i przyglądam się wszystkiemu uważnie. Jak mogę przemówić w imieniu tych ludzi? Nie znam głodu i wojny z własnego doświadczenia. W kącie pomieszczenia dostrzegam dwoje małych dzieci zajętych tkaniem dywanu. Któraś z matek wyjaśnia, że w rodzinnych stronach chodziłyby jeszcze do przedszkola. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co muszą czuć rodzice zmuszeni posyłać tak małe dzieci do pracy czy patrzeć, jak ich pociechy chorują od kurzu, zapadają na alergię i ciągle kaszlą.

Ci wszyscy ludzie chcą, byśmy wiedzieli, jak bardzo są wdzięczni pakistańskiemu rządowi za gościnę. Poznałam też inną kobietę, matkę czworga malutkich dzieci. Pracuje w przychodni zdrowia za czterdzieści dolarów miesięcznie. Nie chce wracać do Afganistanu, bo tam nie będzie mogła chodzić do pracy.

Kobiety zapraszają nas na obiad. Gdybyśmy przyjęli zaproszenie, odebralibyśmy im część już i tak ograniczonych racji żywnościowych. Dlatego grzecznie się wymówiliśmy:

– Dziękujemy, niestety musimy trzymać się rozkładu dnia, więc nie mamy czasu na posiłek.

Kiedy powoli odjeżdżaliśmy, samochód otoczyła jeszcze grupka dzieci machających do nas z okrzykami:

– Do widzenia, cześć!

Mała dziewczynka ściera kurz z okna, żeby zajrzeć do środka. Uśmiecha się do mnie. Kładę dłonie na szybie, a ona powtarza mój gest z drugiej strony, palec po palcu.

Czuję, że powinnam dać im coś na pożegnanie, ale nie mam przy sobie niczego w wystarczającej ilości, by obdaro-

wać je wszystkie, jedynie trzy bransoletki i apaszkę. Jednak kiedy tak o tym myślę, uświadamiam sobie, że te maluchy wcale nie oczekują ode mnie prezentów. Po prostu cieszą się z odwiedzin kogoś, kto się do nich uśmiecha i jest gotów poświęcić trochę czasu na zabawę z nimi.

Kiedy odjeżdżamy, dzieci ruszają za samochodem – biegną boso po ziemi i kamieniach. Jedna z dziewczynek upada. Oglądam się za siebie. Nic się jej nie stało. Jakiś chłopiec pomaga jej wstać, a ona się uśmiecha.

Przejeżdżamy przez teren, na którym trwa już rozbiórka. Wszystkie okna, drzwi i drewniane belki zostały już usunięte. Do tej pory przesiedlono już stąd tysiąc czterdzieści dwie rodziny.

Wszyscy ci ludzie znaleźli się pod ogromną presją. Niektórzy byli zmuszeni do powrotu w rodzinne strony. Biedni Pakistańczycy z tego regionu tylko skorzystają, kiedy ziemia, którą zajmowali dotąd uchodźcy, trafi z powrotem w ich ręce. Przez ponad dwadzieścia lat musieli się nią dzielić z Afgańczykami. Międzynarodowa społeczność nie powinna od nich oczekiwać, że będą bez końca ponosić takie ciężary. Sytuacja jest naprawdę skomplikowana, jednak ujmując to w skrócie – zarówno uchodźcy, jak i państwa ich przyjmujące cierpią z powodu wojny. Uchodźcy są oczywiście bardzo wdzięczni państwu udzielającym im gościny, a my powinniśmy nie tylko pomagać tym ostatnim w dbaniu o to, by programy pomocowe dla uchodźców działały sprawnie, lecz także dziękować ich mieszkańcom, doceniać ich wysiłki i okazywać naszą wdzięczność zarówno im, jak i ich rządowi.

Jednak jeśli chodzi o Pakistan, sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Wielu Pakistańczyków czuje się odpowiedzialnych za obecną sytuację, ponieważ talibowie wywodzą się właśnie z ich kraju. Jeden z mężczyzn powiedział mi nawet:

– To zupełnie jakby wyhodować aligatora, który cię potem pożre.

Zatrzymujemy się na obozowym cmentarzu, który zdaje się ciągnąć całymi kilometrami. Wszędzie widać świeże groby. Dowiaduję się, że są to głównie mogiły dzieci.

Wiele rodzin uciekło do Pakistanu, zabierając ze sobą swoich zmarłych, by zorganizować im godziwy pochówek. Kiedy rozmawiam z tymi ludźmi, pytam, jak przyjęli wiadomość o przymusowej repatriacji. Zbudowali tu przecież sobie nowe życie, a teraz trzeba będzie to wszystko zostawić i przenieść się w kolejne miejsce, by zacząć wszystko od początku. Nie potrafią znaleźć właściwych słów. Jedna z kobiet zaczyna płakać.

Dowiaduję się, że cała ta sytuacja jest trudna również dla pracowników UNHCR. Często są zmuszeni przenosić się do innych obozów, by nie zostawać w jednym miejscu zbyt długo, bo wówczas trudno im pozostać obiektywnymi profesjonalistami.

SAYYED JAMALLUDIN

To ufundowane przez UNHCR centrum pomocy Afgańczykom, które prowadzi kursy zawodowe dla uchodźców. W ciągu roku kształci się tam czterysta osób. Ledwie wjechaliśmy na teren obozu, a już natknęliśmy się na chodzącego na czworakach mężczyznę, który miał na dłoniach buty. Ciężki przypadek polio. Najbardziej bezbronni są właśnie niepełnosprawni.

Nie mam pojęcia, jak ci ludzie są w ogóle w stanie pracować w takim upale. Większość z nich (zarówno kobiety, jak i mężczyźni) jest po amputacji albo sparaliżowana.

Podopieczni centrum ciężko pracują, a to, co robią, jest naprawdę zdumiewające. Produkują skrzynie na przenośne biblioteki, buty, okna, a nawet piecyki.

Po krótkim zwiedzaniu zaoferowano nam odpoczynek w cieniu i coś do picia – pepsi w szklanych butelkach wyciągniętych z przykurzonej skrzynki. To było naprawdę wspania-

łomyślne z ich strony, że nam je zaproponowali. Pijemy, starając się nie uronić nawet kropelki. Odwiedzamy klasę pełną dwunastoletnich chłopców, dotąd niepiśmiennych, którzy wreszcie uczą się czytać, a następnie dziewczynki, również ćwiczące czytanie. To był naprawdę ekscytujący widok – te wszystkie dzieci, które wreszcie mają dostęp do edukacji.

Jedna z kobiet powiedziała nam:

– Niech was Allah pobłogosławi za waszą pomoc. Bez niej mielibyśmy związane ręce.

Te kobiety są naprawdę silne. Ich oczy uśmiechają się do nas z za kwefów.

Haji, który oprowadzał nas po ośrodku, dodał:

– Dziękujemy, niech wam Bóg błogosławi za to, że porzuciliście swoje wygodne życie, żeby nas odwiedzić i spędzić z nami trochę czasu.

Tuż przed odjazdem dostrzegam kolejne grupki całkowicie zakrytych kobiet. Strój zasłaniający całe ciało i głowę, ze skrawkiem siateczki w miejscu na oczy to burka.

W Iranie nosi się czarne, w Pakistanie zazwyczaj białe, natomiast w Afganistanie zwykle niebieskie. Wszelki kontakt wzrokowy jest zakazany. Nawet dzieci nie widzą wyrazu twarzy swoich matek.

Żadnej indywidualności, żadnej osobowości – a na dodatek jest w tym strasznie gorąco. Kupiłam taki strój i go przymierzylam. Czulałam się jak w klatce. To naprawdę coś okropnego.

CZWARTEK, 23 SIERPNI

Dzisiaj wstałam o szóstej trzydziści.

Przy kawie wymieniliśmy z Yusufem poglądy na temat rozmaitych problemów, braku funduszy i cięciach wydatków na rozmaite programy.

Rozmawialiśmy też o tym, jakie to smutne, że ludzie mają tyle błędnych wyobrażeń na temat uchodźców i że często nie chcą ich w swojej społeczności.

Musimy zmienić sposób postrzegania uchodźców. Ci ludzie zasługują na szacunek.

Musimy otworzyć oczy na cudowną różnorodność świata.

ODPRAWA W KWECIE

W Kwecie pracuje piętnaścioro funkcjonariuszy UNHCR – czworo z nich przyjechało tu z zagranicy. Veronique pochodzi z Nigerii.

Krążyliśmy po sali, przedstawiając się sobie nawzajem i tłumacząc, czym się zajmujemy.

Sześć miesięcy temu rozpoczęłam moje podróże z UNHCR, by dowiedzieć się więcej na temat położenia uchodźców, ludzi żyjących w niedoli za sprawą bliźnich.

Wymieniam kraje, które odwiedziłam do tej pory: Afganistan, Sierra Leone, Kambodża.

Rozglądam się po sali pełnej zmęczonych twarzy. Któraś z kobiet mówi:

– Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Pochodzi z Afryki i pomaga uchodźcom z Afganistanu od prawie roku.

Jedna z towarzyszących nam kobiet, Serena, pracuje w tym biurze od 1983 roku. Jestem zaszczyczona, że mogę współpracować z ludźmi z UNHCR. Są naprawdę wspaniali. Tak bardzo pragną pomóc uchodźcom, a mają tak niewiele środków. Każde ograniczenie funduszy pogłębia tylko ogrom cierpienia ludzi, którzy musieli opuścić swoją ojczyznę. Prawda wygląda tak, że ich życie zależy od każdego dolara, jaki trafia do UNHCR.

Udajemy się w drogę do obozu dla uchodźców o nazwie Nowe Saranan.

Podczas godzinnej podróży widzę za oknem wielbłądy, kolorowo udekorowane autobusy, ogrodzenia z drutu kolczastego i przykurzonych ludzi skulonych gdzieś w rzadko dostępnym cieniu. Dowiaduję się, że Afgańczycy to przede wszystkim naród rolniczy. Przedsiębiorczy, pracowici ludzie. Żyją wśród pustkowiec pozbawieni praktycznie najbardziej podstawowych rzeczy, a jednak nadal potrafią być twórczy i pomysłowi. W zaprzężonych w osiołki wózkach wożą swoje dzieła, a czasem również owoce, na skromny targ.

Moi towarzysze na wszelki wypadek sprawdzają, czy drzwi od mojej strony są na pewno zamknięte.

Uświadamiam sobie, że właściwie nie widać tu nigdzie kobiet.

Mijamy targ i wreszcie w polu widzenia pojawia się prowizoryczne obozowisko uchodźców pozbawionych schronienia czy choćby odrobiny cienia, bez dostępu do wody.

Dostrzegam chłopca z kijem prowadzącego dwie chude kozy.

Jak ci ludzie tu żyją? Widzę, jak niewiele mają, a jednak wykorzystują te skromne zasoby do ostatka. Wszystko jest tutaj wręcz na wagę złota. Wciąż myślę o tym, jak wiele dóbr marnuję u siebie w domu – a mam przecież tego o tyle więcej, niż potrzebuję (i dotyczy to praktycznie wszystkiego: wody, żywności, ubrań itd.).

OBÓZ DLA UCHODźCÓW W NOWYM SARANAN

Wszystkie obozy w Pakistanie wyglądają niemal identycznie. Za każdym razem jest to świat zbudowany z gruntowych dróg, lepierek i namiotów oraz pyłu. Obozowisko rozciąga się na przestrzeni siedmiu do ośmiu kilometrów, najbliższe ujęcie wody znajduje się siedemnaście kilometrów dalej. Kiedy wysiadłam z auta, wszędzie unosił się kurz. Czułam go nawet pod powiekami i w gardle.

Zatrzymujemy się w punkcie medycznym składającym się z kilku niewielkich pomieszczeń ze starymi stołami i zakurzonymi dywanami. Tutaj odbywa się fizjoterapia. Najbardziej rozpowszechnionymi przypadłościami są: polio, gruźlica kości, oparzenia, obrażenia spowodowane wybuchami min, postrzały z broni palnej i urazy psychiczne. Ponad pięćdziesiąt procent pacjentów to dzieci poniżej piątego roku życia.

Jest tutaj również pomieszczenie przeznaczone wyłącznie dla pań. Trzy kobiety leżą na starych matach twarzami do ziemi. Nogi mają sparaliżowane, próbują jednak ćwiczyć, podnosząc tułów i rozprostowując plecy.

Na zewnątrz spotykam mężczyznę z białą brodą. Jego żona straciła wzrok, a ich dwaj synowie zginęli. W obozie w Saranan nie ma funduszy na uczenie niepełnosprawnych nowych umiejętności.

Kolejny mężczyzna też opowiada mi swoją historię. Stracił rękę i oko.

Niektórzy ludzie narzekają, twierdzą, że biuro UNHCR powinno robić więcej, by pomóc uchodźcom. Pracownikom tej organizacji trudno słuchać takich słów. Krytykanci zwyczajnie nie rozumieją, co oznaczają ograniczenia funduszy i cięcia wydatków.

Jak ujął to jeden z pracowników UNHCR:

– Ludzie na całym świecie mogą na nas narzekać, rządy mogą krytykować nasze programy, ale to my każdego dnia stajemy twarzą w twarz z głodnymi, chorymi ludźmi, którzy wierzą, że tylko od nas mogą się spodziewać pomocy.

Jak miałabym to lepiej wytłumaczyć? Załóżmy, że przypomina to sytuację, w której jakaś grupa ludzi siedzi w aucie otoczonym przez wygłodniałych, okaleczonych w wyniku działań wojennych ludzi. Niektórzy z pasażerów samochodu (pracownicy UNHCR czy innych organizacji humanitar-

nych) wysiadają z niego i oddają wszystko, co mają, ale to i tak nie dość, by pomóc każdemu z tych biedaków. Wówczas trudno sobie poradzić z resztą tych wygłodniałych ludzi. Niektórzy natomiast nigdy nie opuszczają auta. Nie próbują nawet rozwiązywać problemów, z którymi nie są w stanie się uporać, a nie chcą zostać zaatakowani. Kiedy nie da się zaplanować nad sytuacją, wielu ludzi nie robi po prostu nic.

Zwiedzamy resztę obozu...

Dwie kobiety szczepią dzieci przeciwko polio. Jeden maluch rozpaczliwie płacze, jednak większość dzieci rozumie sytuację i podchodzi bez oporów. To naprawdę proste szczepienie – kilka kropel wpuszczonych do buzi – a przecież tak istotne. Od niego zależy, czy te maluchy unikną w przyszłości paraliżu. Bez takich działań ci wszyscy ludzie cierpieliby jeszcze bardziej.

Co roku umiera dziesięć milionów dzieci-uchodźców poniżej piątego roku życia, większość z nich z powodu chorób, którym można zapobiec, oraz niedożywienia.

Odwiedzamy salę, w której uczą się młode kobiety. Podróżujący z nami mężczyźni zostają na zewnątrz, podczas gdy my wchodzimy do środka.

Dziewczęta wstają. Chcą dla nas wyrecytować „wiersz na pochwałę oświaty”. Do oczu cisną się mi łzy na widok tych wszystkich dziewcząt tak bardzo pragnących lepszego życia i szansy na to, by móc się uczyć.

Na tablicy widnieją wypisane kredą równania, których nie jestem w stanie rozwiązać.

Dostajemy napoje gazowane – każda z nas po innym – praktycznie wszystkie, jakie są tu dostępne. W kącie dostrzegam jedną z przenośnych biblioteczek na kółkach.

Pytam dziewczęta, kim chcą zostać, kiedy dorosną. Wiele z nich ma tylko jedną odpowiedź: lekarką. Jedna z nich dodaje:

– Jeśli będziemy ciężko pracować, na pewno nam się uda. Zadaję im pytanie, co ich zdaniem jest najtrudniejsze w życiu w obozie.

– Nie ma dość pracy dla wszystkich.

Dziwnie usłyszeć coś takiego z ust dzieci.

– Potrzebujemy wody. Chociaż przyjeżdżają beczkowszy, nadal nie ma dość wody.

Pytam przez tłumaczkę:

– Chciałybyście wrócić do Afganistanu?

Wszystkie odpowiadają zgodnie:

– Tak.

Dopytuję więc jeszcze:

– A czemu nie możecie tam wrócić już teraz?

– W naszej ojczyźnie wciąż trwają walki.

– Tam nie mogłybyśmy się uczyć.

Do sali wchodzi starsza kobieta.

– Przed nastaniem rządów talibów kobiety w wielkich miastach mogły się uczyć – mówi.

Widok podobnych klas sprawia jej wielką radość – nawet jeśli znajdują się one w obozach dla uchodźców.

Niektóre z tych dziewcząt same uczą młodsze dzieci. Kiedy się żegnamy, wszystkie wstają i uśmiechają się serdecznie. Wychodzimy na zewnątrz, prosto w chmury pyłu. Upał jest obezwładniający. Idziemy do zatłoczonej salki, w której uczy się kilka starszych kobiet. Pomieszczenie ma jakieś cztery i pół na dwa i pół metra. Ściany są z gliny, dach z gałęzi. Okna to po prostu niewielkie kwadratowe otwory. Kobiety uczą się tu pisać. Jedna z nich pokazuje mi, że potrafi już napisać swoje imię. Jest taka szczęśliwa.

– Teraz mogę napisać list do rodziny.

Przez okno zagląda mały chłopiec. Nielatwo będzie mi zapomnieć jego buzię. Obserwuje nas. Może jego matka jest tutaj. Kobiety mówią, że największym pożytkiem z edukacji

jest możliwość dzielenia się wiedzą z innymi. Kiedy wspominamy o planowaniu rodziny i bezpiecznym seksie, uśmiechają się z zawstydzeniem, zaczynają chichotać. To dla nich niezręczny temat. Jedna z kobiet, która niedawno wyszła za mąż, zakrywa twarz figlarnie, kiedy pytamy ją, czy wie coś na temat tych spraw.

Chcą, żebyśmy zrobiły im zdjęcie.

– Prześlicie nam jedno? Chcemy pokazać rodzinom, jak się uczymy.

Rozmowa z nimi była naprawdę cudownym doświadczeniem.

Kiedy znalazłyśmy się z powrotem na zewnątrz, zatrzymałyśmy się jeszcze na chwilę w cieniu muru. Młodzi chłopcy i kilku funkcjonariuszy z karabinami przystanęło nieopodal.

Od godziny nie jestem w stanie nic napisać. Mam mdłości. Muszę napić się wody. Może wtedy poczuje się lepiej.

Ruszamy w dalszą drogę. Mijamy niewielkie, wysłużone namioty z brezentu, ale wokół unosi się tyle pyłu, że ledwie je widać. To wygląda na prawdziwy koniec świata – kompletnie zapomniane miejsce. Jak ludzie mogą tu żyć?

Mija kolejna godzina. Jedziemy krętymi drogami przez górzysty teren – otaczają nas wyłącznie skały i ten pył. W którymś momencie mijamy zapchany do granic możliwości autobus.

Klimatyzacja w naszej ciężarówce wydmuchuje gorące powietrze. Śnię na jawie o mojej lodówce i chłodnym wietrze, która wpada przez otwarte drzwi mojej kuchni. Pewnie to brzmi głupio, ale tak właśnie jest. W takim upale umysł zaczyna płać człowiekowi figle. Muszę się skupić na czymś innym. To pozwala mi opanować mdłości.

Myślę o tym, co dzieje się z tymi wszystkimi ludźmi tutaj – o tym obezwładniającym smutku. Czuję się taka bezradna. To miejsce to prawdziwe piekło na ziemi, ale ludzie – ludzie

są wręcz cudowni i inspirujący. Tak dzielnie walczą o przetrwanie.

Mijamy osadę składającą się z kilku lepianek otoczonych drzewkami owocowymi – to pewnie jedyne źródło utrzymania jej mieszkańców. Wszędzie widać ewidentne oznaki tego, że cały ten region cierpi z powodu suszy.

Po drodze natykamy się na ciężarówkę załadowaną pniami ściętych drzew. Muszą sprzedać drewno. Jeden z pracowników UNHCR tłumaczy mi:

– Potrzeba będzie siedmiu lat, by drzewa znowu urosły, a i to wyłącznie wtedy, kiedy wreszcie skończy się ta susza.

O ile nie zaoferujemy mieszkańcom tych ziem finansowej pomocy, to będzie kolejny region zamieszkały przez ludzi bez przyszłości. Mijamy obóz dla uchodźców, który został zamknięty z powodu braku funduszy. Ludzi przeniesiono do innego obozu. Zatrzymujemy się w miejscu, które pozostało po zlikwidowanym obozie. Kilka rodzin najwyraźniej zdecydowało się jednak pozostać na tym gruzowisku, choć dostrzegam same kobiety i dzieci.

Bosi chłopcy wybiegają na drogę, żeby się nam przyjrzeć. Są tacy mali, a jednak na ich buziach maluje się ogromny smutek. Są straszliwie wychudzeni, o lekko spuchniętych brzuskach. Bawią się na spękanej od gorąca ziemi, na której nie ma nic, poza ostrymi kamieniami.

Dajemy im kilka butelek wody z przenośnej lodówki, którą wszędzie ze sobą wozimy. Kiedy na samym początku tej podróży zobaczyłam, jak ładują ją na pokład samolotu, uznałam to za nedorzeczne posunięcie. Teraz już rozumiem. W takich miejscach jak to trzeba brać pod uwagę tyle rozmaitych potrzeb.

Podchodzi do nas grupka kobiet. Ten pusty obóz wygląda zupełnie jak ruiny jakiejś pradawnej cywilizacji.

– Czy możemy się tu zatrzymać? – pytam jedną z kobiet.

– Dlaczego by nie? – odpowiada zapytana. – Bóg powinien nam zsyłać jak najwięcej gości.

Jedna z kobiet jest w ciąży. Ma twarz ozdobioną niebieskimi plemiennymi tatuażami i kolorową biżuterię. Kobiety wyjaśniają nam, że przybyły tu z Afganistanu w 1979 roku. Pytam dlaczego.

– Z powodu wojny ze Związkiem Radzieckim. Opuściliśmy nasze domy i nawodnioną ziemię. Teraz grasują tam talibowie, więc nie możemy wrócić.

Zapraszają nas do niewielkiej izby, gdzie rozkładają przed nami starą, zakurzoną kapę. Pytam, czy w pobliżu jest szpital. Wszystkie patrzą na mnie tak, jakby chciały powiedzieć: „Wolne żarty!”

Zauważam małego, bardzo smutnego chłopca. Ma podarte ubranie i wielkie, załzawione oczy. Tak bardzo stara się uśmiechnąć.

Pytam, czy wiedzą coś o Ameryce.

– Tak, nasi mężowie mówią, że Ameryka nam pomaga.

Pytam je, czy chciałyby przekazać jakieś przesłanie ludziom stamtąd.

– Dlaczego musimy tak cierpieć?

– Dlaczego nie ma dla nas nadziei?

– Jesteśmy tacy wdzięczni Ameryce za pomoc, ale prosimy, potrzebujemy więcej wody i jedzenia. I żeby już nikt więcej nie umierał.

Pytamy, czy możemy im zrobić zdjęcie.

– Nie, nasi mężowie byliby źli.

Nie naciskamy. Kobiety pozwalają nam jednak sfotografować dzieci.

Mały chłopiec wygląda na przestraszonego.

– Nigdy nie widział aparatu.

Rozmawiamy o problemach z dostawami żywności.

– Moja rodzina może kupić tylko jeden worek na miesiąc. Staramy się uczyć dzieci, żeby jadły mniej.

Jedna z kobiet tłumaczy nam, że jej jedenastoletni syn jeździ do pracy na cały miesiąc – ciężkie roboty. Stawka za taką pracę wynosi osiem dolarów miesięcznie. Inny chłopiec wyruszył z domu, żeby zbierać drewno potrzebne do gotowania.

– Nawet nie wiemy, czy nasi synowie jeszcze żyją.

– Czujemy się jak w więzieniu.

– Jesteśmy wam wdzięczne za wizytę.

– Czujemy się tak, jakby odwiedziły nas nasze siostry i matki.

– Dziękujemy za odwiedziny, będziemy się za was modlić.

Mam przy sobie około trzech tysięcy rupii. Dolar jest wart sześćdziesiąt. Zapytałam pracowników UNHCR, czy mogę dać je tym kobietom.

– Tak, o ile wytłumaczymy im, że pieniądze nie są od UNHCR, bo inaczej w przeszłości będą oczekiwać gotówki. Zgoda?

– Oczywiście.

Kobiety były bardzo wdzięczne. Ci ludzie żyją z dnia na dzień.

Ofiarowują mi koraliki. Chcą, żebym jeszcze wróciła.

A ja nie mogę przestać się zastanawiać, czy jeśli rzeczywiście tu wrócę – może za rok – one wciąż będą wśród żywych?

SZESNASTA TRZYDZIEŚCI, BIURO TERENOWE UNHCR

Zjedliśmy obiad. Wszyscy byliśmy okropnie głodni. Nie pamiętam już, co dostaliśmy, ale byłam naprawdę szczęśliwa, że mam co włożyć do ust.

OBÓZ DLA UCHODźCÓW W SURKHAB

Podróżuje z nami trzech uzbrojonych i umundurowanych funkcjonariuszy. Dwóch jedzie za nami, natomiast trzeci stoi na pace naszej ciężarówki.

Nie chcę pytać, dlaczego ich obecność jest niezbędna, jednak zakładam, że region może nie być najbezpieczniejszy również dla uchodźców. Te obozy znajdują się bliżej granicy z Afganistanem, więc są wystawione na większe ryzyko.

W obozie poznałam grupę kobiet, które mieszkają tu od dwudziestu lat.

– Przyjechałyśmy podczas pierwszej wojny.

– Zestarzejemy się tutaj.

Rozkładają dla nas dywaniki, żebyśmy mogły usiąść i napić się herbaty. Ich małe córeczki przycupnęły obok nich.

Haftowanie najwyraźniej sprawia tym kobietom wiele radości. Ich dzieła są tak różne, a jednak wszystkie bez wyjątku piękne. Praca nad każdym z nich zajmuje około trzech miesięcy. W Stanach wszystkie sprzedałyby się pewnie po kilkaset dolarów sztuka. Tutaj, jeśli ich autorki będą miały szczęście i zdołają dotrzeć z nimi na targ, pójdą za skromną sumkę – równowartość kilku dolarów.

Kobiety w tym obozie nie uczą się żadnego innego zawodu, nie tracą jednak nadziei, że ich dzieci czeka lepsza przyszłość. Jedna z nich powiedziała mi:

– Jestem trzecią żoną mojego męża.

W swojej niewiedzy nie zdawałam sobie nawet sprawy, że w tej części świata mężczyźni mogą mieć po kilka żon.

Kobiety pokazują nam niewielki przepływający przez obóz strumień. Są takie szczęśliwe, że mogą z niego korzystać, kiedy skończą się im zapasy wody pitnej. Ponoć strumień nie jest zbyt czysty, ale z powodu suszy i tak z niego piją.

Właśnie skończyły się lekcje. Chłopcy natychmiast do nas przybiegają.

Zauważyli, że robimy zdjęcia, i też chcieli się na nich znaleźć.

Byli tacy dumni, że znają trochę angielskiego. Ciągłe powtarzali „dziękuję” i „proszę bardzo”, a poza tym dużo się uśmiechali.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, kiedy ktoś z naszej grupy przez przypadek wpadł do strumienia.

Kiedy odjeżdżamy, zapada już wieczór. Niebo jest bezchmurne, a słońce przypomina wielką pomarańczową kulę. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego zachodu słońca. Dostrzegam napis na niewielkim budynku szkoły. Wymalowane na wielkiej tablicy litery układają się w słowa:

Wspólnota
Dyscyplina
Wiara.

PIĄTEK, 24 SIERPANIA

Wszyscy modlą się pięć razy dziennie.

Strasznie dużo tu cmentarzy. Do gałęzi drzew przywiązane są kawałki materiału powiewające lekko na wietrze, dostrzegam też kilka wysokich białych kamieni. Widzę kobiety zgromadzone wokół jednej z mogił na uboczu. Myślę o swojej rodzinie i o tym, jak to jest stracić najbliższych.

Zauważam kilku pastuszków poganiających kozy za pomocą kijków. Jeden z nich ma nie więcej niż dziesięć lat, prowadzi dwanaście kóz o kosmatej, czarnej sierści. Dostrzegam też kilkoro ludzi śpiących pod kocami. Wiele osób śpi tutaj od dwunastej do czternastej, żeby jakoś przetrwać tę najgorętszą porę dnia.

OSADA DLA UCHODźCÓW W LORALAI

Tego ranka wybieramy się do Loralai, a już w osadzie zatrzymujemy się przy szkole prowadzonej przez organizację *Save The Children*.

Napis na ścianie głosi:

Witamy!

Wiedza to potęga.

Pragniemy pokoju na całym świecie.

Obok znajduje się namalowana kolorowymi farbami mapa Afganistanu. Najpierw odwiedzamy dziewczęta. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Wszędzie jest pełno kurzu, ale najwyraźniej im to nie przeszkadza. Są szczęśliwe, że mogą się uczyć.

Nauczycielka pyta je:

– Ile z was urodziło się w obozie?

Wszystkie podnoszą ręce.

– Chcemy wrócić do ojczyzny. To nie jest nasze miejsce.

Uczą się *paszto*, swojego ojczystego języka.

W szóstej klasie zaledwie jedna czwarta uczniów to dziewczęta. Społeczność wioski naciska na nie, by się zařęczyły. Tylko synowie pracują. Jedna z dziewcząt uśmiecha się do mnie – od razu robi mi się cieplej na sercu. Jakaś dziewczynka czyta, inne śpiewają piosenkę, której słowa są tłumaczone specjalnie dla mnie. Piosenka mówi o odbudowie Afganistanu i jedności różnych plemion. Oto fragment tej piosenki:

W tym krytycznym momencie jak przyjaciel może być naszym wrogiem? Przybyłaś do nas z wizytą. Jesteś naszym przyjacielem. Pragniemy, by nasz kraj był znowu zielony i szczęśliwy.

Wszyscy ci młodzi ludzie potrzebują mnóstwo energii, by odbudować ojczyznę. Muszą zjednoczyć siły. Ludzie prowadzący szkołę powiedzieli nam:

– Cieszymy się, że zechcieliście nas odwiedzić. Pracujemy tak ciężko – i my, i dzieci. Chcielibyśmy móc kontynuować nasz program.

Obawiają się jednak, że ich szkoła zostanie zamknięta z powodu braku funduszy. Uroczą bosą dziewczynką przepycha się do przodu. Na głowie ma zakurzoną chusteczkę, białą w małe brązowe kwiatki, w rękach ścisną stary, cienutki zeszyt.

Zaczyna czytać wiersz:

Obiecujemy uczyć się pilnie.

Nauka jest taka ekscytująca.

Nie chcemy wojny.

Pragniemy pokoju.

Jedna z towarzyszących nam pracownic UNHCR zaczyna płakać. Po twarzy starszego mężczyzny również płyną łzy, aż biedak odwraca się do ściany. I wtedy ja też wybucham płaczem.

Jedna z kobiet powiedziała nam:

– Nie chcemy, by Afganistan był podzielony. Prosimy, prosimy – pragniemy pokoju.

Na zewnątrz zbierają się chłopcy. Na nogach mają zakurzone plastikowe sandały. Jakiś maluch wślizguje się w końcu do klasy i podchodzi do tablicy, żeby pokazać nam, że zna litery. Piszę od prawej do lewej strony.

Pytam go, kim chce zostać, kiedy dorośnie.

– Mułłą – odpowiada chłopiec, a ktoś z obecnych dodaje w ramach wyjaśnienia:

– To muzułmański duchowny.

Inne dzieci uśmiechają się i zaczynają się przekrzykiwać:

– Nauczycielem.

– Lekarzem.

– Sędzią. – To odpowiedź ośmioletniego chłopca.

– Ministrem.

Chłopcy również siedzą ze skrzyżowanymi nogami na dywanikach rozłożonych na zapyłonej podłodze. Wstają po kolei, żeby odpowiedzieć na moje pytanie. Wszyscy się uśmiechają, uszczęśliwieni, że ktoś jest ciekawy ich planów na przyszłość.

– A gdzie chcecie robić te wszystkie rzeczy? – pytam jeszcze.

– W Afganistanie.

W tym momencie podeszła do mnie nauczycielka i wręczyła mi wyhaftowany kawałek płótna.

– Jedna z uczennic piątej klasy chciała to pani podarować – wyjaśniła. – W podziękę za wizytę.

Podziękowałam im wszystkim. Dziewczęta właśnie ćwiczyły czytanie, więc teraz z wielką dumą zaprezentowały mi swoje umiejętności.

Chciały się też dowiedzieć, jak się nazywam. Nie wiedzą nic o moim życiu. Dla nich jestem po prostu kimś, kto zjawiał się tutaj, żeby przyjrzeć się ich położeniu i spróbować im pomóc. Są dla mnie takie miłe.

Dyrektor szkoły powiedział jeszcze na pożegnanie:

– Proszę o nas nie zapominać. Czuję, że jesteśmy sobie tacy bliscy – jakby nie dzielił nas żaden dystans.

To prawda, jesteśmy sobie bliscy, a ja nigdy o nich nie zapomnę.

Zatrzymujemy się jeszcze, by odwiedzić „bezbронnych”. To nowo przybyli, ale pracownicy UNHCR używają tego właśnie określenia. Przeniesiono tutaj trzysta rodzin z obozu w Kwecie. Teraz będą mieszkać w jeszcze biedniejszym regionie. Nie zadamowią się tu na tyle, by posłać dzieci

do szkoły. W tym obozie nie pozostało wiele rzeczy, które mogliby otrzymać. Wszelkie zapasy zostały praktycznie wyczerpane. To bardzo trudna sytuacja dla pracowników organizacji humanitarnych, kiedy nie mają dosyć, by zaspokoić potrzeby wszystkich podopiecznych. Światowy Program Żywnościowy już i tak daje tyle, ile jest w stanie.

Z kolei UNHCR dostarcza cysternami wodę i rozdaje pozostałą jeszcze żywność.

Do naszej niewielkiej grupki dołącza starsza kobieta. Ściska moją dłoń lekko, delikatnie. Ludzie tutaj nie są przyzwyczajeni do podawania ręki. To dla nich nowy zwyczaj, ale starają się dostosować przez wzgląd na nas.

Kilku mężczyzn pracuje przy budowie niewielkich chat z gliny. Kobiety nie mają żadnej pomocy przy zbieraniu drewna na opał, a w promieniu wielu kilometrów nie widać żadnego drzewa.

– Jak mamy gotować dla naszych rodzin? Zostało nam tak niewiele mąki, ale i tak nie możemy nic z niej ugotować, jeśli nie będziemy mieć drewna na ogień. Najpierw zwracamy się o pomoc do Boga, a potem do was. Prosimy was o pomoc.

Ci uchodźcy pochodzą z Majmany, jednego z najdalej wysuniętych na północ afgańskich miast. Przebyli naprawdę długą drogę.

– Jak tu dotarliście? – chciałam wiedzieć.

– Przez pustynie i góry. Większość drogi pokonujemy pieszo, tylko kawałek na osłach.

Podróż zajęła im ponad sześć tygodni.

Zapytałam jedno z dzieci:

– Kiedy mieszkaliście w tamtym mieście – chodziło mi o Kwetę – co robiliście razem z innymi dziećmi przez cały dzień?

– Każdego dnia szliśmy na targ, żeby znaleźć pracę, ale rzadko nam się udawało.

Jedna z kobiet wyjaśniła:

– W Kwecie często spotykaliśmy się z prześladowaniami. Tu w obozie policja nam nie dokucza, mamy więcej spokoju. Prosimy jedynie o trochę żywności i wsparcia.

Kiedy opuszczamy obóz, właśnie wjeżdża do niego cysterna z wodą. Wszyscy mieszkańcy bardzo cieszą się na jej widok, najbardziej żywiołowo reagują jednak dzieci. Zachowują się tak, jakby wreszcie doczekały się gwiazdki.

Taka chwila z całą pewnością nadaje życiu właściwą perspektywę. Zatrzymujemy auto i wysiadamy, żeby przyrzeć się dystrybucji wody.

Większość mieszkańców nie jest w stanie zapłacić stu rupii miesięcznie na rodzinę za wodę, więc muszą czerpać ją ze strumienia. W rezultacie chorują na dyzenterię.

Niedożywione dzieci często umierają z powodu biegunki.

Pracownicy UNHCR obawiają się, że bez finansowego wsparcia wkrótce będą musieli zaprzestać dostarczania wody.

Pokazują nam, jak działa pompa. Młodzi chłopcy stoją z boku i przypatrują się temu z poważnymi minami. Słyszeli naszą rozmowę.

Nagle woda zaczyna płynąć. Chłopcy przebiegają pod jej strumieniem, wszyscy wybuchamy śmiechem.

Kiedy znalazłam się już z powrotem w kabinie ciężarówki, uświadomiłam sobie, jak bardzo będzie mi tych ludzi brakowało.

Spodziewałam się, że kiedy ujrzę ich twarze, będę im współczuć. Jak mogłoby być inaczej? Jednego jednak nie przewidziałam. Po wszystkich tych wizytach nabrałam przekonania, że gdybyśmy tylko mieli więcej czasu, z pewnością zostalibyśmy przyjaciółmi.

Połączyła nas nić porozumienia.

Dzieliłyśmy się z tymi kobietami opiniami, łączyły nas śmiech, sztuka, miłość do naszych mężów, marzenie o lepszej przyszłości dla naszych dzieci. I pragnienie, by czuć, że mamy w tym życiu jakiś cel.

Nasz kolejny przystanek stanowią punkty medyczne, których jest w obozie dwa. Każdy ma pod opieką dziesięć tysięcy uchodźców. Pracuje w nich dwoje lekarzy. Zaledwie dwoje lekarzy na dwadzieścia tysięcy uchodźców – kobieta i mężczyzna.

Punkty medyczne są jednak świetnie zorganizowane. Co miesiąc składają UNHCR raporty. Tutejsi lekarze są bardzo dumni, że wszystkie dzieci w obozie zostały zaszczepione.

Największymi problemami są dyzenteria w przypadku dzieci oraz choroby dróg oddechowych zimą.

Lekarka właśnie rozmawia z jakąś kobietą. Na nasz widok pacjentka pospiesznie zakrywa twarz chustką. Widać tylko jedno z jej oczu. Nasze spojrzenia się spotykają, podczas gdy lekarka wita resztę moich towarzyszy. Kobieta chwytą tymczasem leżącą na podłodze burkę i zakłada ją przez głowę, po czym nagle cała znika pod tym przypominającym namiot strojem, jej ciało, figura i twarz to zupełnie jak niebieskie prześcieradło z wieloma niewielkimi dziurkami w miejscu na oczy.

Chciałaby popatrzeć na nią przez te otworki, jednak się powstrzymuję. Mam ochotę się do niej uśmiechnąć i chociaż nie wiem, czy to stosowne, tak właśnie robię. Nie widzę jej twarzy, więc nie mam pojęcia, jaka jest jej reakcja.

Dowiaduję się, że dzisiaj jest dzień walki z gruźlicą.

Kobieta czeka razem ze swoim bratem na zewnątrz na wyniki badania.

W niewielkiej białej lodówce znajdują się szczepionki.

– Nie ma prądu – lodówka jest podłączona kablem do generatora na benzynę.

Dziewczynka z porażeniem mózgowym leży na białym prześcieradle, podczas gdy jej matka przy pomocy jeszcze jednej kobiety starają się ją rehabilitować. Dziewczynka leży w milczeniu, podczas gdy obie kobiety poruszają jej rękami i nogami.

Wracamy do Kwety. Podróż zajmuje nam trzy godziny.

Suzu zatrzymała się po drodze, żeby zrobić kilka zdjęć.

Wysiadłam z auta. Znajdowaliśmy się w samym środku pustkowi – żadnego cienia, nie ma gdzie się schronić.

Myślę o tych wszystkich kobietach i dzieciach, które wędrowały w palącym słońcu przez prawie dwa miesiące. Nie mam pojęcia, jak zdołali to przetrwać – niosąc przy tym cały swój dobytek, praktycznie bez jedzenia. I jak znajdowali po drodze wodę?

Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co muszą czuć uchodźcy, kiedy po tylu trudach docierają w jakieś miejsce i słyszą: „Nie jesteście tu mile widziani, nie chcemy was w naszym kraju ani w obozach”.

W Pakistanie już mieszka około dwóch milionów uchodźców. Zdaniem wielu osób ta liczba jest jeszcze wyższa.

Jakie to musi być wspaniałe uczucie, kiedy człowiek natyka się na grupę ludzi takich jak pracownicy UNHCR, którzy witają cię serdecznie i starają ci się pomóc – którzy poświęcają swój czas, by cię wysłuchać, by zarejestrować ciebie i twoją rodzinę, dzięki czemu będziecie się wreszcie mogli ubiegać o wsparcie.

Wyobrażacie sobie, jakie to musi być uczucie, gdy prawie umieracie z głodu, a ktoś ofiarowuje wam jedzenie?

Nic dziwnego, że ci uchodźcy są wdzięczni za najmniejszą drobnostkę.

Całą trzygodzinną podróż powrotną przez tę spaloną słońcem ziemię odbyliśmy w milczeniu. Nawet radio nie grało. Miałam mnóstwo czasu na przemyślenia.

MIEJSCE UCHODŹCY W KWECIE

W Pakistanie mieszkają trzy rodzaje uchodźców z Afganistanu.

Pierwsi zjawili się tu dwadzieścia lat temu po wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim.

Druga fala napłynęła tu w latach 1995 i 1996, po przejęciu władzy przez talibów.

Trzecia grupa przybyła tu w ostatnich trzech latach z powodu obecnych walk oraz suszy.

Tutaj w Kwecie pracują nawet dzieci uchodźców.

Życie w mieście nie odbiega zbyt od tego w obozach na wsi. Jedyne różnica polega na tym, że tutaj mają dostęp do handlu, za to w odróżnieniu od obozów muszą płacić za mieszkanie i naukę.

Dzieci często nie są posyłane do szkoły, by mogły pracować. Miejskowa świetlica środowiskowa to jedyne miejsce, w którym przez godzinę dziennie mogą pobierać naukę. Godzina to jedyny czas, jaki mogą przeznaczyć na ten cel, zamiast poświęcić go na pracę, która jest dla nich najważniejsza. Pracownicy świetlicy oferują im chleb i herbatę, żeby zachęcić ich do przychodzenia.

Ośrodek został założony przez organizacje *Oxfam* i *Save The Children*. Dzieci uczą się tutaj liczenia oraz czytania i pisanie. Spory nacisk kładzie się też na naukę czystości – sprzątania i dbania o higienę osobistą.

Lekarze tłumaczą nam:

– Dzieci muszą się tego uczyć, ponieważ wiele z nich pracuje przy zbieraniu śmieci.

– Po zakończeniu nauki podstaw dostają poczęstunek składający się z herbaty i chleba oraz apteczkę pierwszej pomocy.

Poznałam tam chłopca o wielkich oczach i brudnych dłoniach naznaczonych wieloma nacięciami. Powiedział mi, że pracuje przy zbieraniu śmieci i że dostaje dwie rupie za każdy kilogram. Dwie rupie to odpowiednik dwóch centów (1 dolar to 63,95 rupii, a jedna rupia – 0,0156372 dolara).

Chłopiec uśmiecha się, wydaje się taki niewinny. Nie zdaje sobie sprawy, jak niesprawiedliwa jest ta sytuacja.

Zapytałam inne maluchy, czy one również zbierają śmieci. Większość z nich podniosła rękę. Pozostałe pracują ze swoimi rodzicami na targowisku.

Zapytałam jedno z dzieci:

- Chcesz wrócić do Afganistanu?
- Tak, ale mój kraj nigdy nie będzie wolny.
- Kto powie nam abecadło?

Wszystkie maluchy czym prędzej podnoszą ręce, by ubiec resztę.

Ostatecznie wybór pada na małego chłopca, który wstaje, a potem grzecznie założywszy rączki z tyłu, słodkim głosem zaczyna recytować:

– A, B, C, D...

Płaczę. Nie dam rady. Została nam jeszcze jedna sala do odwiedzenia.

Stoję pod drzwiami. Jeszcze nie zaproszono mnie do środka. Widzę stos małych butów. W końcu wchodzę. Wszystkie dzieci się uśmiechają. Są takie uprzejme dla mnie, obcej osoby.

– *Salam alejkum.*

Ich historie wyglądają tam samo. To chyba najsmutniejszy widok na świecie, patrzeć na ich siniaki, podarte, brudne ubrania, pokaleczone palce, podczas gdy one z uśmiechem opowiadają ci o swoim życiu. To tylko dzieci. Nadal mają marzenia. Wydają się tak pełne nadziei, że na ich widok coś aż ściska człowieka za serce.

Kiedy odjeżdżamy, wszystkie dzieci wybiegają na zewnątrz i ustawiając się pod ścianą, machają nam na pożegnanie. Razem z Zahidą próbujemy dyskutować w aucie o rozmaitych programach pomocowych i Konwencji o prawach dziecka, jednak obie nie jesteśmy w stanie powstrzymać łez.

Na ulicach widzimy kolejne maluchy zajęte zbieraniem odpadków.

Brak mi słów.

SOBOTA, 25 SIERPNI

Wróciliśmy samolotem do Islamabadu. Mam wrażenie, że minął miesiąc, odkąd opuściliśmy to miasto. Jestem taka zmęczona.

Poznaję Bernadette z tutejszego biura UNHCR. To właśnie ona zabiera nas w pierwsze miejsce. Wcześniej pracowała w Phnom Penh, w Kambodży, dlatego teraz mogła mi przekazać wiadomość od Marie-Noëlle, którą tam spotkałam. Przez chwilę rozmawiamy o naszej wspólnej przyjaciółce i Kambodży.

(Kilka tygodni po tym, jak pożegnałyśmy się w Bangkoku, Marie-Noëlle otrzymała niespodziewanie zawiadomienie o przeniesieniu jej do biura UNHCR na Sri Lance. Wszystko trwało nie dłużej niż parę tygodni. Zastanawiam się, jak się jej tam układa. Takie nagle przenosiny to w UNHCR typowa praktyka. Jedna z największych niedogodności w tej pracy).

To naprawdę krzepiące, że można czuć równie silną więź z kimś znajdującym się na drugim końcu świata.

Pracownikom UNHCR przyświeca idea, by szanować i doceniać inne kraje, odmienne kultury. Taka właśnie jest istota istnienia ONZ.

OŚRODKI ZDROWIA IMIENIA AGI CHANA

Programem kieruje doktor Javeed Akhtar Khan. Połowa personelu to płatni pracownicy, reszta wolontariusze, którzy pomagają tu w zamian za „religijne błogosławieństwa”.

Wszystkich łączy wspólny cel – pomoc afgańskim uchodźcom zamieszkującym tereny miast.

Niestety, UNHCR nie ma dość funduszy, by pomóc ponad milionowi ludzi zamieszkujących obozy. Nie jest więc również w stanie otoczyć opieką „miejskich” uchodźców,

których liczba sięga od siedmiuset tysięcy do dwóch milionów – nie sposób tego ustalić.

W Pakistanie mieszka również niewielka grupka uchodźców pochodzących nie z Afganistanu, a z Somali, Iraku oraz Iranu. Ich liczba sięga tysiąca siedmiuset osób, mieszkają głównie w większych miastach i otrzymują ograniczoną pomoc z UNHCR. Organizacja zapewnia im niewielkie zapomogi na pokrycie kosztów jedzenia, mieszkania, opieki zdrowotnej oraz edukacji jak również pomocy prawnej i psychologicznej. Stara się również znaleźć trwałe rozwiązania ich problemów.

Wchodzimy do sali, w której znajduje się około dwudziestu pięciu kobiet.

- Nasze dzieci nie chodzą do szkoły.
- Wielu z naszych mężów i braci nie może znaleźć pracy.
- Ciężko nam opłacić czynsz i czesne za szkołę.

Jak ci ludzie w ogóle sobie radzą?

Ojcowie rodzin często sprzedają owoce, a matki pracują jako służące w pakistańskich domach.

- Nie wiemy, co nas czeka.
- Nasze dzieci nie mają przyszłości.
- W jednym pokoju mieszka dziesięć osób.
- Policja was nie prześladowuje? – pytam.
- Oczywiście, że tak. Zwykle po prostu próbują wymusić

od nas pieniądze.

Dowiaduję się, że policjanci zawsze domagają się od nich okazania dowodu tożsamości lub paszportu.

Nawet ci, którzy posiadają takie dokumenty, często muszą płacić. Jeden z mężczyzn opowiedział nam historię swojego przyjaciela, który pokazał policjantom paszport, a ci podarli dokument na jego oczach. To był jego jedyny dowód tożsamości.

- To nasza wina – mieszkamy tu nielegalnie. Oni są u siebie. Ale co mamy zrobić? Nie możemy mieszkać w swojej ojczyźnie, bo tam czeka nas śmierć. Cóż więc mamy począć?

– Jak opisałybyście sytuację w Afganistanie? – pytam.

– Straszna.

– Jaką wiadomość chcielibyście przekazać światu – międzynarodowej społeczności, ONZ?

Nagle wszystkie zaczynają mówić jedna przez drugą.

Jedna z kobiet tłumaczy.

– Chcemy pokoju. Chcemy móc kontynuować naukę. Jeśli któregoś dnia będziemy mogli wrócić do Afganistanu, sami będziemy pomagać naszym rodakom.

Szkoły muszą pobierać od kobiet i dzieci opłaty za naukę. To naprawdę trudne domagać się od tych biednych ludzi pieniędzy, ale tylko w ten sposób placówki mogą się utrzymać.

– Nawet jeśli są w stanie płacić jedynie niewielkie sumy, wszystko w porządku. Nadal będziemy ich uczyć. – Ta kobieta uśmiecha się do mnie i mówi z życzliwością, tak bardzo stara się mi pomóc to wszystko zrozumieć.

– Nasi sąsiedzi nie chcą nas tutaj. Ciągłe jesteśmy w niebezpieczeństwie – odzywa się kolejna kobieta.

– Mieszkamy tu od ośmiu lat. Moje dzieci od ośmiu lat nie chodzą do szkoły. Nie mają żadnej przyszłości.

– ONZ powinno nas wesprzeć. Błagamy, potrzebujemy pomocy. Inaczej nie zdołamy tu przetrwać.

Jak mam wytłumaczyć tym kobietom, że UNHCR nie ma funduszy? Świat zewnętrzny nie potrafi zdobyć się na większy wysiłek.

Jedna z kobiet tłumaczy mi, że zjawia się tu mnóstwo ludzi, by z nimi rozmawiać, a jednak mieszkańcy obozu nie otrzymują wystarczającej pomocy.

– Ale przynajmniej tutaj, w Pakistanie, nadal żyjemy. Choć borykamy się z wieloma problemami, jesteśmy wdzięczni za życie.

Odwiedzamy dzieci. Poznają tam ośmiolatka, który w szczerbatym uśmiechu ujawnia brak dwóch jedynek.

Pytam go:

– Kim chcesz zostać, kiedy dorosniesz?

– Lekarzem.

– Pracujesz?

– Tak, tkam dywany.

Pokazuje mi potężne rozcięcia na palcu.

Dzieci wstają zgodnie na powitanie i pożegnanie, mówią cienkimi głosikami: „Dzień dobry, proszę pani” i „Do widzenia, proszę pani”.

Uczą się na zmiany, między siódmą rano a dziesiątą wieczorem. Dorośli mają zajęcia w nocy.

Zaproszono mnie do domu kultury, w którym dzieci i młodzież miały zaprezentować przedstawienie o chłopcu, który nie chciał się uczyć.

Główny bohater chodził po scenie z walkmanem na uszach i zachowywał się naprawdę paskudnie. Z czasem jednak pozostałym dzieciom udało się go przekonać, że szkoła może być fajna. Sztuka była jednocześnie zabawna i poważna, a na dodatek świetnie odegrana.

Później odbył się koncert tradycyjnej i współczesnej muzyki afgańskiej.

Te programy artystyczne zostały przygotowane specjalnie dla uchodźców.

Występujący na scenie artyści, młodzi tancerze i śpiewacy mieli od trzech do siedemnastu lat.

Uświadomiłam sobie, jak ważne są dla nich te występy, tym bardziej, że w ojczyźnie nie mogliby w czymś podobnym uczestniczyć. W Afganistanie przedstawienia, filmy, telewizja, taniec i muzyka zostały przez talibów zakazane.

Postanawiam zdobyć zestawienie rzeczy, których uczy Koran, i tych, które zdaniem talibów można wyczytać z tej księgi oraz uświęconych tradycją nauk. Uważam, że to naprawdę ważne, byśmy wszyscy dostrzegali i rozumieli takie różnice.

NIEDZIELA, 26 SIERPNI

Siedzę w samolocie do Genewy.

Znalazłam się na zewnątrz dopiero co poznanego świata – tak się właśnie czuję.

Zdarzały się chwile, kiedy czułam się tak, jakbym właśnie uciekła z piekła.

Teraz zostałam z niego wyrwana i uniesiona w górę.

Spotkałam tylu cudownych ludzi, którzy zdołali przetrwać nawet w tak strasznych warunkach.

Nie mogę pozbierać myśli.

Trochę to potrwa, zanim dojdę do siebie po tej podróży, chociaż mam nadzieję, że tak się nigdy nie stanie.

Umysł próbuje zapomnieć o wszystkich tych rzeczach, ponieważ to za bardzo boli, zbyt mocno ciąży na sercu i duszy.

Jestem zmęczona ciągłym płaczem i poczuciem bezradności. Tak bardzo chcę móc znowu swobodnie zaczerpnąć tchu – choć przez chwilę. A potem zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc tym ludziom. Jak mogłabym postąpić inaczej – kiedy już ich poznałam, kiedy zobaczyłam to wszystko na własne oczy.

POSTSCRIPTUM

Jakieś dwa tygodnie po opisanych tu wydarzeniach nadszedł 11 września 2001 roku. Dzień tak szokujący i tragiczny, że nie sposób opisać tego słowami. Cały świat, co zupełnie zrozumiałe, pośpieszył na ratunek ofiarom zamachów i ich rodzinom.

Nie zapomniałam jednak o afgańskich rodzinach, które poznałam kilkanaście dni wcześniej, zdecydowałam się więc opowiedzieć o ich trudnym położeniu i sama wpłaciłam datki na ten cel. W kolejnych dniach trzykrotnie grożono mi śmiercią, w tym raz przez telefon (nadal nie mam pojęcia,

jak ten człowiek zdobył mój numer). Ten mężczyzna powiedział, że Afgańczycy powinni cierpieć za to, co zrobili w Nowym Jorku, i że życzy śmierci całej mojej rodzinie. Emocje wzięły nad nim górę, potrafię to zrozumieć. To był okres trudny dla nas wszystkich.

Dwa lata później Nowy Jork podjął starania, by odbudować miejsce, gdzie kiedyś stały bliźniacze wieże World Trade Center. Jak dotąd biuro UNHCR pomogło wrócić do Afganistanu prawie dwóm milionom ludzi.

Nadal potrzeba jednak wiele czasu i zgodnej pomocy ze strony międzynarodowej społeczności, by odbudować ten kraj.

MISJA W EKWADORZE

6 czerwca 2002 roku rozpoczęłam misję w Ekwadorze, by zapoznać się z sytuacją tamtejszych uchodźców pozostających pod opieką UNHCR.

Kolumbia to kraj nękany jednymi z najgorszych humanitarnych katastrof na półkuli zachodniej oraz cierpiący z powodu najpoważniejszych chyba na całym świecie problemów z przesiedleńcami wewnętrznymi. Oficjalne rządowe statystyki podają, że od 1995 roku takich osób było w tym kraju siedemset dwadzieścia tysięcy, natomiast organizacje pozarządowe oceniają tę liczbę na około dwa miliony. Zdaniem krajowego Stowarzyszenia Instytucji Finansowych (*Association of Financial Institutions*) tylko w ostatnim roku Kolumbię opuściło sto pięćdziesiąt osiem tysięcy jej obywateli. Tysiące rozpoczęły starania o uzyskanie statusu uchodźcy w innych krajach Ameryki Łacińskiej i Północnej, Europy oraz całego świata. Chociaż UNHCR zajmuje się przede wszystkim udzielaniem pomocy uchodźcom, od 1999 roku pracuje również z przesiedleńcami wewnętrznymi w Kolumbii na zaproszenie tamtejszego rządu.

Odkąd w lutym 2002 roku doszło do załamania procesu pokojowego, nasiliły się utarczki między lewicowymi partyzantami a prawicowymi grupami paramilitarnymi, co doprowadziło do kolejnych przesiedleń i niewypowiedzianych cierpień ludności cywilnej. 2 maja cały świat zaszokowała wiadomość o tragedii, jaka rozegrała się w północno-zachodniej dzielnicy miasta Bojayá, gdzie pociski z domowej roboty granatnika trafiły w kościół pełen uciekających z rejonu walk cywilów, zabijając sto dziewiętnaście osób, w tym czterdzieścioro ośmioro dzieci. 26 maja pięćdziesiąt trzy procent uprawnionych do głosowania Kolumbijczyków wybrało Álvaro Uribe Véleza na nowego prezydenta. Prezydent elekt, który ma objąć urząd w sierpniu, zobowiązał się podjąć zdecydowane kroki przeciwko Rewolucyjnym Siłom Zbrojnym Kolumbii (*Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – FARC*) oraz innym nieregularnym oddziałom, by wreszcie zakończyć ten trwający od czterdziestu lat konflikt.

CZWARTEK, 6 CZERWCA, SIÓDMA RANO

Siedzę na lotnisku w Los Angeles i myślę o tym, że minęło już osiem miesięcy od mojej ostatniej podróży w teren. Co prawda kiedy tylko mogłam, odbywałam krótkie jednodniowe wypadki w różne miejsca, ale jest coś, czego z jakże egoistycznych pobudek unikałam. Tej ucieczki od materialnego świata i zanurzenia się w życiu skoncentrowanym na niecierpiących zwłoki sprawach. Życiu ludzi skupionych wyłącznie na przetrwaniu własnym i swoich najbliższych. Na przetrwaniu w najbardziej podstawowym tego słowa znaczeniu, ale też na walce o obronę rodziny, kraju, wolności.

To będzie pierwsza noc, jaką spędzę z dala od mojego synka, Maddoxa. Nasze pierwsze rozstanie, odkąd trzy miesiące temu staliśmy się rodziną. To niedorzeczne, jak bardzo się wzruszyłam, kiedy dawałam mu buziaka na pożegnanie, zostawiwszy go pod opieką mojej mamy i mojego brata. Właśnie w tamtej chwili uświadomiłam sobie, jak ważni są najbliżsi.

A moi przyjaciele, ci, którzy są dla mnie niczym rodzina ...

No i jeszcze te wyjątkowe sytuacje, kiedy obcy ludzie stają się nam bliscy, tak jak pracownicy organizacji humanitarnych, których wkrótce poznam. Jak wszyscy, których spotkam. Nie stanowią rodziny. A jednak uczynili z pomagania obcym ludziom sens życia. Nietrudno zrozumieć, dlaczego tak szybko zawiera się w podobnych miejscach przyjaźnie.

Ekwador to jedno z najmniejszych państw Południowej Ameryki, nieco mniejsze od Newady, o powierzchni dwustu siedemdziesięciu sześciu tysięcy ośmiuset czterdziestu kilometrów kwadratowych. Graniczy jedynie z dwoma krajami: z Peru na południu i południowym wschodzie oraz z Kolumbią na północy. Najwyższym szczytem jest mie-

rzący sześć tysięcy dwieście sześćdziesiąt siedem metrów wysokości Chimborazo. Z kolei położona w Andach góra Cotopaxi to najwyższy czynny wulkan na świecie. Populacja Ekwadoru liczy trzynaście milionów sto osiemdziesiąt cztery tysiące mieszkańców, z czego sześćdziesiąt pięć procent to Metysi (potomkowie Indian i Hiszpanów), dwadzieścia pięć procent Indianie, siedem procent Hiszpanie, a trzy procent – Murzyni. Ekwador, który uniezależnił się od Hiszpanii w 1822 roku, składa się z dwudziestu dwóch prowincji.

Zaraz po wyjściu z samolotu zostałam serdecznie powitana przez przedstawicieli *Alto Comisionado de las Naciones Unidas par los refugiados* (ACNUR) – to hiszpańska nazwa UNHCR. A zatem to prawda, co powiedzieli mi kiedyś pracownicy UNHCR, że będę się czuła tak, jakbym miała rodzinę na całym świecie. Ludzi, których przyciągają w te same miejsca, dla tych samych celów podobne powody. Sądzę, że gdyby ich spytać, czemu to robią, powiedzieliby po prostu, że uchodźcy czy przesiedleńcy to chyba najbardziej bezbronni ludzie na całym świecie. Gdybyście ich jednak poznali, przekonalibyście się, że są również jednymi z najwspanialszych i najzdolniejszych. To ludzie obdarzeni niezwykłym hartem ducha i wolą przetrwania.

Tutejszy personel UNHCR opowiada, jak trudno zwrócić uwagę międzynarodowej opinii na sytuację w tym właśnie zakątku świata. Walki, trwająca od czterdziestu lat wojna w Kolumbii zdają się tylko zaostrzać. Do wiadomości trafiają informacje o aktach przemocy, ale już nie o ich ofiarach czy ich rodzinach. Nie o ludziach z krwi i kości.

Nie ma tu dużych obozów, uchodźcy są rozproszeni po rozmaitych przytułkach i tego typu miejscach.

Dowiaduję się również, że trudno przekonać uchodźców do zwierzeń, kontaktów z mediami, ponieważ obawiają się oni bojowników, którzy również przedostali się przez gra-

nicę i nie życzą sobie podobnego rozgłosu. Jak się okazuje, tego rodzaju obawy są jak najbardziej uzasadnione, bo wielu ludzi rzeczywiście zostało zamordowanych.

Ponieważ dotarliśmy na miejsce w nocy, jedziemy prosto do pensjonatu, w którym mam się zatrzymać. W pokoju znajdują dodatkowe koce i niewielki grzejnik. Cieszę się, że jest chłodniej, niż się spodziewałam. Moi towarzysze chyba domyślali się, że tak będzie. Panie z tutejszego oddziału UNHCR kupiły mi ponczo – na wypadek gdybym nie zabrała ze sobą wystarczająco dużo ciepłych rzeczy.

PIĄTEK, 7 CZERWCA, SIÓDMA PIĘTNAŚCIE

Śniadanie, podczas którego odbędziemy od razu odprawę.

Pierwsze biuro UNHCR na terenie Ameryki Południowej zostało założone w Buenos Aires w Argentynie, by pomagać ofiarom rządowych rozłamów w regionie. W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia UNHCR otworzyło oddział regionalny w Limie, w Peru, a w latach dziewięćdziesiątych w Caracas, w Wenezueli, by objąć swoim zasięgiem północne rejony kontynentu, oraz w Panamie, przede wszystkim ze względu na ofiary wojny domowej w Kolumbii. Sytuacja pogarszała się jednak coraz bardziej, co zaowocowało otwarciem placówki w Bogocie oraz trzech innych prowincjach Kolumbii. W 2000 roku powstało kolejne biuro, tym razem w Quito w Ekwadorze.

Dowiaduję się, że każdego roku liczba wewnętrznych przesiedleńców w Kolumbii rośnie. Potem ktoś dodaje:

– A do tego ludzie giną tu każdego dnia.

Słyszę również, że z pewnością szybko zauważę różnicę w porównaniu z innymi krajami, które odwiedziłam. Większość uchodźców mieszka tutaj w miastach, zwykle w niewielkiej liczbie. Zazwyczaj są to wykształceni specjaliści

w konkretnych dziedzinach, a nie rolnicy. Ludzie przyzwyczajeni wieść życie podobne zapewne do waszego, osób czytających te słowa.

Poszczególne agendy ONZ pracują nad tym, by stworzyć „wspólny dom”. Starają się prowadzić biura terenowe wspólnie wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. W Quito UNHCR oraz inne agentury ONZ mają swoje siedziby w jednym budynku. Wydawałoby się więc, że naturalną konsekwencją takiej sytuacji powinna być zgodna współpraca ich przedstawicieli, jednak nie zawsze tak się dzieje. Teraz słyszę jednak, że Sekretarz Generalny coraz bardziej naciska na podobną koordynację działań. Dlatego właśnie w Ekwadorze wszystkie jednostki ONZ: WFP, UNDP, UNICEF oraz UNHCR, współpracują ze sobą.

W większości demokratycznych krajów nie powinno to jednak być regułą, a czymś wyjątkowym. Kolumbia jest krajem demokratycznym, a jednak potrzebna jest tu pomoc takich organizacji jak UNHCR czy Czerwonego Krzyża.

„Ochrona” to słowo, które często przewija się w porannych rozmowach. Opieka nad niemal dwudziestoma milionami przesiedleńców to podstawowe zadanie UNHCR. Organizacja zajmuje się tym na kilka różnych sposobów. Korzystając z Konwencji Genewskiej z 1951 roku o statusie prawnym uchodźców jako swojego podstawowego narzędzia, UNHCR walczy o zagwarantowanie tych wyrwanym z dotychczasowego życia ludziom poszanowania ich podstawowych praw i tego, by nie byli odsyłani przymusowo do kraju, w którym spotkają się z prześladowaniami. W dłuższym okresie UNHCR wspiera cywilów w powrotach do ojczyzny, integrowaniu się ze społeczeństwem krajów, które ich przyjęły, albo przenosinach do jeszcze innego państwa.

Wykorzystując swoją obejmującą cały kraj sieć biur terenowych UNHCR stara się również zapewnić podopiecznym

przynajmniej podstawowe wyżywienie, dach nad głową, dostęp do wody oraz opiekę medyczną.

Kiedy spotkanie dobiega końca, czuję się przytłoczona zawilocią tej sytuacji. Jestem oszołomiona, jednak jedno wiem już na pewno – tyle jeszcze muszę się dowiedzieć. Można by pomyśleć, że łamanie praw człowieka podczas kryzysu humanitarnego równie poważnego jak ten, z którym mamy do czynienia w tej części świata, wzbudzi większe zainteresowanie mediów. Żebyśmy wszyscy się o tym dowiedzieli.

Siedemdziesiąt cztery procent terytorium Kolumbii znajduje się pod kontrolą partyzantów oraz rozmaitych grup paramilitarnych. Większość z czterdziestomilionowej populacji żyje w dwudziestu pięciu procentach wielkich miast nadal kontrolowanych przez demokratycznie wybrany rząd. W przeważającej części to tereny przygraniczne, na których grupy te mają w swojej władzy większość zasobów narkotyków, ropy, kawy, szmaragdów. Kto kupuje je od tych ludzi? Kto kupuje te wszystkie towary i wspiera w ten sposób rebeliantów?

Na tych siedemdziesięciu czterech procentach powierzchni kraju rząd jest bardzo słaby albo praktycznie nieobecny. W takich regionach państwo nie zapewnia praktycznie żadnej ochrony, dlatego jednym z głównych partnerów UNHCR jest tam Kościół katolicki. Podobnie sytuacja przedstawia się w całej Południowej Ameryce.

Tym razem odwiedzę jedynie Ekwador. Wszyscy przypominają mi, że zobaczę zaledwie niewielką część znacznie poważniejszego przedsięwzięcia. Biura UNHCR działają w samej Kolumbii, a także w graniczących z nią Wenezueli oraz Ekwadorze. Organizacja obejmuje swoim zasięgiem również Panamę, jednak granicę stanowi w tym przypadku podmokła dżungla – jedno z najbardziej niedostępnych

miejsc na świecie. Podobnie jest w przypadku granicy z Peru, również znajdującego się w zasięgu działań UNHCR, oraz z Brazylią.

Kolejne odprawy: masakry i porwania – trzy tysiące rocznie. Przeciętnie dziewięć – dziesięć osób dziennie.

Chociaż w ostatnich trzech latach coraz więcej osób ucieka z Kolumbii, większość jej obywateli – cywilnych ofiar wojny – pozostaje w ojczyźnie. Mnóstwo więc tu przesiedleńców wewnętrznych. Wygląda na to, że niełatwo w ich kraju o pomoc i zrozumienie. Pewnie trudniej też uświadomić międzynarodowej społeczności powagę sytuacji. Ostatnie dane wskazują, że każdego dnia musi uciekać z dotychczasowego miejsca zamieszkania od pięciuset do dziewięciuset osób. Pytam, dlaczego zostają w kraju. Któryś z pracowników UNHCR tłumaczy mi, że powodem często jest praca, na której znalezienie mają w Kolumbii większe szanse.

W tym jednym z najdłuższych trwających konfliktów zbrojnych na terenie Kolumbii zginęły setki tysięcy ludzi, a ponad półtora miliona straciło dach nad głową. Tysiące uciekły do państw ościennych: Wenezueli, Panamy i Ekwadoru. W 2001 roku około dwa tysiące Kolumbijczyków złożyło wnioski o azyl w Ekwadorze, podczas gdy rok wcześniej było takich osób zaledwie trzydzieści. W pierwszej połowie 2002 roku podobnych podań wpłynęło już dwa tysiące sto dziewięćdziesiąt osiem. Uchodźcy z Kolumbii znaleźli się również na siódmym miejscu pod względem liczby wniosków o azyl złożonych w całym świecie uprzemysłowionym między styczniem a majem 2002 roku.

Cztery lata wcześniej jeden z kandydatów na prezydenta zwyciężył w wyborach właśnie dzięki nawoływaniu do pokoju. W lutym ubiegłego roku proces pokojowy zakończył się jednak niepowodzeniem. W tych wyborach zwyciężyła mowa nienawiści. Użycie siły w celu rozwiązania obecnej sy-

tuacji – mogę sobie tylko wyobrazić, jak podobne metody odcisną się na mieszkańcach Kolumbii. Pracownicy organizacji humanitarnych już przygotowują się na skutki zaostrezenia konfliktu.

Odwiedzam biuro ulokowane w kościele, by wysłuchać historii osób ubiegających się o azyl oraz tych posiadających już status uchodźcy. Dyrektorem miejscowego Komitetu na rzecz pomocy uchodźcom, organizacji współpracującej tu w Quito z UNHCR, jest Erta Lemos, która twierdzi, że bardzo podoba jej się bycie misjonarzem sprawy migrantów. Ma miły uśmiech i pierścień w kształcie krucyfiksu, który nosi na palcu serdecznym. Na ścianach wiszą plakaty UNHCR przedstawiające dzieci z całego świata. Jedno z nich wygląda zupełnie jak Maddox.

Erta wyjaśnia nam, jak funkcjonuje jej biuro. Przyjęcia ludzi ubiegających się o azyl rozpoczynają się o siódmej rano. Najtrudniejsze są przypadki osób prześladowanych przez grupy paramilitarne. Zwykle są to samotni rodzice lub same dzieci. Często trafiają się wśród nich ofiary tortur.

– Tacy ludzie potrzebują również wsparcia emocjonalnego i duchowego.

Najpierw przeprowadzany jest krótki wywiad, by sprawdzić, czy istnieją podstawy do ubiegania się o azyl. Jeśli tak, wypełnia się stosowne formularze w celu udokumentowania sytuacji przyszłych azylantów, potem czeka ich jeszcze cała seria rozmów. Każdego dnia do biura trafia dwadzieścia pięć do trzydziestu takich spraw. Każda z nich jest inna. Czasem chodzi na przykład o matkę z siedmiorgiem dzieci, a więc łącznie o osiem osób. Biuro współpracuje blisko z rządem Ekwadoru na rzecz ludzi szukających azylu w tym państwie.

Kiedy odwiedzam siedzibę UNHCR, przez okno widzę ludzi czekających na rozmowę. Jak zawsze w przypadku osób szukających schronienia, sprawiają wrażenie przybi-

tych, wręcz załamanych. Ich mowa ciała zawsze wygląda tak samo – lekko pochylona głowa, ręce zaciśnięte na plikach dokumentów czy niewielkich tobołkach.

Wchodzimy do budynku i ruszamy w głąb pełnego ludzi korytarza. Jeden z mężczyzn nosi w tę i z powrotem płaczące niemowlę. Pod ścianą siedzi kilkoro dzieci. Nie mam co do tego pewności, ale wyglądają, jakby były tu same.

Dowiaduję się, że za chwilę poznam człowieka, którego żona i dzieci zostali zamordowani na jego oczach.

– Przeżył wielką tragedię, ale czuje się już lepiej.

Erta właśnie wyszła, żeby go przyprowadzić. Jestem okropnie zdenerwowana.

To niewysoki mężczyzna w szaro-czarnym swetrze i roboczej koszuli. Widać, że próbował ubrać się jak najstaranniej na tę okazję, choć ma przecież tak niewiele. Jego sweter jest pełen dziur. Mężczyzna ma siwe, starannie zaczesane do tyłu włosy i takie smutne oczy. Wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat. Miła, przystojna twarz. Uprzejme zachowanie.

Mężczyzna tłumaczy, że pochodzi z tego samego regionu, w którym zaledwie trzy tygodnie temu doszło do kolejnej masakry. Pracownicy biura przypominają mu, że ma mówić wolniej, żeby nadążyli z tłumaczeniem.

Kiedyś miał niewielkie gospodarstwo, uprawiał kukurydzę. Wydaje mi się, że mówi tak szybko, bo nie chce pamiętać tych wszystkich strasznych rzeczy. Stara się to mieć jak najszybciej za sobą.

– Stać mnie nawet było na dżipa – dodaje.

Partyzanci zaczęli wymuszać od niego pieniądze.

Robi się coraz bardziej nerwowy. Zastanawiam się, czy dlatego, że cały czas piszę. Proszę pracowników biura o przekazanie mu, że nie wymienię jego imienia. Że po prostu staramy się uświadomić ludziom na całym świecie, jak wygląda sytuacja w jego ojczyźnie.

Mężczyzna ciągnie swoją opowieść. W wiosce zjawili się wojskowi i rozpoczęli regularną wojnę z partyzantami. Tymczasem ci oskarżyli go o wspieranie wroga. Doszło do masakry. Zginęło siedemdziesięcioro ludzi.

– Nie jesteśmy pewni ilu – mówi.

To byli partyzanci. Mężczyzna aż drży, kiedy opowiada o tym wszystkim, wciąż pocierając dłonie.

Pada kolejne pytanie po hiszpańsku, a oczy mężczyzny nagle wzbierają łzami. Nie jest w stanie wydusić słowa. William wyjaśnia:

– Zapytałem, jak zginęła jego rodzina.

Patrzę na mężczyznę, który wbija we mnie wzrok, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Proszę, nie każ mi o tym mówić”.

Kilka minut temu przerwałam pisanie. Mężczyzna bardzo starał się nie rozplakać. William powiedział mu, że nie ma problemu, może mówić wyłącznie o tym, czego oczekuje od UNHCR. Mężczyzna przeprasza. Potraficie to sobie wyobrazić? Ten człowiek przepraszał, bo nie był w stanie opowiedzieć o tym, jak zginęli jego bliscy.

Mężczyzna wstaje, podciąga koszulę i pokazuje nam ślady po kulach. Teraz to dwie blizny wielkości pięciocentówki.

– Wyleczyły mnie siostry. To już trzy lata – wyjaśnia. – biuro UNHCR pomogło założyć mały bar. Już mi lepiej. Kiedy tu przyjechałem, miałem tylko to, co na grzbiecie.

Potem mówi jeszcze, że nielegalne bojówki znajdują się również w Ekwadorze. Jemu też grozono śmiercią: „Nie zabiliśmy cię w Kolumbii, ale tu się nam nie wymkniesz”.

Pytam, dlaczego te paramilitarne organizacje uważają ludzi takich jak on za zagrożenie. Po prostu partyzanci zostali zabici w jego wiosce, w której był kimś w rodzaju miejscowego przedstawiciela władzy. Wyciąga stary zniszczony portfel, a z niego kartkę, która najwyraźniej jest dla niego wyjątkowo cenna. To jakiś urzędowy dokument. Dowód na to, że złożył

oficjalną skargę i że obawia się o swoje życie. Jak również podanie o przesiedlenie do innego kraju, ponieważ w Ekwadorze nie czuje się bezpiecznie.

Zanim wyszedł, podziękowaliśmy mu za to, że zgodził się z nami porozmawiać. William przeprosił, że z naszego powodu musiał przywoływać bolesne wspomnienia. Mężczyzna zebrał nasze puste kubki po kawie, pewnie z przyzwyczajenia. Uprzątnął biurko zupełnie jakby to był stolik w restauracji.

Kilka minut później wrócił i wręczył mi talerzyk z jedzeniem. William wyjaśnił:

– Ugotował to specjalnie na cześć naszego gościa.

Mężczyzna tylko się uśmiechnął. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Następna jest kobieta. Ma ze sobą ozdoby ze świeczek i kwiatów, żeby pokazać nam, czym zarabia na życie. Wyciąga zdjęcia syna. Na jednym z nich chłopiec ma trzy latka.

– Wtedy tu przyjechaliśmy – mówi, a następnie pokazuje nam fotografię do szkolnej legitymacji. – Teraz ma już osiem lat.

Pochodzi ze znaczącej rodziny. Mąż był prawnikiem, a kuzyn kandydował nawet na urząd prezydenta.

– Został zamordowany.

Jej mąż, który akurat zajmował się pewną sprawą, zaczął otrzymywać pogróżki, że nie powinien bronić tej konkretnej osoby. Pytamy dlaczego.

– Grozili mu handlarze narkotykami, więc pewnie miało to coś wspólnego z położeniem kresu ich działalności. Mąż nie przestraszył się pogróżek i nie zrezygnował ze sprawy. Wtedy zamordowali jego brata. Rząd dał naszej rodzinie ochronę. Okazało się, że handlarze narkotyków płacili tym ochroniarzom pieniądze za zabicie nas. Wtedy w końcu zdecydowaliśmy się na ucieczkę. Kiedy tu przyjechaliśmy, mąż nie mógł podjąć pracy. Obowiązuje tu inne prawo, a my nie jesteśmy stąd. Musiałam jakoś wykarmić

rodzinę i właśnie wtedy przypomniałam sobie, że potrafię robić takie rzeczy.

Wskazuje na ozdoby z kwiatów i świec, które ze sobą przyniosła.

– Siostry z obozu dla uchodźców pomogły mi zacząć produkcję, żebym miała jak zarabiać na życie.

Potem dodaje:

– I wtedy mój mąż zachorował i umarł.

Przy tych słowach wybuchą płaczem. Łzy nie przestają płynąć, potok słów jest coraz szybszy. Proszę Williama o przetłumaczenie. Kobieta opowiada teraz o tym, jak próbowała zarobić na lekarstwa dla męża.

Mężczyzna jednak zmarł, a ona została z synem sama. Nie przerywa swojej opowieści, patrzy jednak teraz za okno. Po policzkach wciąż spływają jej łzy.

– Mąż zmarł szesnastego września.

Próbujemy zmienić temat, żeby odwrócić jej uwagę od bolesnych wspomnień. Wypyтуjemy o wytwarzane przez nią ozdoby. Kupuję kilka z nich, do udekorowania pensjonatu UNHCR.

Po jej wyjściu poznajemy jeszcze chłopca, który właśnie dotarł tu z Kolumbii. On również przedstawił się imieniem i nazwiskiem, nie podaję tu jednak tych danych ze względu na jego bezpieczeństwo. 14 czerwca skończy szesnaście lat. Nerwowo mnie w dłoniach swój plecak. Jego wielkie brązowe oczy są takie szczerze.

– Mam dwóch braci, jeden skończył siedemnaście lat, drugi piętnaście. Mieszkamy teraz razem z ciotką, która pochodzi z Ekwadoru. Nie mamy ojca. W styczniu 2000 roku partyzanci zmusili mamę do przyłączenia się do nich. Zabrali ją ze sobą, a my zamieszkaliśmy z babcią. Partyzanci pozwolili nam odwiedzać mamę raz na trzy miesiące – w marcu i czerwcu 2000 roku. Zmuszali ją, żeby uczyła ich kompute-

rów i pisania. Ostatnim razem, kiedy byliśmy u niej z wizytą, ich dowódca próbował mnie przekonać, żebym do nich przysłał. Mama zdołała ich przekonać, żeby na razie dali mi spokój, ale kazała przekazać babci, że nie możemy zostać w domu. Babcia sprzedała wszystko, co mieliśmy, żeby starczyło na przeprowadzkę. Trzy miesiące później dowiedzieliśmy się, że mama uciekła. Teraz ukrywa się nie tylko przed partyzantami, ale i przed policją, bo ta uważa ją za rebeliantkę.

Zauważyłam ciemnoczerwoną plamę na jego dłoni. Znamię? Może ślad po oparzeniu.

– W kwietniu babcia zmarła. Przyjechaliśmy do Ekwadoru nielegalnie. Musieliśmy tak zrobić, bo nie mamy paszportów. Bardzo się baliśmy. Nie mogę tu chodzić do szkoły.

Pytam go, kim chciałby zostać, kiedy będzie już dorosły, czy lubi sport.

– Tak, ale zawsze miałem też dobre stopnie w szkole. Chcę zdobyć wykształcenie. Tylko najpierw muszę pomóc braciom, dopiero potem będę mógł pomóc samemu sobie.

Następna kobieta wkracza do pokoju już bardzo wzruszona, za co nas przeprasza. Akurat rozmawiała z siostrami o tym, dlaczego opuściła Kolumbię.

Obraca na palcu obrączkę. Musiała uciekać z kraju, ponieważ wojskowi zamordowali jej męża. Ma dziewięcioro dzieci: pięciu synów i cztery córki.

– Wyciągnęli mojego męża z domu kilka przecznic dalej i go zamordowali. Potem usłyszeliśmy, że mamy dwie godziny na wyniesienie się. Zapłakani poszliśmy na przystanek autobusowy. Tam zauważył nas jakiś mężczyzna, który dał nam trochę pieniędzy, żebyśmy mogli dotrzeć autobusem do granicy. Razem z dziećmi przekroczyliśmy ją pieszo. W końcu zatrzymał się jakiś kierowca ciężarówki i zapytał, co się stało. Opowiedziałam mu wszystko, a on ukrył nas na pace swojego auta pod kocem. Sprzedałam biżuterię, którą ze sobą mia-

łam, żeby kupić coś do jedzenia i wynająć pokój w motelu. Kilka dni później jego właściciel dał nam odrobinę słodyczy, żebyśmy sprzedali je na dworcach autobusowych i zarobili trochę grosza. Spotkałam rodaka z Kolumbii, który powiedział mi o tym miejscu. I o tym, że mogę starać się o azyl.

I właśnie wtedy tu przyjechała. To było w zeszłym roku, w grudniu.

– Przebywam tutaj legalnie, więc mogę pracować jako sprzątaczką. Wynajmuję nawet małe mieszkanie dla siebie i dzieci.

Wyciąga jakiś dokument – potwierdzenie, że jej wniosek o przyznanie statusu uchodźcy został rozpatrzony pozytywnie.

– W końcu moje dzieci będą mogły chodzić do szkoły.

Cieszy się, bo ludzie tutaj są tacy życzliwi, tacy serdeczni.

– Jestem ogromnie wdzięczna mieszkańcom Ekwadoru.

Dwie z osób, z którymi rozmawialiśmy, wspomniały o tym, jak bardzo zasmuciła je wiadomość o śmierci zakonnicy, która im pomagała. Kiedy wracamy już do auta, poznaję również tę historię. Zakonnica, o której mówili ci ludzie, zginęła w wypadku samochodowym. Jechały z nią jeszcze trzy inne siostry – dwie z nich również zginęły. Przyczyną wypadku była awaria hamulców. Zakonnice z tego brazylijskiego zgromadzenia pracują tutaj od dwudziestu lat. Siostra, którą dzisiaj poznałam, otrzymała list z pogrózkami, w którym ktoś pisał, że awaria hamulców nie była przypadkiem, więc powinna to potraktować jako ostrzeżenie. Przesłanie jest jasne – przestańcie pomagać Kolumbijczykom.

Rozmawiamy o tym wszystkim podczas obiadu.

Większość z uchodźców jest naprawdę cudowna, ale to przecież tylko ludzie. A poza tym jest ich tu trzy miliony.

Nic dziwnego, że niektórzy nie są w stanie wyjść z równie przerażających sytuacji z niezmaconym umysłem. Pracownicy UNHCR niejednokrotnie byli atakowani przez swoich podopiecznych.

Poznaję historię człowieka, który po raz kolejny złożył wniosek o azyl, kiedy jego poprzednia prośba rozpatrzona odmownie (przyczyną mogła być na przykład przeszłość kryminalna). Ten mężczyzna wyciągnął kanister z benzyną i oblał nią siebie oraz pracownika UNHCR, po czym się podpalił. Na szczęście pracownik UNHCR miał skórzaną kurtkę i zdołał się wyrwać z uścisku mężczyzny, który próbował zabić i jego, i siebie. Obaj przeżyli, odnieśli jednak poważne obrażenia. Później ten poparzony pracownik UNHCR otrzymał list od swojego napastnika, który przeproszał go za to, co się stało, tłumaczył, jak bardzo był zdesperowany, i prosił o pomoc. Należy jednak pamiętać – co pracownicy UNHCR wciąż podkreślają – że na każdego takiego agresywnego człowieka przypada tysiąc cierpliwych i uprzejmych uchodźców. Ludzi żyjących spokojnie, bez gniewu.

Rozmowa schodzi na poznaną wcześniej kobietę – tę, która wykonuje ozdoby z kwiatów i która opowiadała nam, jak ciężko pracowała, by zdobyć pieniądze na lekarstwa dla męża – ktoś, kto ją zna, tłumaczy mi podczas obiadu, że mąż tej kobiety tak naprawdę popełnił samobójstwo, zdawszy sobie sprawę, jak wielkim jest ciężarem dla swojej rodziny.

Zatrzymujemy się na targu indiańskim w Otavalo, gdzie można dostać rozmaite towary i rękodzieło – miejscu naprawdę sławnym w tej części świata. Kupuję ręcznie rzeźbione szachy – Hiszpanie kontra Indianie – i maleńki sweter z alpaki dla Maddoxa. Otaczają mnie ludzie o niesamowicie pięknych twarzach, ogorzali od słońca i pełni siły. Ich dłonie stanowią dobitne świadectwo życia wypełnionego ciężką pracą. Wielu mężczyzn ma długie czarne włosy zebrane

w kucyk i nosi miękkie kapelusze z filcu. Kobiety są ubrane w luźne bawełniane sukienki wyszywane w kwiaty. Ci ludzie są naprawdę zdolnymi kupcami, podobno mają klientów nawet w Nowym Jorku.

Małe gitary z pudłami rezonansowymi z pancerzy pancerników.

Ludzie na ulicach grają w coś, co nazywają tenisem, chociaż nie używają do tego rakiet, a rąk, którymi odbijają niewielką czarną piłkę. Przez chwilę obserwuję rozgrywkę, podczas gdy siedzący nieopodal mężczyzna gra na gitarze dla trojga swoich dzieci. Prosta, a jednocześnie tak bogata historia i kultura. Prosta za sprawą ich szczerego, nieskomplikowanego trybu życia. Człowiek czuje się między nimi lepiej niż w domu. To naprawdę coś cudownego i wyjątkowego – tak bardzo chciałabym, by ludzie na całym świecie mogli to docenić. Kiedy opuszczamy targowisko, ktoś mówi:

– Tutaj, w prowincji Imbabura, głównym składnikiem diety jest mięso świnek morskich. Należy je zamarynować dzień wcześniej, a potem upiec z sosem z orzeszków ziemnych. To bardzo chude mięso, lepsze niż z królika.

Nadal nie jestem pewna, co o tym sądzić.

Otrzymujemy kolejny telefon w sprawie zaginionego bagażu Lionella – walizki znajdują się obecnie w Mediolanie, ale mają przylecieć na miejsce o dwudziestej trzeciej. Będziemy musieli jechać po nie z powrotem do oddalonego o dwie godziny drogi Quito. Kilka minut później znowu telefon – okazuje się, że bagaż jednak nie przyleci.

SOBOTA, 8 CZERWCA

Wstałam o siódmej. Jest naprawdę zimno. Poprzedniego wieczora Włochy rozegrały ważny mecz. Dwóch pracowników UNHCR, którzy nam towarzyszą, pochodzi właśnie

z Włoch. Próby ustalenia wyniku meczu piłki nożnej w samym środku pustkowia są naprawdę zabawne. Najpierw powiedziano im, że Włochy wygrały dwa do zera, potem, że przegrali dwa do jednego. Nadal nie mamy pewności.

Kilka osób z naszej grupy zaspąło na śniadanie i trzeba je było budzić. Ponoć po części to wina faktu, że przebywamy na tak dużej wysokości. Z tego samego powodu zresztą swędzi nas skóra. A ja już się zastanawiałam, co spowodowało ten okropny świąd. Dziwne.

Tęsknię za Maddoxem. Nie mam pojęcia, jak pracownicy UNHCR radzą sobie w miejscach, do których nie mogą zabrać bliskich. Całymi miesiącami nie widzą się z dziećmi. Kiedy ich o to zapytać, opowiadają, jakie to trudne, pokazują zdjęcia. A przecież ludzie, z którymi pracują, często tracą dzieci. Oni przynajmniej mają pewność, że ich rodziny są bezpieczne.

Wybieramy się teraz do Ibarry. Tamtejsze biuro terenowe UNHCR jest niewielkie, dzieli siedzibę z miejscowym kościołem. Spotykam się z jego pracownikami, jak również uchodźcami oraz ludźmi ubiegającymi się o azyl.

Znajdujemy się w pobliżu granicy z Kolumbią. Nie możemy jednak jechać dalej, bo byłoby to zbyt niebezpieczne. To właśnie tutaj trafiają uchodźcy po przekroczeniu granicy. Biuro zostało zorganizowane w tym mieście w październiku z powodu stale rosnącej liczby uciekinierów z Kolumbii. Placówka obejmuje swoim zasięgiem około dwustupięćdziesięciokilometrowy odcinek granicy i pozostaje w ciągłym kontakcie z biurem terenowym w Kolumbii.

Granicę przekracza również wielu młodych ludzi, którzy nie chcą brać udziału w wojnie. To jeden z argumentów przemawiających za organizacją zajęć, dzięki którym mogliby zdobyć zapewniający utrzymanie zawód. Żeby mieli jakąś alternatywę w życiu.

Poznaję kolejną zakonnicę z Brazylii, również noszącą na palcu pierścionek w kształcie krucyfiksu. W 1998 roku biskup Ibarry, zaniepokojony rosnącą liczbą imigrantów, poprosił misjonarki o pomoc. Liczba uchodźców jest teraz nawet wyższa niż wtedy.

W tutejszym biurze, tak jak we wszystkich ekspozyturach UNHCR, pracują opiekunowie społeczni, prawnicy, funkcjonariusze ochrony, wolontariusze, osoby zajmujące się rejestracją uchodźców oraz prowadzeniem rozmaitych programów pomocowych – właściwie z całego świata. Zorganizowali tu nawet coś w rodzaju domu-kryjówki, który mam odwiedzić później.

Od stycznia do czerwca 2002 roku do Ekwadoru przybyło trzy tysiące osób ubiegających się o azyl oraz tysiąc uchodźców.

Pracownicy UNHCR odnotowują wzrastającą liczbę nieletnich uciekających z kraju przed przymusowym wcieleniem do wojska. Dowiaduję się teraz, że mam porozmawiać z ludźmi dopiero co przybyłymi z Kolumbii. Widzę małżeństwo, następnie rodzinę z małym, na oko czteroletnim dzieckiem, oraz chłopca, który najwyraźniej jest tu sam. Jeden z mężczyzn ma ze sobą gitarę. Po raz kolejny obiecuję, że nie wymienię ich imion ani nazwisk w moich zapiskach. Wszyscy kiwają głowami, powtarzają: „tak, to ważne”. Chociaż są tutaj, nadal obawiają się o swoje bezpieczeństwo. Małżeństwo pokazuje mi na mapie, skąd pochodzą. Kiedy się ucieka z Kolumbii, drogi stanowią najtrudniejszy etap. Co kilka kilometrów człowiek natyka się na punkt kontrolny członków organizacji paramilitarnych albo partyzantów. Wojskowi mają listy – listy śmierci – i odbierają ludziom dokumenty. Czasami palą samochody albo po prostu zabijają ich pasażerów. Zdarza się, że z domu wyrusza ośmioosobowa rodzina, a na miejsce dociera jedynie troje z jej członków.

Właśnie dlatego wielu z przybywających do Ekwadoru ludzi jest w tak złym stanie psychicznym.

– Opuściliśmy dom 10 października ubiegłego roku. Partyzanci grozili mojemu mężowi.

Dodają jeszcze coś po hiszpańsku, a potem wszyscy się uśmiechają. To protestanci. Tamtego dnia nie było ich w domu z powodu nocnego czuwania. Kiedy rano wrócili, zastali jedynie zgłiszcza. Pracownicy UNHCR mają zdjęcia.

– Mamy trzech synów i córkę. Oddaliśmy im ten skromny dobytek, który nie spłonął w pożarze.

Opowiadają tę historię z uśmiechem na ustach.

– Baliśmy się, co może nas jeszcze czekać po tym pożarze, więc postanowiliśmy się wynieść.

Dotarli do Ibarry 22 drugiego października.

– Kochamy naszą ojczyznę – mówi kobieta – ale nasze życie jest dla nas o wiele cenniejsze.

Następny jest mężczyzna z gitarą i jego żona. Ich mały synek siedzi na kolanach jednej z pracownic biura i zajada bananowe chipsy. W ojczyźnie ojciec chłopca prowadził niewielkie gospodarstwo rolne.

– Ziemia nie należała do mnie, ale to ja ją uprawiałem.

W okolicy pojawiły się uzbrojone oddziały paramilitarne i partyzanci. Nigdy nie wiadomo, kto jest kim, bo ani jedni, ani drudzy nie noszą żadnych mundurów.

– Czasami po prostu wpadali do wioski i krzyczeli: „Oddajcie nam wszystko, co macie, chcemy jeść”. Nigdy się nie opierałem i nie pytałem nawet, kim są. 25 października zjawili się trzech mężczyzn. Przyszli pod sam dom i zażądali jedzenia. Nie wiedziałem, że ich przeciwnicy obserwowali nas gdzieś z ukrycia. Kiedy szedłem do warsztatu, zatrzymało mnie dwóch mężczyzn. Było już po dziewiętnastej, zapadał zmrok, ale i tak widziałem, że za nimi stała cała grupa.

Powiedzieli: „Pomagasz partyzantom”. I wtedy zrozumiałem, że to wojskowi. „Opróżnij kieszenie”, zażądali. Tak właśnie zrobiłem, wyrzuciłem wszystko na ziemię. „Daj papiery”, powiedzieli, a potem zabrali mi dokumenty. „Teraz znajdziemy się w każdym zakątku Kolumbii. Jeśli przyjdzie nam ochota, możemy cię zabić”.

Członkowie oddziałów paramilitarnych często zabierają ludziom dowody tożsamości. Mają komputery i sieć kontaktów w całym kraju.

– Powiedzieli mi, że mam dwadzieścia cztery godziny na to, żeby się wynieść albo spalą mój dom razem z całą rodziną w środku. Uciekłem więc razem z żoną i naszym synkiem Fernando.

Kiedy wymawia imię synka, chłopczyk podnosi głowę i uśmiecha się do niego. Męczy go kaszel.

– Na szczęście znaleźmy ludzi tu w Ekwadorze, więc zatrzymaliśmy się u nich przez osiem dni.

Pytam, czy nie chcieli zostać gdzieś bliżej granicy. Wszyscy wybuchają śmiechem. Samotny chłopiec wyznaje, że za bardzo się boi, żeby coś powiedzieć. Dowiaduję się tylko, że próbowała go zwerbować jedna z nieregularnych grup zbrojnych. Od czasu ostatnich wyborów taki przymusowy werbunek zdarza się coraz częściej. Nie znam stanowiska UNHCR w tej kwestii, ale to chyba jasne, że rozmaite grup przygotowują się do wojny, starając się zwiększyć liczebność swoich oddziałów.

Wszyscy odprowadzają nas do samochodów. Oba małżeństwa ściskają mi dłoń, dziękują. Czuję się paskudnie – przecież nic dla nich nie zrobiłam.

Następny przystanek – warsztat ciesielski. Prowadzi go Jose, który dostał pożyczkę na jego otwarcie od UNHCR w zamian za to, że będzie uczył zawodu i zatrudniał innych uchodźców.

Ojciec prezydenta elekta Kolumbii został zamordowany przez FARC podczas próby porwania, więc nienawiść tego człowieka do podobnych bojówek jest zupełnie zrozumiała. Dlatego niektórzy obawiają się, że konflikt jeszcze się zaostrzy. Przemoc rodzi wyłącznie przemoc.

Wielu mężczyzn tutaj nosi imię Jose. Często żartują sobie nawet, że Jose w Południowej Ameryce to jak Mohammad w krajach arabskich. Teraz właśnie poznają jednego z nich. W Kolumbii prowadził sklep meblowy.

Założył ten warsztat w lutym, w marcu rozpoczęli pracę. Jose jest naprawdę dumny – udało im się ukończyć już pięć kompletów mebli. Mają jednak problem z ich sprzedażą – brakuje im miejsca, w którym mogliby zaprezentować swoje wyroby.

– Ludzie mogą nas wykorzystywać, bo jesteśmy uchodźcami, więc tym bardziej zależy nam na tym, żeby coś sprzedać.

Mają jednak zewnętrzny skład, więc w ogólnym rozrachunku nie jest to wcale złe życie.

– Chcemy propagować przydatne umiejętności, zawody.

Już próbują nawiązać kontakt z wielkimi sklepami w miastach. Kolumbijczycy to naprawdę przedsiębiorczy naród.

Podchodzimy do grupki chłopców stłoczonych w kącie pomieszczenia. Jeden z nich, który dopiero co został przyjęty do pracy, jest zbyt zawstydzony, by coś powiedzieć. Są też wśród nich dwaj bliźniacy – podają im swojego polaroida, żeby mogli się nim pobawić. Robią sobie nawzajem zdjęcia, z dumą ściskając w rękach piłkę do futbolu, którą ze sobą przywieźliśmy. Jose pokazuje nam warzywnik za budynkiem, z grządkami pełnymi buraków ćwikłowych, marchwi i sałaty. Cały czas mówi o pomysłach na stworzenie jak największej liczby miejsc pracy dla ludzi.

– Wiem, że nowo przybyli mają problemy ze znalezieniem zajęcia, nawet kiedy dostaną już status uchodźcy. Nie chcemy, żeby musieli żebrać na ulicach.

Pytam, jak się tutaj znaleźli, dlaczego stał się uchodźcą.

– Na moje szczęście – a może nieszczęście – podpisałem kontrakt na produkcję mebli dla wojska. Wtedy partyzanci oszaleli.

Scenariusz był taki sam, jak zawsze – Jose zaczął otrzymywać pogroźki. Miał dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie domu.

– Straciłem wszystko. Zabrałem ze sobą tylko jedną walizkę i po prostu wsadziłem rodzinę do samolotu. Na szczęście miałem dość pieniędzy, żeby to zrobić.

Sam wyruszył w podróż nocą na motorze .

– Zatrzymał mnie mężczyzna z latarką. Zauważyłem, że i on, i jego towarzysze mieli takie buty, jakie noszą partyzanci. Myślałem, że to właśnie oni. Cały aż drżałem. Kiedy zażądali ode mnie dokumentów, od razu je im podałem. Nie próbowałem się opierać. Skłamałem, że mam wizytę u lekarza wcześniej rano i dlatego jadę nocą. Sprawdzili mnie. Wtedy sobie uświadomiłem, że to wojskowi. Nie mieli mnie na swojej liście.

Żołnierze ostrzegli go, że w pobliżu znajduje się punkt kontrolny partyzantów, więc lepiej niech uważa. Był przerażony, ale ruszył w dalszą drogę. Udało się mu.

– Dzięki Bogu.

Pytam go, czy chciałby wrócić do Kolumbii.

– Myślę, że każdy Kolumbijczyk myśli o powrocie do ojczyzny. Ale najpierw musi tam zapanować pokój. Moje dzieci chodzą tu do szkoły, a ja jestem z tego powodu naprawdę szczęśliwy.

Jeden z chłopców mówi, że może też będzie pracował dla UNHCR, kiedy dorośnie.

– Świetnie sobie radzisz – mówi William.

Jose dodaje tylko:

– Każdy, kto ma dobrą wolę i chęć do pracy, da sobie radę.

Kiedy wychodzimy, dostrzegam tego nowo przyjętego, niezbyt rozmownego czeladnika, który stoi teraz w drzwiach warsztatu. Macham mu na pożegnanie. Chłopiec kiwa mi lekko ręką, a potem wraca do środka. Teraz jedziemy do tak zwanej kryjówki.

Ze względów bezpieczeństwa na zewnątrz budynku nie ma żadnych symboli ONZ, flag czy innych oznaczeń. Ludzie zatrzymują się w nim zazwyczaj na dziesięć do piętnastu dni – nigdy nie dłużej niż miesiąc. Kiedy drzwi się otwierają, widzimy małą, może dwuletnią dziewczynkę w białej sukieneczce. Ten dom jest przeznaczony dla najbardziej bezbronnych uchodźców, przede wszystkim samotnych matek z licznym potomstwem. Wszyscy mieszkańcy wykonują domowe obowiązki. Sami prowadzą ten dom i dbają o swoje potrzeby. W jednym z pokoi mieści się dziewięć piętrowych łóżek (kobiety i mężczyźni mają oddzielne sypialnie), ale nie wchodzę do środka. Na jednym z łóżek leży mężczyzna, który wygląda na naprawdę chorego. W sypialni kobiet śpi mała dziewczynka.

– Jej rodzina dotarła tu w zeszły czwartek – wyjaśnia mi ktoś.

Poznaję też dziewczynkę, która przez jakiś czas mieszkała w biurze UNHCR. Wygląda jak prawdziwy aniołek. To szczególny przypadek, ponieważ dziewczynka padła ofiarą gwałtu.

Nagle jakiś mężczyzna dostaje konwulsji i pada na ziemię zemdłony. Inni mężczyźni natychmiast do niego podbiegają. Jeden trzyma mu głowę, inny potrząsa go za ramiona. Ten człowiek od urodzenia cierpi na łagodną postać padaczki, jednak z powodu ciężkich przeżyć ostatnio ataki bardzo się nasiliły. Chłopak ma dwadzieścia siedem lat.

Mężczyźni zanoszą go do łóżka:

– Nic mu nie będzie.

Patrzę, jak śpieszą temu człowiekowi na pomoc i myślę sobie, że przecież jeszcze dwa tygodnie temu byli dla siebie

kompletnie obcymi ludźmi, a teraz są jak rodzina. Pomagają sobie nawzajem w najtrudniejszych momentach.

W budynku znajduje się niewielka, wyposażona jedynie w najpotrzebniejsze rzeczy kuchnia. Mniej więcej ośmioletni chłopczyk pomaga swojej mamie gotować. Jest naprawdę odważny, bo bez wahania wyciąga w moją stronę rękę:

– *Buenos dias.*

Pracownicy UNHCR pomogli mi kupić zeszyty i szkolne przybory dla mieszkańców tego domu. Kładziemy je teraz na stole. To zdumiewające widzieć, jak bardzo dzieci potrafią się cieszyć na widok rzeczy niezbędnych do nauki. Przywieźliśmy również książki dla dorosłych. Matka ośmiolatka pospiesznie chwyta tę autorstwa Gabriela Garcíi Márqueza i uśmiecha się do nas. Poza tym mamy ze sobą zabawki, na wieść o których dzieci natychmiast zbiegają z góry po schodach. Cudowna scena.

Pewna kobieta jest tutaj od ośmiu dni. W Kolumbii pracowała dla jednej z organizacji pozarządowych, o nazwie Reinsercion, której celem było przekonywanie partyzantów do powrotu na łono społeczeństwa. Opowiada nam swoją historię. Starła się pomagać członkom grup partyzanckich wrócić do normalnego życia. Nauczyć ich, jak znowu żyć normalnie. Zabierała ich do finansowanych przez rząd gospodarstw rolnych, gdzie mieli przyzwyczajać się do pracy. Kiedy nam to opowiada, jakaś dziewczynka uczy się w pobliżu skakać na skakance. Inne dzieci siedzą pod ścianami, pogrążone w lekturze nowych książek. Ponieważ pracowała z byłymi partyzantami, wojskowi starają się ją teraz wytropić. Zajęli gospodarstwo, w którym mieszkała. Została bez niczego.

– Nie miałam nawet czasu się spakować – mówi.

Chciałaby się zatrudnić w jakiejś organizacji pozarządowej tu w Ekwadorze.

– Wierzę, że mogę bliżnim jeszcze wiele zaoferować. Znam się na uprawie roli. Mam tyle planów, jak nauczyć ludzi, by radzili sobie sami.

Poświęciła też wiele czasu, próbując przekonać rodaków, by zamiast koki uprawiali na swojej ziemi inne rośliny.

– Ale to takie trudne, bo ludzie zarabiają na tym tyle pieniędzy, nawet najbiedniejsi wieśniacy. Jak ich namówić, żeby zaczęli uprawiać coś, co przyniesie im znacznie mniejszy zarobek? Sami widzieliście, jak wygląda życie ludzi w Kolumbii czy innych krajach, w których panują bieda i korupcja – oni potrzebują szansy na przetrwanie.

Zaczyna płakać.

– Kiedy napadli na nasze gospodarstwo, zamordowali troje moich współpracowników. Mieliśmy nawet przedszkole dla dzieci pracowników polowych. Wojskowi zabili nauczycielkę.

Kobieta ociera oczy chusteczką, a potem bierze się w garść i dodaje:

– Wiem, że muszę zacząć wszystko od nowa, ale z Bożą pomocą na pewno mi się uda.

Oglądam zdjęcia gospodarstwa, które przyniosła ze sobą. Fotografie tych wszystkich rzeczy, które zrobili, by polepszyć swój los. Te zdjęcia to świadectwo nadziei i szansy na nowe życie. Widać na nich dobrych ludzi, którzy próbują pomóc swojej ojczyźnie – i sobie nawzajem. O UNHCR słyszała kiedyś od znajomej zajmującej się walką o prawa człowieka. Dlatego przyjechała tutaj w nadziei na nawiązanie kontaktu z tą organizacją.

– Ekwador ma własne problemy. Jego mieszkańcy też potrzebują pomocy w wielu sprawach. Najbardziej martwię się o dzieci. To nie jest ich ojczyzna. Ich rodziny nie mają praktycznie nic. Musimy pomagać Ekwadorczykom, przyczyniać się do rozwoju ich państwa, by potem oni mogli pomóc nam.

Wskazuje na mój notes, więc pytam, czy nie przeszkadza jej, że robię notatki.

– Oczywiście, że nie – odpowiada. Cieszy ją, że prowadzę te zapiski.

Potem dodaje, że kiedy mówi ludziom, skąd pochodzi, ci zwykle patrzą na nią tak, jakby była jakimś potworem.

– A przecież nie wszyscy Kolumbijczycy są źli. Wielu wśród nas dobrych ludzi.

William pyta ją, czy chciałaby wrócić do Kolumbii, a ona spogląda na niego jak na szaleńca. Zaczynam dostrzegać coś, co łączy wszystkich tych ludzi – chociaż znajdują się w naprawdę rozpaczliwym położeniu, są tacy pełni życia i woli przetrwania.

– To piękny kraj, a ja kocham moich rodaków, jednak nie mogę wrócić. Przynajmniej jeszcze przez kilka lat. Najpierw trzeba położyć kres przemocy. Gdybyśmy teraz wrócili, czekałaby nas tam śmierć.

W drzwiach stanął właśnie milczący chłopiec z warsztatu stolarskiego. Musiał tu przyjść pieszo, a droga jest naprawdę daleka. Ciągle ma ze sobą piłkę, którą od nas dostał. Teraz daje ją braciom. Tutaj sprawia wrażenie bardziej odprężonego, uśmiecha się nawet. Poznają też jego mamę – to cudowna kobieta.

Spotykamy również mieszkającą w garażu rodzinę składającą się z samotnej matki oraz sześciorga pociech. Musiała uciekać z Kolumbii, ponieważ partyzanci próbowali zwerbować dwoje jej dzieci w swoje szeregi.

Południowa Ameryka nie przypomina poznanych przeze mnie wcześniej krajów, gdzie uchodźcy przemieszczają się wielkimi grupami i mieszkają w obozach. Tutaj to poszczególne rodziny uciekają ze swoich domów, by przenieść się do innego państwa, wtopić w nową społeczność. Mieszkańcy domu-kryjówki pokazują mi wszystkie wytwarzane przez siebie rzeczy. Młody mężczyzna chwali się, że jest dobry

w capoeirze, brazylijskiej sztuce walki. Rebelianci chcieli, żeby ich tego nauczył, więc się zgodził, jednak kiedy zażądali, żeby walczył razem z nimi, opuścił ich grupę.

– Nie chciałem nosić broni ani pracować przy uprawie koki. Grozili mi, ale nie mogłem się zgodzić, bo to wbrew moim zasadom. W końcu zrozumieliśmy, że jeśli zostaniemy w domu, zginiemy. Opuściliśmy rodzinne miasto i ruszyliśmy w kierunku granicy. Kiedy dotarliśmy do Ekwadoru, ciotka powiedziała nam, że znaleźliśmy się na czarnej liście. Straciliśmy wszystko – wyprzedaliśmy cały dobytek. Przyjechaliśmy tutaj i zaczęliśmy się chwycać praktycznie każdej pracy. Prowadziliśmy restaurację, ale urząd imigracyjny nam ją zamknął, bo nie mieliśmy jeszcze dokumentów. Na szczęście nas nie deportowali. Potem dowiedzieliśmy się o istnieniu UNHCR, dzięki któremu mamy już wszystkie dokumenty w porządku.

Obecnie zajmują się rękodziełem. Pokazują nam ozdobne pudełka, laleczki, stroiki z kwiatów – sprzedają je prosto z garażu.

– Chciałbym założyć firmę z prawdziwego zdarzenia. Potrafię robić świetną pizzę.

Siostry zakonne zapraszają nas do swojego mieszkania, żebyśmy mogli się odświeżyć. Są misjonarkami, więc ubierają się po cywilnemu. Nagle ogarnia mnie takie dziwne uczucie. Może to dlatego, że zostałam wychowana w wierze katolickiej – w każdym razie kiedy pokazują mi swoje sypialnie, mam wrażenie, że nie powinnam tam zaglądać. Sama nie wiem, dlaczego wydało mi się to takie ciekawe, że mają niewielką bieżnię do ćwiczeń. Chyba po prostu nie mieści mi się w głowie, że zakonnice mogą uprawiać sporty i być do tego stopnia ludzkie. Podłoga w jednym z pokoi jest zasłana poduszkami, wszędzie stoją też niewielkie drewniane rzeźby. Oprowadzająca nas siostra składa dłonie, informując nas w ten sposób, że to miejsce modlitwy. Jedna z zakonnice opowiada mi o latach

spędzonych w Kolumbii. Mówi, że jest misjonarką od osiemnastu lat, z czego osiem spędziła poza Brazylią. Razem z grupą sióstr zajmuje się pomocą imigrantom. Dodaje, że teraz ubiera się po cywilnemu. Następnie zdejmuje swój pierścionek z krzyżykiem, żeby mi go pokazać. Wyciąga go nawet w moją stronę, ale mam opory przed tym, by go dotknąć.

– Pochodzimy z Brazylii. Nasze zgromadzenie prowadzi misje w dwudziestu jeden krajach. Pracujemy głównie z przesiedleńcami. Uwielbiam jeździć w różne rejony świata, poznawać rozmaite filozofie życia. Poza tym człowiek zawsze się tyle uczy od dzieci.

Mówię im, że moja mama jest katoliczką i na pewno bardzo się ucieszy, kiedy jej powiem, że spędziłam tyle czasu w towarzystwie zakonnicek. Siostry przyjmują tę uwagę chichotami. To doświadczenie uświadamia mi po raz kolejny, że dobro i zło istnieją w każdej organizacji, w każdym kraju i grupie religijnej.

Jedna z sióstr wyznaje:

– Marzę o tym, by pracować na granicy Meksyku i USA.

Mówię jej, że jest chyba jedyną pozostałą przy życiu osobą, która chciałaby to robić.

Siostra uśmiecha się, a potem w końcu przychodzi pora na pożegnanie.

– Może któregoś dnia spotkamy się na meksykańskiej granicy – dodaje siostra. – Nigdy nie wiadomo.

Och, dodają coś jeszcze – co zostaje mi natychmiast przetłumaczone: wszystkie są takie szczęśliwe, że Brazylią wygrała ostatni mecz piłki nożnej.

CZTERNASTA CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Odwiedzamy położoną na odludziu osadę uchodźców. Zamieszkuje ją czterdzieścioro ludzi, z czego siedemnaścioro to dzieci. Podróż autem zajmuje nam sporo czasu. Dowia-

dują się również, że w osadzie mają tylko jeden samochód, więc kursują nim wahadłowo, by dowieźć wszystkich na autobus. Przyjechali tutaj dwa lata temu z San Agustín, często określanego przez nich jako „to starożytne miasto w Kolumbii”. Zaś powód ich wyjazdu był następujący:

– Zabierali nam dzieci, żeby też szły walczyć. Partyzanci panoszyli się coraz bardziej, a my jesteśmy wspólnotą duchową.

W tej swojej odciętej od świata osadzie mają nawet szkołę i kościół.

– Wreszcie odnaleźliśmy spokój.

Żyją w samym środku pustkowia, ale i tak nie chcą, by robić im zdjęcia.

– Boimy się, że ktoś nas tutaj znajdzie.

Prowadzą nas do świetnie zorganizowanej kuchni, która mieści się w dawnej drewnutni. Pod plastikową płachtą stoją drewniane ławy i stoły. Gospodarze okazują się bardzo gościnni, oferują nam posiłek składający się z zupy oraz wołowiny z ryżem. Opowiadają mi też o człowieku, wedle którego nauk starają się żyć – dwudziestowiecznym filozofie Samaelu Aunie Weorze, który skupiał się przede wszystkim na rozwoju duchowym człowieka i poszukiwaniu przez niego Boga. Główna myśl jego dzieła jest taka, że wszystkie religie to tak naprawdę jedno i to samo. Może stanowią po prostu kolejne wcielenia siebie nawzajem. Od Buddy po Jezusa. Ten człowiek ma kilka tysięcy zwolenników w Ameryce Łacińskiej – to nie jest jakaś mroczna sekta.

– Nie staramy się osiągnąć żadnych politycznych czy ekonomicznych celów. Uczymy tego, w co wierzymy, za darmo – jesteśmy otwarci na wszystkich. Nie różnicujemy ludzi ze względu na rasę, narodowość czy pochodzenie społeczne.

Niektórzy z mieszkających tu ludzi nie są uchodźcami. Jedna z rodzin to rodowici Ekwadorczycy. Dzięki wsparciu

z zewnątrz zdołali wybudować szkołę, nadal potrzebują jednak okien i szkolnych przyborów.

Nie znam hiszpańskiego, więc muszę czekać na przetłumaczenie ich słów. Zaczynam się czuć trochę jak głuchoniemca – wolę, żeby nikt nie zwracał się do mnie bezpośrednio, bo czuję się okropnie, że nie mogę odpowiedzieć. Pytam przez tłumacza, czego najbardziej im brakuje.

– Wody. Prądu. Kanalizacji. Mamy tu generator, ale to za mało.

Pytamy jednego z mężczyzn o jego życie w Kolumbii z czasów sprzed ucieczki.

– W ojczyźnie sprzedawałem narzędzia i tarcicę – byłem kupcem. Ale rebelianci wymuszają pieniądze od wszystkich prowadzących własne firmy, a brak ochrony w miastach sprawia, że nie sposób prowadzić tam sklepu. Za to ziemia tutaj nie nadaje się zbyt pod uprawy.

Potem wskazuje na mnie ręką.

– Pani zadaje mnóstwo pytań. Chyba naprawdę to panią interesuje.

Kiedy dowiaduje się, że prowadzę zapiski, żeby ludzie na całym świecie mogli przeczytać o losie uciekinierów takich jak on, dodaje:

– Jest pani posłańcem łączącym tych, którzy nie mają nic, z tymi, którzy mają tak wiele. To naprawdę miłe.

Chwilę pobawiliśmy się też z dziećmi. Teraz już wiem, że aby przełamać lody z dzieciarnią (zwłaszcza z małymi chłopcami) praktycznie na całym świecie, wystarczy mieć piłkę. Przywieźliśmy też prezenty. Nasi gospodarze starannie pokaładali nawet ozdobny papier pakowy – do późniejszego wykorzystania w szkole. Był to zresztą świetny temat do rozmowy w drodze powrotnej. Dzielimy się z pracownikami UNHCR opowieściami o wszystkich tych cudownych rzeczach, jakie uchodźcy potrafią stworzyć z foliowych toreb,

drotu i tak dalej. Wszyscy zgodnie przyznają, że najwspanialsze są wykonane z drutu samochodziki, którymi można się nawet ścigać, albo pozwijane w sznurki foliowe torebki, z których wypłata się potem koszyki. Każdy z nas opowiada jakąś wzruszającą czy szaloną historię, tak jak ta o małżeństwie, które postanowiło przemycić świnie przez granicę i przewieźć ją łodzią w bezpieczne miejsce. Zwierzę było tak wystraszone podróżą, że trzeba je było umieścić w przypominającej poszewkę torbie. Otaczają mnie ludzie podeksytowani losami wszystkich tych niezwykłych uchodźców, których było im dane poznać. Ich zdaniem to naprawdę niesamowici ludzie, uważają ich wręcz za swoich przyjaciół.

Wyjechaliśmy dosyć wcześnie, więc po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze, żeby obejrzeć piramidy. Kiedy wysiedliśmy z auta, natknęliśmy się na człowieka w starej czerwonej czapce baseballowej, džinsach, roboczych butach i tradycyjnym swetrze, żującego źdźbło trawy. Mężczyzna prowadzi nas na szczyt trawiastego wzgórza.

– To jedna z czterestu piramid.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że znajdujemy się w dolinie otoczonej pagórkami o dziwnych kształtach, wyposażonych w pochylnie. I że właściwie to stoimy na szczycie jednego z nich. Gdyby usunąć z nich trawę i ziemię, naszym oczom ukazałyby się wykonane z gliny budowle. Symbole na ich szczytach służą do określania czasu. Miejscowy przewodnik tłumaczy nam, że ludy Quito i Cara połączyły się w jedno i zamieniły w Quitocarę. Dwie kultury, które istniały na tym terenie jeszcze przed nastaniem Inków. Przedstawiciele obu osiedlili się tutaj około roku pięćsetnego. I opierali się atakom Inków przez dwadzieścia pięć lat. Był to relikw dawnych czasów, kultura matriarchalna. Odkopano nawet kilka sztuk ceramiki.

Kawałki ciemnoszarych skał wulkanicznych były wykorzystywane do odbijania światła i przesyłania wiadomo-

ści na odległość. Innymi sposobami komunikacji były dym i dźwięk. Nie sposób się nie zastanawiać, jak bardzo rozwinęliśmy się od tamtej pory. A może raczej należałoby spytać, o ile lepsze warunki życia mamy w porównaniu z ludźmi z dawnych czasów. Pytanie to jest szczególnie aktualne dla obecnych mieszkańców tego regionu, wciągniętych w tryby maszyny wojennej. W drodze powrotnej do auta mijamy pola obsiane kukurydzą. Widzimy liczną rodzinę – starsze dzieci pomagają rodzicom, młodsze po prostu się bawią. Na dzisiaj koniec prac polowych, teraz wszyscy czekają na autobus, który się spóźnia. Ojciec rodziny pożycza telefon od Williama, żeby zadzwonić po pomoc. Dzieci chrupią łądygi kukurydzy jak kawałki trzciny cukrowej. Odgryzam kęs. Łodyga ma słodki smak.

Przy kolacji rozmawiamy o tym, jak trudno dotrzeć do ludzi w tym regionie z pomocą. Na przykład UNHCR – jego podstawowym zadaniem jest wspieranie uchodźców. Z czasem w odpowiedzi na zapotrzebowanie organizacja zaczęła pomagać również przesiedleńcom wewnętrznym. Dziewięćdziesiąt osiem procent funduszy UNHCR pochodzi jednak z dobrowolnych wpłat rządów oraz innych darczyńców. Biuro nie ma nawet dość pieniędzy, by wypełnić zadania, do których wykonywania zostało powołane. Z powodu zeszłorocznych cięć budżetowych doszło do redukcji zatrudnienia. Ktoś z obecnych przy stole świetnie wytłumaczył położenie UNHCR w kwestii przesiedleńców wewnętrznym: załóżmy, że masz czworo dzieci i ledwie wiążesz koniec z końcem. Z trudem udaje ci się je wszystkie wykarmić. A potem nagle znajdujesz dwoje porzuconych maluchów i wiesz, że powinieneś je przygarnąć. Wiesz, że jeśli ty tego nie zrobisz, nikt inny się tego nie podejmie. Jak postępujesz w takiej sytuacji? Bo przecież trzeba coś z tym zrobić. Skoro nikt inny z międzynarodowej wspólnoty nie zamierza zająć się kwestią pomocy

dla ponad miliona wewnętrznych przesiedleńców w Kolumbii – a to przecież też ludzie – to właśnie ty musisz znaleźć rozwiązanie. Stawką jest życie ludzi, los całych rodzin.

Rozmawialiśmy również o innych krajach, narodach z całego świata. To, jak zdążyłam się już nieraz przekonać, typowe dla pracowników UNHCR, kiedy się tylko spotkają. Naprawdę cudowny zwyczaj. Żałuję, że więcej ludzi nie może uczestniczyć w tych kolacjach, by dowiedzieć się tego wszystkiego, czego właśnie słucham – towarzystwo rozmawia teraz o wewnętrznych przesiedleńcach w Angoli, sytuacji w Kongu, kompletnie zapomnianych Kurdach, ostatnich wydarzeniach w Abidżanie i o tym, dlaczego to takie ważne, by zrozumieć, co się tam dzieje. Rozmawiamy również o Panamie – kolejnym kraju, który ponosi konsekwencje konfliktu w Kolumbii. Zaczynamy snuć plany odwiedzenia tego państwa w lipcu.

NIEDZIELA, 9 CZERWCA

Śniadanie o siódmej. Poprzedniego wieczora Ekwador przegrał mecz 1:2. Lionello zbiega na dół i pyta, czy wiadomo, co z jego bagażem. Nie, nadal go nie ma. Przy stole rozmowa schodzi na sytuację w Wenezueli. Nie bardzo wiem, co się tam właściwie dzieje. W każdym razie ludzie wycofują oszczędności z banków.

Prezydent Wenezueli, Hugo Chávez, to kontrowersyjna postać, a kraj jest poważnie podzielony w opiniach na temat jego stylu rządzenia i niektórych politycznych decyzji. Opozycja domagała się jego ustąpienia, organizowano uliczne demonstracje i strajki. Jego zwolennicy również wędrowali ulicami miast w marszach poparcia. Jedenastego kwietnia wojsko odsunęło Cháveza od władzy po tym, jak podczas jednej z takich demonstracji zastrzelono sporą liczbę pro-

testujących. Władzę przejął rząd tymczasowy, jednak większość państw w regionie potępiła to posunięcie jako niezgodne z konstytucją. Następnego dnia zwolennicy Cháveza spośród szeregów wojskowych oraz z ubogich dzielnic Caracas zaczęli się gromadzić, domagając się jego powrotu do władzy. Chávez został zwolniony z miejsca odosobnienia i przywrócony na stanowisko. Społeczeństwo Wenezueli nadal pozostaje jednak boleśnie rozdarte, a brak stabilności politycznej odbija się na gospodarce tego kraju.

Także w Kolumbii podczas rozmów pokojowych utworzono strefę zdemilitaryzowaną. Zajęta przez partyzantów, została dzisiaj zbombardowana przez wojsko. Zginęło ponad czterdzieści osób.

LOTNISKO

Podjeżdżamy do ogrodzenia z siatki. Grace z UNHCR idzie przodem, żeby jakiś wojskowy otworzył nam bramę. Kontrola bagażu, kontrola osobista. W środku spotykamy kolejnych pracowników UNHCR. Lot trwa już jakieś trzydzieści minut, kiedy nagle dostrzegam za oknem gęstą dżunglę rozciągającą się jak daleko wzrokiem sięgnąć. Dorzecze Amazonki. Widok zapiera dech w piersi. Kiedy samolot schodzi niżej, dostrzegam małe domki, potem niewielkie miasto. To Nueva Loja i położone niedaleko niego pola Lago Agrio, co znaczy „kwaśne jezioro”. Jesteśmy już naprawdę blisko Kolumbii. Ta część linii granicznej była znana z tego, że często przekraczali ją tutaj członkowie FARC. Najwyraźniej nawet i oni potrzebują czasem odpoczynku, choć pewnie były też inne powody. Ewidentnie jednak coraz mniej jest chętnych do przekraczania granicy, odkąd grupy paramilitarne przejęły kontrolę nad znaczną częścią terenów po kolumbijskiej stronie.

Spotykamy kolejnych pracowników UNHCR – Ann i Rene. Są ci drobna mżawka. Ktoś mówi, że pada tak od dwóch miesięcy. Ten region jest zasobny w ropę, jednak bogactwo nie jest rozdzielane sprawiedliwie. Biedacy nigdy nie oglądają nawet grosza z pieniędzy zarobionych na surowcach naturalnych. Siedemdziesiąt procent mieszkańców tego regionu żyje w biedzie, dwadzieścia jeden – w skrajnej nędzy. Do maja nie mieli tu nawet dostępu do elektryczności. To zapewne najbardziej niebezpieczny region Ekwadoru. Tylko w ostatnim okresie doszło tu do sześćdziesięciu ośmiu egzekucji. Ponad osiemdziesiąt procent zabitych było Kolumbijczykami. Połowa przybywających tu uchodźców to dzieci.

Rene pracuje po kolumbijskiej stronie, w Putumayo. Grajuje tam sporo nielegalnych grup zbrojnych. Wiele osób cierpi z powodu prześladowania przez partyzantów bądź grupy paramilitarne albo też staje się ofiarami walk obu tych grup. Pozycja rządu jest w tym regionie Kolumbii naprawdę słaba. W samym tylko Putumayo mieszka dziesięć tysięcy sześciuset dwudziestu czterech przesiedleńców wewnętrznych – sześćdziesiąt procent z nich ma mniej niż siedemnaście lat. Z kolei w sąsiednim departamencie Nariño żyje ich szesnaście tysięcy dwustu osiemnastu. To oficjalne dane na koniec maja. Wszyscy są zdania, że takich osób jest o wiele więcej – po prostu pozostają niezarejestrowane. Ocenia się, że w całej Kolumbii mieszka niemal dwa miliony takich wewnętrznych przesiedleńców. Ich liczba znacznie wzrosła po załamaniu się procesu pokojowego. Wzrosła również liczba kobiet samotnie wychowujących dzieci – zapewne w związku z nasilającymi się przypadkami przymusowego wcielania mężczyzn do wojska. Drogi łączące Putumayo i Nariño są w kiepskim stanie, więc pracownicy organizacji humanitarnych mają problemy z przemieszczaniem się. Opieka zdrowotna jest przedmiotem szczególnej troski – to kwestia odpowiedzialności państwa

jako demokratycznego kraju i tak dalej, jednak nie da się nią objąć ludzi uwięzionych na terenach kontrolowanych przez nielegalne grupy zbrojne (czyli, jak już wspomniałam wcześniej, na siedemdziesięciu czterech procentach powierzchni całego kraju). Pomoc Narodu Norweskiego (*Norwegian People's Aid*), kolejna z organizacji pozarządowych, częściowo finansuje działalność miejscowego kościoła.

Rene mówi też, że po zerwaniu rozmów pokojowych sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wiele lat temu można było spokojnie chodzić nocą ulicami miast – teraz jest to zbyt niebezpieczne, bo ciągle zdarzają się jakieś zabójstwa.

Odprawa trwa już od jakiegoś czasu, mam więc problemy z koncentracją. Tyle informacji, tyle ważnych rzeczy do zapamiętania. Może to z powodu wysokości. Podobnie jak większość ludzi wolę osobisty kontakt zamiast wykresów i całych stosów opracowań. Chociaż zdaję sobie sprawę, że mam ogromne szczęście, bo mogę dowiedzieć się tego wszystkiego osobiście, uczestniczyć w podobnych dyskusjach. Niestety, jeśli ogląda się wyłącznie wiadomości w telewizji, człowiek nigdy nie jest w stanie zrozumieć w pełni, jak naprawdę wygląda sytuacja w różnych punktach naszego globu.

Marte wspomina również o tym, jak trudno przekonać ludzi mieszkających zaledwie trzydzieści kilometrów od granicy do mówienia. Koordynator ONZ tłumaczy, co zresztą oczywiste, że priorytetem wszystkich działających tu organizacji jest ochrona swojego personelu. My na przykład pozostajemy w kontakcie z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem (*International Committee of the Red Cross – ICRC*). Kiedy człowiek wybiera się gdzieś z misją, uprzedza ich, tak na wszelki wypadek: „Jeśli nie skontaktuję się z wami do tej i tej godziny tego i tego dnia...”.

W drodze powrotnej Ann opowiada mi o dwudziestoletniej uchodźczyni, która zmarła na białaczkę. Międzynarodo-

wa Organizacja ds. Migracji (*International Organization for Migration* – IOM) pomogła w zdobyciu leków. Nie jest to agenda ONZ, ale blisko z nią współpracuje – zrobili wiele dobrego zwłaszcza w kwestii pomocy uchodźcom z Kuweytu. Jednak dla tej dziewczyny było już za późno. Ann mówi, że to takie smutne – na kilka dni przed śmiercią biedaczka bardzo cierpiała. Nikt nie był w stanie zdobyć morfiny ani innych skutecznych środków przeciwbólowych.

– Widok był naprawdę straszny – dodaje Ann.

Docieramy do schroniska. Jego budowę ukończono w 2001 roku; IOM zamierza pomóc w organizacji dostaw wody, oraz budowie wodociągów.

– Nadal zmagamy się z wieloma problemami – wyjaśnia Ann.

Obecnie w schronisku mieszka dwadzieścia jeden osób. Działa tu małe przedszkole, kobiety też mają gdzie pracować. W pokojach pomieści się czterysta osób, do tego na wypadek gwałtownego napływu uchodźców dostępne są namioty. Budynek otacza ogród, w którym pracują kobiety. Kiedy wybieramy się na przechadzkę, spotykamy ich aż osiem, pomaga im też mężczyzna. Wszyscy pochodzą z Kolumbii. Witają się z nami grzecznie, mówią, że goście są tu zawsze mile widziani. Są naprawdę wdzięczni wszystkim organizacjom humanitarnym za pomoc.

– Proszę nie zabierać nam tego wsparcia. Wszyscy będziemy ciężko pracować.

Prosimy jedną z kobiet, aby opowiedziała nam swoją historię.

– Mam dziesięcioro dzieci – dziewięcioro jest tu ze mną. Wojskowi dali nam piętnaście minut na wyprowadzkę. Kiedy tu przyjechaliśmy, zabrali mojego syna i go wychłostali. Zabrali go, a my nie mamy od tamtej pory żadnych wieści od niego.

Podaje nam pełne imię i nazwisko swojego syna. Wymienia też przezwisko, które syn na pewno rozpozna, podkreśla, że chłopiec był naprawdę świetnym piłkarzem.

– Proszę, spróbujcie go odnaleźć.

Inna kobieta nie daje się prosić, sama chce nam opowiedzieć o swoim życiu. Najpierw pokazuje nam jednak, jak robi pranie – drewniana kijanka, wiadro i plastikowy kubek.

– Obie grupy próbowały zmusić nasze dzieci, by do nich przystąpiły, więc uciekliśmy tutaj. Ale teraz mamy inny problem, mój mąż jest chory – załamany.

Odwiedzamy przypominające salę lekcyjną pomieszczenie, w którym zebrały się już kobiety z dziećmi. Piękny obrazek. Tyle maluchów. Jedno niemowlę wygląda na chore – ciągle marudzi. Mała dziewczynka pyta, czy mamy lalkę.

– Mojego tatusia nie stać, żeby mi ją kupić.

Przywieźliśmy ze sobą prezenty, wśród których są też dwie lalki, ale dzieci będą się musiały nimi dzielić.

– Ale ja chciałabym spać z własną laleczką.

Poznajemy też dwudziestolatkę z trojgiem dzieci. Pytamy, czego im trzeba.

– Zalegalizujcie nasze dokumenty, żebyśmy mogli pracować i nie musieli wracać do Kolumbii, gdzie wojna odbierze nam dzieci.

To mili, porządni ludzie. Rozmawiamy też z jednym z ojców.

– Poznaliśmy się z żoną szesnaście lat temu w Putumayo. Prowadziliśmy tam własne gospodarstwo, postawiliśmy dom i zaczęliśmy hodować bydło. Byłem taki dumny, bo miałem coś, co mogłem zostawić dzieciom w spadku. Nie martwiłem się o ich przyszłość. A potem wyrzucili nas stamtąd tak brutalnie. Zabrali gdzieś moją żonę i dzieci, a mnie wtrącili do więzienia. Upokorzyli nas, poddali torturom. Nie pozwolili mi nic ze sobą zabrać, nawet tego, co najważniejsze – mojej rodziny. W którymś momencie zebrałem się na

odwagę i spytałem, co się z nimi stanie. W skrócie rzecz ujmując – usłyszałem, że zostali zamordowani. Tak mi powiedziano: „Zrobiliśmy, co trzeba, więc lepiej o nich zapomnij”. Myślałem, że oszaleję. Ale siedem miesięcy później udało mi się ich odnaleźć. Sam nie mogłem w to uwierzyć. Żyli. To była najszcześniejsza chwila w moim życiu. Żona tak bardzo płakała – też nie wierzyła, że jeszcze żyję. Bo jej z kolei powiedzieli: „Nie martw się o męża – wyprawimy mu godny pochówek”. Połączyliśmy się tutaj, w Ekwadorze. Nasz wspólny przyjaciel dopilnował, żebyśmy znaleźli się tu razem. „Bądź jutro o dziesiątej w parku”, powiedział każdemu z nas. To właśnie w tym parku się spotkaliśmy. To było wręcz niewiarygodne. Moje życie zostało ocalone.

Kolejna z kobiet podchodzi, żeby z nami porozmawiać. Towarzyszy jej starsza pani – są przyjaciółkami i pomagają sobie nawzajem. To ona trzyma w objęciach chłopca, który wydał mi się chory.

– Musiałam uciekać, bo partyzanci zabrali mojego szesnastoletniego syna – nigdy więcej go nie zobaczyłam. Uciekłam z resztą dzieci z kraju najszybciej, jak się tylko dało. Dotarłam tu czólnem rzeką San Miguel. Powiedziałam przezoźnikowi, że nie mam pieniędzy, ale opowiedziałam mu swoją historię i zgodził się nas zabrać.

Zapytałam jeszcze inną kobietę trzymającą na rękach niemowlę:

– Dlaczego opuściliście Kolumbię?

– Zamordowali mojego męża, bałam się o życie swoje i dzieci. Któregoś dnia mąż powiedział: „Wybiorę się poszukać pracy”. Wyszedł o siódmej rano. O szesnastej przyszli do jego rodziców z pytaniem, czy mogą zidentyfikować ciało. Znaleziono je na poboczu drogi. Ukryłam się w domu przyjaciółki, ale wszyscy powtarzali mi, że powinnam uciekać do Ekwadoru. Dali mi trochę pieniędzy na drogę. Pojechałam z trojgiem

dzieci autobusem aż do granicy. Na szczęście pamiętaliśmy o tym, żeby zabrać dokumenty z domu, zanim został spalony. Dzięki temu mogliśmy tu wjechać legalnie, jako turyści.

– Kiedy to się stało? – zapytałam.

– Dwa tygodnie temu.

Robi się coraz później, więc postanawiamy zrezygnować z obiadu. W drodze na spotkanie z kolejną rodziną rozmawiam z Rene z kolumbijskiego biura UNHCR. Teraz przypominam sobie, jak trudno pisze się w jadącym aucie.

Zatrzymujemy się przed niewielkim piętrowym budynkiem – mieszka w nim matka z piątką synów. Całą szóstką przyjechali tu miesiąc temu. Grupka około dziesięciorga dzieci przechyla się przez balustradę balkonu na górze, żeby się z nami przywitać. Dowiaduję się, że wynajem kosztuje tutaj sto dolarów miesięcznie – rodzina nie ma więc całego domu do swojej dyspozycji. Na początku nie mieli bieżącej wody, a poza tym musieli posprzątać otoczenie wokół budynku, żeby dało się w nim w ogóle zamieszkać. W którymś momencie właściciele zaczęli mieć do nich pretensje, że jest ich za dużo, ale potem przestało im to przeszkadzać, bo rodzina „jest porządna i dba o dom”.

Odkąd tu zamieszkali, wydarzyło się jednak kilka incydentów. Zostali na przykład zatrzymani przez policję i oskarżeni o współpracę z oddziałami zbrojnymi tylko dlatego, że są Kolumbijczykami. Funkcjonariusze mówili, że w miastach ciągle są problemy z uchodźcami.

– Ale my stanowimy najlepszy przykład, że Kolumbijczycy to porządni ludzie – mówią. – Policjanci w końcu uwierzyli, że nie jesteśmy przestępcami i nas puścili. Nadal się boimy. Mieszkamy blisko granicy i widzimy w okolicy i wojskowych, i partyzantów.

Tyle różnych historii, które mają jednak jeden element wspólny – groźby ze strony członków oddziałów zbrojnych.

Jeden z mężczyzn pracował przez dwadzieścia lat jako państwowy urzędnik. Od dwóch otrzymuje pogróżki. Obie grupy domagają się dokumentów i zaświadczeń.

– Zmuszają cię, żeby im pomóc, a potem oskarżają cię o udzielanie wsparcia tym drugim – dodaje.

Gospodarze proponują mi coś do picia. Ostrzegano mnie przed tutejszą wodą, ale dochodzę do wniosku, że wolę się raczej rozchorować, niż wyjść na nieuprzejmą. Rene też pije.

Siadamy razem z jednym z ojców. Przedzierał się przez granicę z trojgiem dzieci trzy dni i dwie noce. Czy dzieci się bały?

– Tak. Musieliśmy przechodzić przez wiele punktów kontrolnych – trzy partyzantów, trzy wojskowych. W ostatnim zabrali nam dokumenty. Dlatego trudno nam było przekroczyć granicę legalnie. Nagle się okazało, że nie mamy papierów, więc jesteśmy nielegalnymi imigrantami. Trzy moje siostry nadal mieszkają w Kolumbii. Jedna pracowała jako pielęgniarka – właśnie się dowiedzieliśmy, że niedawno została uprowadzona przez partyzantów. Mówimy ludziom, że jesteśmy uchodźcami pozostającymi pod opieką UNHCR – to pomaga. Dzięki temu nasze dzieci są bezpieczniejsze.

Inny mężczyzna wyjaśnia:

– Musieliśmy uciekać z powodu ciągłych walk między partyzantami a wojskowymi.

Zaczyna płakać, a potem dodaje:

– Musiałem tam zostawić moją rodzinę – troje dzieci.

Wszyscy otrzymują pogróżki.

Partyzanci grożą wysadzeniem domu, w którym mieszkają jego dzieci, a on stara się ze wszystkich sił znaleźć jakiś sposób na sprowadzenie ich do Ekwadoru.

– Chcę wam opowiedzieć, jak wygląda wojna oczami cywila. Ludzie są wywiezieni z autobusów i mordowani. Dzieci cierpią w wyniku bombardowań, dostają się pod ostrzał.

Mężczyzna urywa, zaczyna płakać.

– Związali mnie i zamierzali zabić. Nie chcę tego pamiętać. Zabrałem tu ze sobą dwoje dzieci, bo próbowali je zwerbować. Jestem lekarzem, ale odmawiałem pracy dla partyzantów, więc zaczęli mi grozić. Mam wam jeszcze tyle do powiedzenia, ale to takie upokarzające – lepiej już skończę.

Dziękujemy mu za jego opowieść. William obejmuje go na moment. Też jest ojcem, więc doskonale rozumie cierpienie tego człowieka.

Rozmawiamy z Ann o tym, jak UNHCR może pomóc jego rodzinie w Kolumbii – dzieciom, które musiał tam zostawić. A gdyby udało się im dostać do kolumbijskiej agentury UNHCR, czy wówczas dałoby się coś dla nich zrobić? Może – ale i tak najpierw muszą znaleźć sposób, żeby dotrzeć się do tamtejszego biura. Chociaż wiele osób obawiało się zaostrzenia konfliktu zbrojnego, prezydent elekt Uribe mówi o zapoczątkowaniu nowej inicjatywy pokojowej. Nadal nie wiadomo jednak, co wydarzy się w Kolumbii w kolejnych miesiącach. Walki, które toczą się w tym kraju od czterdziestu lat, najpierw pewnie się jeszcze zaozną, zanim sytuacja wreszcie się poprawi. Może rozegra się jakaś końcowa walka – wręcz otwarta wojna? Kto będzie wtedy wspierał tych ludzi? Ile czasu to potrwa? Co się stanie z uciekinierami? Z rodzinami uwięzionymi w samym sercu konfliktu? Z niemal dwoma milionami już przesiedlonych nieszczęśników?

Na zakończenie: z Lionellem i Tobym planowaliśmy podróż do Panamy, żeby przyjrzeć się sytuacji w Kolumbii także zza drugiej granicy. Jednak kiedy przygotowywałam te zapiski do druku, dowiedziałam się, że sytuacja zaostrzyła się tam za bardzo, by podróż w tamtejsze rejony była bezpieczna.

I już naprawdę na koniec: ostatniego dnia bagaż Lionella wreszcie dotarł na miejsce.

POSŁOWIE

Karta Narodów Zjednoczonych rozpoczyna się od słów: „My, ludy Narodów Zjednoczonych”. To jedno z najpiękniejszych zdań, jakie kiedykolwiek czytałam – ale tak to właśnie wygląda. Wspólne życie, wszystkie narody świata zjednoczone w walce o ochronę dziedzictwa historycznego i kulturalnego, ale też uczące się od siebie nawzajem.

Uchodźcy to ludzie tacy sami jak my, tyle że pozbawieni wolności, którą my możemy cieszyć się każdego dnia. Ich prawa człowieka są wciąż łamane.

Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców ma w swojej pieczy ponad dwadzieścia milionów ludzi. Z tego około osiem milionów to dzieci – osoby poniżej osiemnastego roku życia.

Ci, którzy odmawiają wolności innym,
sami na nią nie zasługują.

Abraham Lincoln

WYKAZ SKRÓTÓW

ACNUR – *Alto Comisionado de las Naciones Unidas par los refugiados*
(hiszpańska nazwa UNHCR)

ANS – *Action Nord Sud*

CARERE – *Cambodia Area Rehabilitation and Regeneration Project* (Akcja Odbudowy i Odnowy Kambodży)

CMAC – *Cambodian Mine Action Center*

CORD – *Christian Outreach Relief and Development* (Chrześcijańska Organizacja Niesienia Pomocy i Rozwoju)

CRS – *Catholic Relief Services* (Katolicka Służba Niesienia Pomocy)

CVD – *Cambodian Vision in Development* (Wizja Rozwoju Kambodży)

ECOMOG – *Economic Community Monitoring Group*

FARC – *Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia* (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii)

FAWE – *Forum for African Women Educationalists* (Forum Wsparcia Działań Oświatowych Wśród Kobiet Afryki)

FHM – *Family Homes Movement* (Ruch Wsparcia Rodziny)

HALO – *Hazardous Area Life-Support Organization* (Organizacja ds. Ratowania Życia w Niebezpiecznych Regionach Świata)

ICRC – *International Committee of the Red Cross* (Międzynarodowy Czerwony Krzyż)

- IDP** – *internally displaced persons* (przesiedleńcy wewnętrzni)
- IOM** – *International Organization for Migration* (Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji)
- JRS** – *Jesuit Refugee Service* (Jezuickie Centrum Pomocy Uchodźcom)
- MAG** – *Mines Advisory Group*
- MARS** – *Mandatory Absence for the Relief of Stress* (obowiązkowy urlop w celu uporania się ze stresem)
- NGO** – *nongovernmental organisation* (organizacje pozarządowe)
- NRC** – *Norwegian Refugee Council* (Norweska Rada do spraw Uchodźców)
- RUF** – *Revolutionary United Front* (Rewolucyjny Front Jedności)
- SLA** – *Sierra Leone Army* (armia Sierra Leone)
- SNI** – *Shelter Now International*
- UNESCO** – *United Nations Educational, Scientific and Cultural Organization* (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wychowania, Nauki i Kultury)
- UNHCR** – *United Nations High Commissioner for Refugees* (Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców)
- UNICEF** – *United Nations Children's Fund* (Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci)
- VARI** – *Voluntary Absence for the Relief of Isolation* (dobrowolny urlop dla złagodzenia skutków izolacji)
- VVAF** – *Vietnam Veterans of America Foundation* (Amerykańska Fundacja Weteranów Wojny w Wietnamie)
- WFP** – *World Food Program* (Światowy Program Żywnościowy)
- WHO** – *World Health Organization* (Światowa Organizacja Zdrowia)

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA WYSOKIEGO KOMISARZA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DO SPRAW UCHODźCÓW	7
WSTĘP	9
MISJA W AFRYCE	11
MISJA W KAMBODŻY	89
MISJA W PAKISTANIE	149
MISJA W EKWADORZE	205
POSŁOWIE	249
WYKAZ SKRÓTÓW	251

NOTATKI Z PODRÓŻY

Angelina Jolie wielokrotnie udowodniła, że los najbardziej potrzebujących mieszkańców świata nie jest jej obojętny. „Notatki z podróży” to intymny zapis tego, co widziała, kiedy podróżowała jako Ambasadorka Dobrej Woli do Afryki, Kambodży, Pakistanu i Ekwadoru. Dzięki temu dziennikowi poznajemy ludzi, którzy poświęcają swoje życie, by pomagać innym. Aktorka na chwilę zabiera nas do miejsc, o których istnieniu często wolelibyśmy nie wiedzieć.

W tej historii spotykają się ze sobą dwa światy – świat pięknej i bogatej gwiazdy Hollywood z okrutną i bolesną egzystencją tych, którzy mieli nieszczęście urodzić się w złym czasie i w złym miejscu. To fascynująca podróż – refleksja nad różnicami świata i naszą wspólną odpowiedzialnością za niego. Podróż wzruszająca. Bo autentyczna.

„Te trzy tygodnie były dla mnie jak objawienie, naprawdę wyjątkowy czas. To mnie odmieniło. Podoba mi się ta Angelina, którą się tu stałam. Z jakiegoś powodu, kiedy zdejmuję wreszcie kurtkę, czuję się tak, jakbym odrywała się od tych wszystkich ludzi i miejsc.

Od chłopca leżącego na ziemi i przesuwającego swoje nogi rękami.

Ośmiolatki trzymającej w objęciach małego braciszka (...)

Sama nie jestem pewna, co właściwie czuję. Nigdy nie doświadczyłam podobnej płątaniny emocji. Muszę się przespać. To takie proste i jednocześnie trudne, czuć wyrzuty sumienia z powodu tego, że się wyjeżdża.

Od tej chwili, gdziekolwiek bym się znalazła, będę pamiętać, gdzie są ci wszyscy ludzie”.

cena 36,90 zł



miastokobiet



lubimy czytać.pl
Twoja internetowa biblioteczka

